

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 12/182

1962



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

W. JEDLICKI:

“ CHAMY I ŻYDY ”

M. HŁASKO:

STACJA

J. MIEROSZEWSKI: **NAD GROBEM**

“ OSTPOLITIK ”

**INDEKS AUTORÓW I TEMATÓW ROCZNIKA
“ KULTURY ” ZA R. 1962**

SPIS RZECZY

Witold Jedlicki:	„Chamy i Żydzi”	3
Czesław Miłosz:	Próba ujawnienia	43
Witold Gombrowicz:	Fragment z dziennika	60
Marek Hłasko:	Stacja	71

WIERSZE

W.K. Włodkowski:	Wiersze teologiczne	78
Wacław Chabrowski:	Wiosna	85
Wacław Chabrowski:	Umarli	86
Bronisław Przyłuski:	Sny	86

ARCHIWUM POLITYCZNE

Juliusz Mieroszewski:	Nad grobem „Ostpolitik”	89
Londyńczyk:	Kronika angielska	98

SĄSIEDZI

S.W. Kozłowski:	Przegląd niemiecki	107
-----------------	--------------------------	-----

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Stanisław Vincenz:	Garść wspomnień o Baziu	113
--------------------	-------------------------------	-----

KRONIKA KULTURALNA

Zbigniew Jordan:	W sprawie autorstwa „The Polish Peasant...”	121
Czesław Miłosz:	Uwagi do uwag Gombrowicza	122
—	Komunikaty	125
	1) Nagrody literackie	125
	2) Walny Zjazd Pisarzy	126

KSIAŻKI

Tymon Terlecki:	Zegadłowicz — dramatopisarz ..	127
Władysław Pobóg-Malinowski:	Sprawa St. Brzozowskiego	130
Stanisław Biegański:	Jeszcze o „Dokumentach...”	137
—	Nadesłane nowości wydawnicze ..	141

A. Czerniawski, W.T. Drymmer J. Grobicki, A. Mieczysławska, Wi. Popławski, T. Stanko:	Listy do Redakcji	143
---	-------------------------	-----

—	Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1962	149
---	--	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Grudzień – Décembre 1962

INSTYTUT



LITERACKI

Ś. † P.

WŁADYSŁAW POBÓG-MALINOWSKI

HISTORYK I ŻOŁNIERZ

zmarł 1 listopada 1962 roku w Genewie

REDAKCJA « KULTURY »

DARY DO BIBLIOTEKI « KULTURY »

Dziękujemy p. R. Gutowskiej z Brukseli za nadesłanie nam 5-ciu książek.

WPLĄTY NA NAGROBEK DLA A. BOBKOWSKIEGO

Damian Wandycz, Rego Park, N.Y. (USA) 24,50 NF

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Zdzisław Borzym, Chicago, Ill. (USA) po raz trzeci 14,71 NF
DZIEKUJEMY

OD REDAKCJI

W związku z licznymi interwencjami naszych Czytelników zamieszczamy Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1962 w bieżącym numerze, a nie w nrze styczniowym jak dotychczas. W przyszłości Indeks będzie także zamieszczany w nrze grudniowym.

Przypominamy naszym Czytelnikom, że jak co roku następny zeszyt „Kultury” będzie podwójny za miesiące styczeń/luty 1963.

“ Chamy i żydy ”

I

Istnieje pewien, ukształtowany może przede wszystkim przez prasę zachodnią, stereotypowy obraz wydarzeń politycznych w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Stereotyp ten jest niesłychanie rozpowszechniony zarówno w kraju jak i zagranicą. Przypuszczam, że ogromna większość osób interesujących się sprawami polskimi przedstawia sobie sytuację polityczną Polski mniej więcej w taki sposób, jak to niżej próbuję scharakteryzować albo przynajmniej w sposób mocno do tego zbliżony.

Zasadniczym elementem tego stereotypu jest przekonanie, że polscy komuniści, jeżeli nie wszyscy, to w każdym razie poważna ich część, różnią się jaskrawo od swoich towarzyszy z „bratnich partii” tym, że przejawiają wyraźne tendencje liberalne lub w każdym razie liberalizujące. Przyczyn tego stanu rzeczy upatruje się zwykle w starych rozdźwiękach pomiędzy Stalinem a kierownictwem K.P.P. względnie jej późniejszymi kontynuacjami; nie rzadko przy tym podaje się jakieś fakty mające świadczyć o istnieniu wśród czołowych komunistów polskich jakichś form oporu, opozycji czy nawet konspiracji przeciwko Stalinowi.

Tym elementem liberalnym w łonie P.Z.P.R. przypisuje się następnie podjęcie starań o stopniową liberalizację stosunków w Polsce po śmierci Stalina. Proces ten byłby może realizowany powoli i z wahaniami, gdyby nie to, że XX Zjazd K.P.Z.R., a w szczególności słynne tajne przemówienie Chruszczowa z dn. 25 lutego 1956 rozpetęło falę masowego niezadowolenia i obudziło potężny ruch oddolny, dążący do szybkiej realizacji daleko idących reform w duchu jak najbardziej demokratycznym. Ruch ten zaczyna wywierać silną presję na kierownictwo partyjne. Podstawowym narzędziem tej presji staje się prasa, opanowana w tym czasie całkowicie przez pozapartyjne (lub partyjne, ale wypowiadające posłuszeństwo dyrektywom kierownictwa partyj-

nego) elementy konsekwentnie i szczerze demokratyczne. Istniało jednak także szereg innych form tej presji, takich jak publiczne wypowiedzi intelektualistów, tworzenie najrozmaitszych zrzeszeń, demonstracje (z najślawniejszą zbrojną demonstracją Poznańską z dn. 28 czerwca 1956 r. na czele) itd.

W obliczu tych wydarzeń część kierownictwa partyjnego zaczyna zdawać sobie sprawę z konieczności radykalnych przemian i przyłącza się do ruchu masowego do tych przemian nawołującego. Powstaje w ten sposób sojusz bardziej liberalnych, bardziej radykalnych, bardziej liczących się z rzeczywistością komunistów z masowym ruchem oddolnym, domagającym się radykalnych reform. Na przywódcę całego obozu zostaje wysunięty Władysław Gomułka. Ostatecznie obóz ten odnosi kolosalny sukces w październiku 1956 r., łamiąc opór sprzeciwiających się reformom stalinowców i eliminując ich od władzy. To, co się wówczas stało, było rodzajem zamachu stanu, który spotkał się z ostrym, popartym demonstracją zbrojną sprzeciwem Chruszczowa i ówczesnego kierownictwa K.P.Z.R. Gomułce udało się jednak wtedy przekonać Chruszczowa, żeby interwencji zbrojnej zaniechał; sukces ten przypisuje się zwykle poparciu, udzielonemu wtedy Polsce przez Chiny. Interwencja taka miałyby jednak miejsce, gdyby nie zmysł polityczny narodu polskiego, który w przeciwieństwie do narodu węgierskiego, potrafił wówczas nie dopuścić do tego, żeby żądania przybrały treść krańcową i żeby akcje masowe miały formy prowokacyjne. Od rozlewu krwi uratowało wówczas Polskę to, że cały naród rozumiał, że należy zakreślić żądaniom i postulatom pewne rozsądne granice.

W czasie przewrotu i po przewrocie strona zwycięska przeprowadza szereg reform, z których najistotniejszymi były likwidacja zniechęconego U.B., usunięcie „doradców radzieckich” z wojska i z policji, wypuszczenie z więzienia Prymasa Wyszyńskiego i uregulowanie stosunków z Kościołem oraz dopuszczenie do żywiołowej samolikwidacji chłopskich gospodarstw kołchozowych. Pomimo to, okres popaździernikowy charakteryzuje się pogłębiającym się rozdzwieniem pomiędzy dwoma komponentami „oboju październikowego” tzn. pomiędzy zwycięską grupą w kierownictwie partyjnym, a słabnącym już w tym czasie ruchem masowym, w dalszym ciągu reprezentowanym przez prasę i intelektualistów. Właśnie przeciwko prasie i intelektualistom kieruje się w tym czasie głównie atak byłych sojuszników. Ukuwa się dla nich uwłaczającą nazwę „rewizjonistów” i poddaje się ich najprzeróżniejszym represjom. Najbardziej dramatycznym momentem tego konfliktu była likwidacja tygodnika „Po Prostu” i parodniowe rozruchy w Warszawie w październiku 1957 r. (Do tych rozruchów nie przywiązuje się jednak zwykle większego znaczenia). Przyczynę tego antydemokratycznego zwrotu w polityce Gomułki i innych liderów partyjnych upatruje się zwykle we wzmagającej się presji rosyjskiej, której polskie kierownictwo partyjne coraz bardziej ulega. Katastrofalna w tym czasie sytuacja gospodarcza Polski presję tę bardzo Sowietom ułatwia.

Równocześnie jednak podkreśla się, że masowy ruch, domagający się reform, w tym czasie gwałtownie słabnie niezależnie od jakichkolwiek represji. Zjawisko to przypisuje się zwykle takim czynnikom, jak wzrastająca po stłumieniu Powstania Węgierskiego świadomość beznadziejności jakichkolwiek prób przeciwstawienia się Rosji i powszechne godzenie się ze smutnymi koniecznościami wynikającymi z położenia geograficznego Polski.

Stale wzmagająca się presja rosyjska prowadzi w ciągu szeregu lat następnych do powolnego i stopniowego cofania wywalczonych w 1956 r. reform. Polityka Gomułki i innych październikowych zwycięzców staje się coraz wyraźniej i coraz jaskrawiej antydemokratyczna. Charakterystycznym, wielokrotnie podkreślanym zjawiskiem tego okresu jest spadek osobistej popularności Gomułki. Niegdyś podziwiany za odwagę, z jaką potrafił przeciwstawić się Kremlowi, staje się coraz częściej obiektem pretensji o zbytnią wobec Kremla uległość. Uległość tę interpretuje się przy tym coraz częściej jako skutek osobistej nieudolności i ignorancji. Ale mimo postępującej totalizacji Polska wciąż jeszcze wyróżnia się spośród innych krajów bloku komunistycznego pewnym, choć coraz bardziej ograniczonym liberalizmem.

Odnotujemy przy okazji pewne uboczne elementy charakteryzowanego tu stereotypu. Jednym z nich jest pogląd na rolę Kościoła. Kościół uważa się zwykle za jedyną w Polsce realną siłę opozycyjną. Przypisuje mu się przy tym konstruktywną rolę w okresie października. Decyzja Wyszyńskiego poparcia Gomułki w okresie października uważana jest zwykle za akt wielkiej politycznej rozwagi. Wyszyńskiemu przypisuje się też znaczną rolę w niedopuszczeniu do tego, aby ruch październikowy przekroczył pewne granice i naraził kraj na niebezpieczeństwo konfliktu zbrojnego z Z.S.S.R. Drugi uboczny element tego stereotypu to pogląd na sprawę żydowską. Wzniecenie nastrojów antysemickich w społeczeństwie w okresie października uważa się za największy sukces stalinowców. Uważa się, że nastroje te są w Polsce wciąż żywe mimo, iż cieszący się taką popularnością „obóz październikowy” z antysemityzmem walczył zawzięcie.

Staraniem się tutaj, z konieczności ogólnikowo i w sposób bardzo przybliżony, ale możliwie obiektywnie i możliwie *in optima forma* zrekonstruować stan wiedzy przeciętnego czytelnika prasy zachodniej na temat problematyki politycznej Polski ostatnich lat dziesięciu. Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że były znaczne nieraz różnice zarówno w przedstawianiu pewnych zagadnień jak i w stosunku do nich. Różnice te znalazły swój wyraz między innymi w terminologii. Ówczesny warszawski korespondent „Monde'u”, Philippe Ben, stale charakteryzował zwolenników przemian październikowych w kierownictwie partyjnym jako *les libéraux* a ich przeciwników jako *les durs*. W ówczesnej prasie polskiej to samo nazywano „siłami postępowymi i rewolucyjnymi partii” oraz „siłami wstecznymi partii”. Grupę, która w październiku przegrała utarło się w końcu nazywać „Natołińczykami”. Jest natomiast rzeczą charakterystyczną, że grupa,

która wygrała, tak powszechnie stosowanej nazwy nie otrzymała nigdy. Były jednak różnice poważniejsze, niż terminologiczne. Poważne dzienniki amerykańskie jak „New York Times” czy „New York Herald Tribune” wykazywały na ogół więcej rezerwy niż np. brytyjski „New Statesman and Nation”, który charakteryzując październikowy sojusz bezpartyjnych mas z partyjnym kierownictwem używał zwrotów w rodzaju *brave people led by brave leaders*. Największa rewelacja w zakresie wiedzy o oporze stawianym Stalinowi przez czołowych polskich komunistów, a mianowicie podana przez Izaaka Deutschera wiadomość o tym, jakoby w papierach pozostałych po zmarłym Bolesławie Bierucie znaleziono notatkę, zalecającą jego podwładnym sabotowanie dyrektyw radzieckich, nie znalazła, o ile mi wiadomo, wielu chętnych do przedrukowywania jej. Były w ogóle znaczne różnice w stopniu okazywania sympatii dla liberalnego odłamu komunistów polskich. Regułą było, że dziennikarze i publicyści o tendencjach lewicowych i socjalistycznych okazywali im ogromną sympatię, podczas gdy dziennikarze i publicyści o tendencjach prawicowych i konserwatywnych zachowywali rezerwę. Na skrajnej lewicy niekiedy wskazywano nawet na Polskę, jako na wzór do naśladowania dla socjalistów całego świata albo łudzono się, że to, co się dzieje w Polsce odrodzi międzynarodowy ruch robotniczy. Ale mimo tych wszystkich różnic w najistotniejszych punktach panowała powszechna zgoda. W szczególności godzono się na to, że wśród poważnej części komunistów polskich łącznie z wieloma przywódcami partii, panowały silne sympatie liberalne, że koła te poparły oddolny ruch masowy domagający się demokratyzacji ustroju i uniezależnienia się od Z.S.S.R., że wydarzenia października 1956 r. były ogromnym sukcesem sił demokratycznych w Polsce i zarazem porażką Rosji i że tylko niekorzystna koniunktura, w jakiej Polska znalazła się w ciągu lat następnych, a w szczególności potęgujący się nacisk sowiecki sprawiły, że zdobycze demokracji w Polsce nie okazały się trwałe.

II

Będę się starał obecnie wykazać, że naszkicowany tu obraz przebiegu wydarzeń pełen jest zupełnie zasadniczych nieporozumień. Przede wszystkim rzucają się w oczy elementy niejasne, wymagające stawiania pytań, których zwykle nie stawiano, albo na które nie dawano jasnych odpowiedzi.

1. Rzeczą powszechnie uznaną jest rola prasy i intelektualistów w rozbudzeniu opinii publicznej i w wywarciu presji na kierownictwo partyjne. Powstaje jednak pytanie, w jaki sposób prasa, w której nic nie może być wydrukowane bez aprobaty cenzury, może wywierać presję na cenzorów lub ich szefów? A więc jedno z dwojga: albo prasa spełniała wówczas dyrektywy

kierownictwa partyjnego, albo kierownictwo partyjne dobrowolnie z jakichś powodów godziło się na to, żeby prasa pisała to, co uważa za stosowne. W obu wypadkach nie ma mowy o żadnej presji.

2. Powszechnie uważa się, że nagły i gwałtowny zryw opinii publicznej na wiosnę 1956 r. był następstwem tajnego referatu Chruszczowa. Ale od razu powstaje pytanie, dlaczego ten referat rozpowszechniano? Przecież w innych krajach bloku go nie rozpowszechniano. Co więcej, dlaczego rozpowszechniano ten referat tak gorliwie, na otwartych zebraniach partyjnych, tak, żeby każdy, partyjny i bezpartyjny, mógł się z nim zapoznać? W tych warunkach poruszenie opinii publicznej musiało być rzeczą łatwą do przewidzenia. Stąd wniosek, że opinię publiczną rozbudzano celowo.

3. Co właściwie powiedział Gomułka Chruszczowowi 20 października 1956 r.? Co naprawdę skłoniło Chruszczowa do zaniechania interwencji? Krążyło na ten temat mnóstwo pogłosek, ale jedna z tych pogłosek powtarzała się szczególnie uparczywie, mianowicie pogłoska o poparciu udzielonym wtedy Gomułce przez Chiny. Pewną wątpliwość budzi jednak okoliczność, że wszystko to razem odbywało się w ciągu paru zaledwie godzin, w ciągu których rząd chiński nie bardzo miał czas na zebranie informacji, podjęcie decyzji i przystąpienie do działania. Na wątpliwość tę zwykle się odpowiada w ten sposób, że druga tura członków Politbiura Sowieckiego przyjechała do Warszawy w godzinach późniejszych tego samego dnia, przywożąc Chruszczowowi wiadomość o chińskiej interwencji dyplomatycznej. Może to i prawda, ale to nie zmienia faktu, że przebieg rozmowy Chruszczowa z Gomułką jest nikomu nieznanym.

4. Dlaczego ci sami ludzie, którzy potrafili ryzykować konflikt zbrojny z Z.S.S.R., byli później tak ulegli wobec presji sowieckiej w tysiącach spraw drobnych, takich np. czy zezwolić na ukazywanie się jakiegoś pisemka literackiego, albo czy zezwolić na wydrukowanie czegoś itp.? Dlaczego Gomułka, na którego poparta demonstracją militarną presja rosyjska nie podziałała w sprawie Rokossowskiego, ułękł się jej w sprawie Piaseckiego, który, jak to powszechnie sądzono, zawdzięczał swoją dalszą egzystencję i dobrobyt poparciu udzielonemu mu przez Moskwę? Dlaczego Gomułka oparł się tej presji w sprawie indywidualnej gospodarki chłopskiej? Ostatnie pytanie jest może szczególnie niepokojące. Niekiedy mówi się, że polityka rolna Gomułki jest dezaprobowana przez Chruszczowa, niekiedy że aprobowana. Nie wiem, jak jest naprawdę, ale jeżeli jest dezaprobowana, to Gomułka poglądem Chruszczowa na tę sprawę wyraźnie się nie przejmuję, a jeżeli jest aprobowana, to w podobny sposób poglądem Chruszczowa nie przejmują się Ulbricht, Novotny, Kadar itd. Jakkolwiek by więc było, należałoby wyciągnąć wniosek, że sate-

litów stać na samodzielną decyzję w zasadniczej sprawie ustrojowej. A w ogóle wszystkie te pytania prowadzą chyba do wniosku, że albo presji rosyjskiej nie było w ogóle, albo była ona nie tak mocna, żeby można było ją uważać za zasadniczy czynnik kształtujący stosunki polityczne kraju, albo przynajmniej, że Gomułka i polscy liderzy partyjni, kiedy chcieli, opierali się jej skutecznie. Wszystkie te ewentualności prowadzą z kolei do wniosku, że totalizacja ustroju, jaka nastąpiła w latach popaździernikowych, miała inne przyczyny i nie była spowodowana presją rosyjską.

(Nawiasem mówiąc w sprawie presji rosyjskiej pewni publicyści doszli już do podobnych wniosków. Np. pytanie o Rokossovskiego i Piaseckiego postawił Adam Bromke na łamach „The Survey”. Generalnie natomiast kwestię tę podjął w artykułach ogłaszanych ostatnio na łamach „Monde'u” i prasy izraelskiej Philippe Ben, wyrażając w tej sprawie trafny, moim zdaniem, pogląd, że presja istnieje, ale ogranicza się do pewnych szczególnie ważnych dziedzin, natomiast w sprawach innych pozostawia się władzom satelickim znaczny nawet margines swobody).

Sprawę poruszoną w punkcie (3) odłożymy na później. Natomiast wnioski pozostałych trzech punktów można, jak mi się zdaje, uogólnić w postaci tezy, że jedni i ci sami ludzie byli w pewnym okresie, bez względu na to, co myślało o tym społeczeństwo, zainteresowani w demokratyzacji stosunków politycznych w Polsce, a w innym okresie, bez względu na to, co myślał o tym Chruszczow, zainteresowani w totalizacji tych stosunków.

III

Dlaczego? Skąd się bierze ten fenomen świadomego i planowego rozbudzania opinii publicznej w gruncie rzeczy przeciwko sobie? Po co Chruszczow wygłaszał ten swój tajny referat? W jakim celu Cyrankiewicz, Ochab i Zambrowski w ciągu r. 1956 tak się wysilali, żeby zmobilizować opinię publiczną do krytyki partii i komunizmu?

Przed wszystkim możemy odrzucić od razu ewentualność, że ci ludzie robili to ze względu na ukryte, ale szczerze sympatie liberalne, które nakazywały im realizować pewien wzorzec ustrojowy uważany za słuszny nawet wbrew własnym interesom. Ani Chruszczow ani polscy liderzy partyjni żadnych poważnych sympatii liberalnych nie mieli i nie mają. Nietrudno ostatecznie wskazać sytuacje, w których mieli oni okazję okazywania takich sympatii, a ich nie okazywali. Na ewentualny kontrargument, że może tu zachodzić normalne zjawisko zmiany przekonań, jest odpowiedź, że jeżeli za każdym razem zmiana przekonań służy interesom, to rzuca to cień na istnienie jakichkolwiek przekonań w ogóle.

Możemy także, moim zdaniem, odrzucić ewentualność, że działały tu względy natury osobistej. Mam przez to na myśli taką ewentualność, że to ślepa nienawiść do pełnej upokorzeń i straszliwych lęków przeszłości, ślepa nienawiść do tego, na którego zawołanie musieli tańczyć kozaka sprawiła, że nie oglądając się na konsekwencje wygarniali z siebie to co czuli. W moim przekonaniu ten motyw miał wpływ na *wording* referatu Chruszczowa, ale samo jego wygłoszenie musiało mieć inne powody. Przywódcy partii totalitarnych są z reguły ludźmi zimnymi, o konstytucjach raczej schizoidalnych lub paranoidalnych, potrafiącymi dobrze ukrywać swoje myśli i uczucia, kiedy ich ujawnienie zagrażałoby interesom.

W swoim czasie przeczytałem całą masę komentarzy prasowych, artykułów i rozpraw na temat tajnego referatu Chruszczowa. Szukałem w nich przede wszystkim odpowiedzi na pytanie: po co on to zrobił? Mam poczucie, że w całej tej ogromnej literaturze raz tylko natrafiłem na supozycję naprawdę ciekawą. Poza tym jednym wypadkiem kwestię motywów Chruszczowa bądź zbywano milczeniem, bądź wypowiadano się na ten temat niejasno, bądź najbardziej niefortunnie w świecie, formułowano wyjaśnienia, które ogólnie nazwałbym „marksistowskimi”.

Zanim zreferuję tę jedyną hipotezę, która moim zdaniem jest do przyjęcia, pozwolę sobie na pewną dygresję. Pragnę mianowicie krótko odpowiedzieć na pytanie dlaczego moim zdaniem poszukiwanie wyjaśnień o charakterze marksistowskim w tym wypadku nie prowadziło do niczego.

Przed wszystkim, celem uniknięcia nieporozumień, chciałbym określić, jaki typ wyjaśnień nazywam tu marksistowskimi. Otóż mam na myśli często wówczas spotykane argumentacje, że Chruszczow, zdając sobie sprawę z tego, że struktura społeczna Z.S.S.R. w kolosalnym stopniu obniża zdolności produkcyjne tego kraju i prowadzi do gospodarczej anarchii, pragnął zadać swoim referatem śmiertelny cios zawzięciem broniącemu swoich przywilejów aparatowi partyjnemu i w ten sposób umożliwić „technokratyzację” ustroju i całego systemu rządzenia w nadziei, że te zmiany pozwolą mu na podjęcie na wielką skalę współzawodnictwa ze Stanami Zjednoczonymi. Ten typ wyjaśnień jest, moim zdaniem, nie do przyjęcia z kilku względów. Chruszczow ma niewątpliwie ogromne zasługi w modernizacji zacofanego sowieckiego ustroju gospodarczego. Ale trudno dociec, jaki to może mieć związek z jego tajnym referatem. Jakkolwiek rozpaczliwy mógł być stan gospodarki sowieckiej w lutym 1956 r., trudno przypuścić, żeby wygłoszenie tego referatu mogło cokolwiek w tym zmienić. Mogło co najwyżej sytuację pogorszyć, na przykład przez spowodowanie fali strajków. Co więcej, samo wygłoszenie tego referatu mogło tylko wzmocnić opór aparatu partyjnego przeciwko Chruszczowowi i nie prowadziło do jego rozbrojenia. Trudno sobie wyobrazić, jak ten referat mógłby być środkiem naprawy czegokolwiek. Co więcej trudno zrozumieć, dlaczego by ten krok, tak ryzykowny i niebezpieczny, miał być naprawdę

niezbędny do dokonania radykalnych przemian strukturalnych, do których Chruszczow skąd inąd zmierzał i które częściowo udało mu się później zrealizować. Gospodarka sowiecka przez długie lata stała na głowie i mogłaby sobie jeszcze trochę postać. W każdym razie trudno zrozumieć, jak jej naprawie mogło służyć opluwanie siebie, swojej przeszłości, swoich przyjaciół, swojej partii i swojego państwa.

(*Mutatis mutandis* ta sama argumentacja stosuje się do sformułowanej czasem wówczas hipotezy, że Chruszczow chciał przez swój referat ułatwić sobie rokowania z Zachodem. Nawet jeżeli antystalinizm Chruszczowa zjednywał mu na Zachodzie jakieś sympatie, to i tak trudno przypuścić, żeby Chruszczow liczył na to, że politycy zachodni zmiękną tylko dlatego, że on taki ładny referat wygłosił. Kroki zmierzające do porozumienia z Zachodem mógł sobie Chruszczow podejmować do woli i bez tego referatu; dalsze wydarzenia budzą jednak zasadnicze wątpliwości, czy Chruszczowowi w ogóle w tym okresie na jakimś porozumieniu z Zachodem zależało. Ale gdyby nawet zależało, to trudno zrozumieć, co mu w tym mógł pomóc referat).

Cała ta sprawa budzi pewną refleksję natury ogólniejszej, bardziej abstrakcyjnej. Znanie są spory o ogólne zasady wyjaśniania wydarzeń historycznych. Rozmaici autorzy, podkreślali rolę sprawczą, jaką odgrywają w procesach historycznych najróżniejsze czynniki: gospodarcze, społeczne, kulturalne, demograficzne, klimatyczne, osobowe i nawet higieniczno-sanitarne. Najgłośniejszym z tych sporów był zawsze spór marksistów z ich niektórymi przeciwnikami o „rolę jednostki w historii”. Spór ten, i rozmaite inne spory o podobnym charakterze traktowano zwykle tak, jakby był to jakiś problem „filozoficzny”, możliwy do ogólnego rozstrzygnięcia. Tymczasem jest to problem jawnie empiryczny i nie dający się rozstrzygnąć ogólnie; albowiem w każdym konkretnym przypadku rola jednostkowej decyzji i rola czynników, powiedzmy, gospodarczych może być różna w zależności od ustroju i struktury społecznej kraju, w którym mają miejsce wydarzenia będące przedmiotem wyjaśniania. Z tego, że marksistowski model wyjaśniania zdarzeń pasuje do dziewiętnastowiecznej Anglii, nie wynika jeszcze, że pasuje on do Wojen Krzyżowych albo Reformacji. Ale nawet jeżeli do Wojen Krzyżowych i do Reformacji pasuje świetnie, to jawnie nie pasuje do nowoczesnych systemów totalitarnych, które właśnie polegają na tym, że jednostka obdarzona władzą dyktatorską ma ogromny margines swobody w podejmowaniu decyzji. W ustroju totalitarnym zdeterminowanie „świadomości” tej jednostki przez „byt” wydaje się wysoce problematyczne. Ma ona znaczną swobodę wyboru, czy się liczyć z „warunkami ekonomicznymi”, „intereselem klasy, którą reprezentuje” itp., czy się nie liczyć; i doświadczenie pokazuje, że nierzadko decyduje zupełnie swobodnie, ze względami tymi nie licząc się. Moim zdaniem mało zrozumienia dla struktury ustroju totalitarnego wykazuje ten kto np. wyjaśnia walki w łonie politbiura sowieckiego przez różnice poglądów na

temat rolnictwa, te zaś różnice z kolei przez różnice interesów grup społecznych których poszczególni członkowie Politbiura są wyrazicielami. O wiele więcej sensu ma wysunięcie na plan pierwszy motywu zdobycia, powiększenia i utrzymania władzy i traktowanie różnic w poglądach na rolnictwo jako środków walki o tę władzę. W tych sporach o rolnictwo w istocie chodzi o władzę, a nie o rolnictwo. Ten model wyjaśniania nie jest oczywiście niczym nowym; tego rodzaju poglądy lansowali jeszcze w XIX w. klasycy liberalizmu brytyjskiego, a w w. XX propagował je m.in. Bertrand Russell. Model ten wydaje się cenny pod warunkiem, że się pamięta, że on też ma ograniczone pole zastosowania. Mimo to szkoda, że w naszych czasach model ten uległ pewnej depopularyzacji, ustępując miejsca potwornie nadużywanemu modelowi marksistowskiemu. Czytelnik z łatwością zauważy, że w próbach wyjaśniania wydarzeń, którymi się tu zajmuję, będę się posługiwał głównie właśnie tym modelem.

IV

Po tej dość długiej dygresji możemy wrócić do sprawy zasadniczej. Wspomniałem, że w literaturze na temat XX Zjazdu K.P.Z.R. znalazłem jedną myśl szczególnie interesującą. Mam na myśli przypuszczenie sformułowane na łamach „Kultury” przez Aleksandra Weissberg-Cybulskiego, że celem Chruszczowa było to, żeby stalinowskie metody rozprawiania się z przeciwnikami skompromitować tak doszczętnie, aby w przyszłych walkach o władzę nikomu już więcej nie opłacało się do tych metod uciekać.

Hipotezę tę uważam za interesującą przede wszystkim dlatego, że jednym z najsilniejszych możliwych motywów ludzkich jest strach przed torturami. Członkowie Politbiura sowieckiego znajdowali się w sytuacji, w której ewentualność ta mogła być jak najbardziej realna: przeszłość uczyła, że do tego wystarczył jakiś fałszywy krok, jakieś powinięcie się nogi, jakieś przypadkowe wzbudzenie nieufności silniejszego przeciwnika. Dalszy przebieg wydarzeń pokazał, że walka o dziedzictwo po Stalinie w momencie XX Zjazdu dopiero zaczynała się na dobre. Leaderzy partii sowieckiej musieli być tego świadomi i w tej sytuacji ich strach przed *brainwashing*’iem musiał urastać do rozmiarów panicznych. Wydaje mi się prawdopodobniejsze, że na referat Chruszczowa wyraziły zgodę wszystkie później obalone wielkości, które wtedy jeszcze w Politbiurze rezydowały, niż że był on osobistą inicjatywą Chruszczowa, która zaskoczyła pozostałych; referat taki leżał w końcu we wspólnym interesie wszystkich. Jakkolwiek było, referat ten nie załatwiał żadnego problemu personalnego. Ci panowie bynajmniej nie rezygnowali z walki

ze sobą, a tylko i wyłącznie zobowiązywali się, że nie będą się ze sobą rozprawiać metodami Stalina. Referat stwarzał swoistą gwarancję, że zobowiązanie zostanie dotrzymane. To był cel, dla którego zdecydowano się na krok politycznie samobójczy. Z motywów czysto osobistych ludzie ci nie wahali się wystawić państwo, którym władali, na pośmiewisko jego wrogów, doprowadzić do masowego opuszczania szeregów partii komunistycznych przez najwartościowszych ich członków, ryzykować anarchię wewnątrz kraju i porażki dyplomatyczne w polityce zagranicznej. Fakt, że okres najostrzejszych walk o władzę w Sowietach nastąpił po tym wydarzeniu oraz że w walkach tych, mimo ich brutalności, do *brainwashing'u* ostatecznie nie doszło, stanowi pewne pośrednie potwierdzenie hipotezy Weissberga *ex post*.

V

Hipoteza Weissberga dowodzi, że może zaistnieć taka sytuacja, kiedy w interesie rządzących leży faktyczne rewoltowanie rządzonych przeciwko sobie. Poprzednie moje uwagi zmierzały do tego, żeby wykazać, że taka sytuacja zaistniała w r. 1956 także w Polsce. Dlaczego?

Kluczem do rozwiązania zagadki są wydarzenia VI Plenum K.C. P.Z.P.R., które się odbywało w Warszawie w połowie marca 1956. Z różnych niedyskrecji wiadomo już dzisiaj dość dobrze, co wtedy zaszło. W Warszawie pojawił się Chruszczow, oficjalnie po to, aby peregrynować pieszo z Nowego Świata na Powązki za trumną Bieruta, faktycznie po to, aby nie dopuścić do wyboru na jego następcę nikogo z ludzi Stalina. Tę samą politykę Chruszczow realizował także na Węgrzech i w Bułgarii, usuwając Rakosiego i Czerwenkowa; że było to działanie racjonalne, tego dowodzi przykład Albanii, gdzie ręce Chruszczowa okazały się za krótkie i gdzie obecność ludzi Stalina u władzy stała się w końcu dla niego źródłem tyłu nieprzyjemności. Wiadomo dość dobrze, że gdyby nie presja Chruszczowa, na sekretarza generalnego K.C. P.Z.P.R. byłby wówczas wybrany Roman Zambrowski. Kandydatem proponowanym wtedy przez Chruszczowa był jakoby Zenon Nowak; ostateczny wybór Edwarda Ochaba był jakoby rezultatem kompromisu. W każdym razie kandydaturze Ochaba Chruszczow się już nie sprzeciwiał.

Interwencja Chruszczowa stawia grupę kierowniczych komunistów, którzy faktycznie rządili Polską za czasów Stalina, w położeniu rozpaczliwym. Stanowi dla nich jawną wskazówkę, że przestali się cieszyć zaufaniem mocodawców i tym samym, że ich dni są policzone; że muszą odejść i ustąpić miejsca ludziom nowym, którzy cieszą się zaufaniem nowych ludzi na Kremlu.

Rozpaczliwość ich sytuacji pogłębia fakt, że przeciwko nim jest armia, na czele której stoi rosyjski generał, który do ich siuchty nie należy. Jedyną realną siłą, jaką jeszcze dysponują, jest policja. W tym układzie sił los tych ludzi wydaje się przypieczętowany.

Kto należał do tej grupy i kim byli ludzie, na których obecnie stawiał Chruszczow? Ludzie, którzy faktycznie rządili Polską w czasach Stalina, to przede wszystkim Bolesław Bierut, Roman Zambrowski, Jakub Berman, Hilary Minc i Franciszek Mazur. Ta piątka miała oczywiście całą armię dependentów, którzy zapewniali jej większość, gdzie tylko było potrzeba. Po śmierci Bieruta na czoło grupy wysuwa się wyraźnie Zambrowski. Natomiast Mazur, który zaczyna zerkać na stronę przeciwną, próbując, zresztą bezskutecznie coś z łaski Kremla dla siebie wyżebrać, zostaje przez grupę wyraźnie odsunięty. W sztabie grupy znajdują się w tym czasie m.in.: Jerzy Albrecht, Antoni Alster, Tadeusz Daniszewski, Ostap Dłuski, Maria Federowa, Romana Granas, Piotr Jaroszewicz, Helena Jaworska, Leon Kasman, Julian Kole, Wincenty Kraśko, Władysław Matwin, Jerzy Morawski, Marian Naszkowski, Mateusz Oks, Józef Olszewski, Jerzy Putrament, Mieczysław Rakowski, Adam Schaff, Artur Starewicz, Jerzy Sztachelski, Roman Werfel i Janusz Zarzycki. Niewątpliwie zbliżona do tej grupy jest większość byłych PPS-owców w K.C., konkretnie Józef Cyrankiewicz, nieżyjący już dziś Tadeusz Dietrich, Henryk Jabłoński, Oskar Lange, Lucjan Motyka, Adam Rapacki, Marian Rybicki i może przede wszystkim Andrzej Werblan. W swoim czasie poważną rolę odgrywali, dziś już całkowicie odsunięci sekretarze komitetów wojewódzkich największych miast: Stefan Staszewski i Stanisław Kuziński z Warszawy, Michalina Tatarówna-Majkowska z Łodzi oraz Jan Kowarz z Wrocławia.

Grupa przeciwna składa się przeważnie z młodszych stażem członków K.C., zbuntowanych przeciwko piątce i gorliwych w zaprowadzaniu w Polsce nowego kursu, wyznaczonego przez Moskwę. Na czoło grupy wybija się Zenon Nowak. Na nieco niższym szczeblu jest kilku energicznych, ale wyjątkowo brutalnych i wyjątkowo niedoświadczonych działaczy jak Stanisław Brodziński, Wiktor Kłosiewicz, Władysław Kruczek, Stanisław Łapot, Kazimierz Mijał, Bolesław Rumiński, Jan Trusz i Kazimierz Witaszewski. Poparcie Moskwy zapewnia tej grupie automatycznie posłuszną solidarność ze strony niedotkniętej ekskomuniką Chruszczowa części Politbiura: stąd w tym czasie z grupą tą sympatyzują tacy starsi działacze jak Aleksander Zawadzki, Konstanty Rokossowski, Franciszek Józwiak, Hilary Chełchowski i Stefan Matuszewski. Wszystkich ich razem nazywano później „Natolińczykami”. Natomiast na określenie pierwszej grupy w żargonie partyjnym uitała się nazwa „Grupa Puławska”. Nazwa ta nigdy jednak nie spopularyzowała się tak dalece jak poprzednia i o ile przeciętny Polak potrafiłby z łatwością odpowiedzieć na pytanie, co to jest „Natolin”, rzadko kiedy umiałby wyjaśnić, co to są „Puławy”. Ale menadżerzy tych grup nazywają się wzajemnie od

dawna inaczej. Dla Puławian Natolińczycy to „chamy”, a dla Natolińczyków Puławianie to „żydy”. Obie nazwy świadczą chlubnie o ideologicznym wyrobieniu i głębi socjalistycznych przekonań jednych i drugich.

Po interwencji Chruszczowa na VI Plenum sprawa wydaje się więc jasna. „Żydy” muszą odejść i ustąpić miejsca „Chamom”. Wszelki opór wydaje się w tej sytuacji beznadziejny.

Ale komuniści tak łatwo z władzy nie rezygnują. Puławianie w sytuacji zdawałoby się beznadziejnej, do walki przystępują, rozgrywają ją z godnym podziwu mistrzostwem i kończą absolutnym zwycięstwem.

Ludzie bezpośrednio odpowiedzialni za koszmarny terror policyjny, nieludzki ucisk, wymordowanie setek najlepszych i najwartościowszych ludzi i zniszczenie kultury polskiej, decydują się teraz wyzyskać jako swój podstawowy atut w walce z przeciwnikami... opinię publiczną.

Okazja sama się nadarza. Jest nią ów nieszczęsny referat Chruszczowa. Impreza zostaje wyreżyserowana w ten sposób, że nawet kilkuletnie dzieci wpuszcza się na zebrania, na których dowiadują się one szczegółów tortur, wymuszania zeznań, ludobójstwa itp. Na zebraniach tych pojawia się kilku, stale tych samych, stosunkowo mniej skompromitowanych członków grupy: Jerzy Morawski, Władysław Matwin, Leon Kasman, Stefan Staszewski. Jak chłopcy na posyłki krążą oni od fabryki do fabryki i od instytucji do instytucji i wszędzie pokazują, jak ich serce boli. Nie ważne jest zresztą co mówią i jak się zachowują; ważne jest, że w tłum idzie wieść: „Istnieje w kierownictwie partyjnym grupa „Młodych Sekretarzy”. To są uczeni komuniści, którzy szczerze dążą do demokratyzacji. Trzeba im pomóc”. Opinię publiczną trudno było zmusić, żeby identyfikowała się z Bermanem, Mincem i Zambrowskim. Rzecz aranżowano więc tak, żeby się zaczęła identyfikować z Morawskim i Matwinem.

Grupa ma wciąż w swoim ręku cenzurę, prasę i posłusznych pisarzy. Cenzura i redakcje dostają jak najbardziej liberalne wytyczne i w prasie zaczynają się pojawiać jeden po drugim odważne, reformatorskie, konsekwentnie demokratyczne artykuły, polemiki i felietony Jerzego Putramenta, Adama Schaffa, Stefana Arskiego, Zbigniewa Mitznera, Edmunda Osmańczyka, Henryka Korotyńskiego i wielu innych. Opinia publiczna zaczyna widzieć, że może liczyć na intelektualistów partyjnych. Nawet jeżeli w przeszłości błędzili, to dziś, gdy zrozumieli swoje błędy, odważnie i bez wahań piszą prawdę.

Wstrząs jest jednak silny, tym bardziej, że zarówno na zebraniach publicznych, jak i na łamach prasy sytuację szybko wykorzystują jednostki, które przez grupę nie są kontrolowane i które potrafią przemawiać i pisać zręczniejsz niż ci, którzy robią to na rozkaz. Rozbudzona opinia domaga się przede wszystkim dwóch rzeczy: reform i ukarania winnych. Z pierwszym nie ma kłopotu: Puławianie są teraz najdemokratyczniejsi i najliberalniejsi w świecie. Ale co zrobić z drugim problemem? Podjęta zostaje decy-

zja bolesna. Najbardziej zniechęcony i skompromitowany Jakub Berman zostaje poświęcony na ołtarzu sprawy. Dodaje mu się do towarzystwa trzech oficerów Bezpieczeństwa, niezręcznie w ten sposób sugerując, że gdyby ci trzej oficerowie nie nabroili, wszystko byłoby O.K. Opinia jest wyraźnie niezaspokojona. Wobec tego jeszcze paru figurantów (Dworakowski, Świątkowski) idzie w odstawkę. To wszystko jednak mało.

Grupa zaczyna rozumieć, że problem odpowiedzialności osobistej musi być rozegrany inaczej, środkami bardziej subtelnymi. Przy pomocy inspiracji, perswazji, aluzji i przede wszystkim plotki, wędrującej kanałami prywatnymi, nieoficjalnymi. W fabrykach, biurach, redakcjach, kawiarniach pojawiają się uczeni, pełni dobrej woli członkowie partii, którzy zawsze mają czas, wysłuchują skarg, długo i cierpliwie tłumaczą, informują, sugerują. Zniknęli władczy, fanatyczni, nieprzystępni, niedopuszczający do dyskusji biurokraci. Widać, że członkowie Partii to tacy sami ludzie, jak wszyscy inni; widać, że oni też byli ofiarami stalinizmu. Wśród tych sympatycznych członków Partii jest sporo kobiet. Inteligentne, dobrze poinformowane, nie zachowujące żadnego dystansu, gotowe z każdym być na „ty” z łatwością potrafią przekonać swoich rozmówców o słuszności wspólnej sprawy!

Parę wspomnień osobistych. Koleżanka z pracy, członek rodziny jednego z najwyższych dostojników partyjnych, informuje mnie i parę innych osób, że „Zambrowski to bardzo porządny człowiek. On naprawdę szczerze i uczciwie zmienił przekonania. Za to Zawadzki to straszna świnia”. Żona dyrektora departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w większym gronie w kawiarni długo tłumaczy, że domaganie się odpowiedzialności osobistej za wyczyny w okresie stalinowskim, to tylko woda na młyn Natolińczyków, bo oni tym hasłem demagogicznie szermują po to, żeby rozpętać hecę antysemicką. Oficer Dywizji Kościuszkowskiej, łączniczka Zambrowskiego opowiada mi długo w nocy o tym, jak na froncie wschodnim przewoziła od Zambrowskiego do Alfreda Lampego i z powrotem jakieś konspiracyjne materiały i jak w trzy dni potem Lampe już nie żył, jej zdaniem niewątpliwie zamordowany. Podaję te trzy przykłady jako coś typowego: Uwaga tych doradców i doradczyń była całkowicie pochłonięta sprawami personalnymi, a nad wszystkim dominowała intencja tworzenia alibi dla szefa i jego kompanów oraz przerzucenia odpowiedzialności na innych.

VI

W lipcu 1956 r. spadają na Puławian trzy ciosy. Wizytujący Polskę w czasie święta 22 lipca Bułganin w oficjalnym przemówieniu atakuje w gwałtowny sposób całą polską prasę. Niemal

jednocześnie w czasie odbywającego się w tym samym miesiącu VII Plenum K.C. P.Z.P.R. Natolińczycy występują z dwiema groźnymi inicjatywami. Wiktor Kłósiewicz domaga się wprowadzenia do K.C. Gomułki, a Zenon Nowak wygłasza dłuższy, naszpikowany danymi statystycznymi referat, ilustrujący jaki odsetek stanowisk w różnych resortach zajmują Żydzi.

Przemówienie Bułganina było oczywiście pomyślane jako ostrzeżenie grupy przed dalszym rozrabianiem opinii. Groźba poskutkowała: kleszcze cenzury, nieco już ściśnięte po wypadkach poznańskich, po przemówieniu Bułganina zostają mocno zaciśnięte i konfiskaty sypią się jedna za drugą. Na propozycję w sprawie Gomułki grupa odpowiada sprzeciwem: bądź co bądź to Zambrowski podpisywał nakaz aresztowania byłego sekretarza generalnego K.C. Na plenum sprzeciw ten w imieniu grupy wyraża Stefan Staszewski, a panie mówią po kawiarniach, że „nie należy dawać posłuchu pretensjom, które mają już dziś charakter historyczny”. Obie te reakcje nie były szczególnie mądre i w obu wypadkach przyszło wkrótce do zmiany decyzji. Natomiast reakcja na przemówienie Nowaka i w ogóle cała sprawa żydowska została rozegrana z niebywałym mistrzostwem.

Sens przemówienia Nowaka był jasny. Da ono się streścić w słowach: „Jak wy będziecie dalej tak szermować swoim liberalizmem przeciwko nam, to my przeciwko wam poszermujemy antysemityzmem i zobaczymy, za kim pójdą wtedy masy”. Tej raczej banalnej myśli służyła cała rozbudowana statystyka. Grupa Puławska nie była bynajmniej, jak to później Natolińczycy usiłovali sugerować, grupą ekskluzywnie żydowską. Ale grupa Natolińska była „rasowo czysta” i dlatego, w przeciwieństwie do pierwszej, na luksus antysemityzmu mogła sobie pozwolić.

Przemówienie Nowaka było na razie pogroźką; próba jej realizacji nastąpiła dopiero później. Mimo to Puławianie od razu ruszyli do kontrataku.

Przede wszystkim pogwałcono zupełnie zasadę tajemnicy obrad Plenum. Kto chciał i kto nie chciał, musiał słuchać, jak komunizm jest hańbiony przez rasistowskie przesady niektórych towarzyszy. Ze wszelkimi szczegółami i z wymienianiem nazwisk opowiadano, co powiedział Nowak i jak mu replikowano. Nie ograniczano się w tym do ostatniego Plenum: nagle się okazało, że już na poprzednim Plenum Chruszczow robił jakieś antysemickie uwagi i dowcipy. Kolportując rzekomo wypowiedziane wtedy przez Chruszczowa powiedzonka Puławianie osiągnęli dwa cele uboczne: kompromitowali antysemityzm Natolińczyków przez wskazywanie na jego moskiewskie pochodzenie oraz sugerowali, że rzeczywistym powodem sprzeciwu Chruszczowa wobec kandydatury Zambrowskiego było jego żydowskie pochodzenie, co, nawet jeżeli dowcipy są prawdą, jest już zupełnie nieprawdopodobne. Od tej pory propaganda Puławian staje się mniej lub bardziej otwarcie antysowiecka.

W kształtowaniu opinii publicznej Puławianom udaje się dokonać jeszcze jednej niebywale zręcznej wolty. Udaje im się

mianowicie wykorzystać sprawę żydowską do likwidacji tak bardzo niewygodnego dla nich problemu odpowiedzialności osobistej za wyczyny z okresu stalinowskiego. Kto tę sprawę podnosi, zostaje natychmiast okrzyczany jako antysemita. Przykładem tego, jak manipulowano straszakiem antysemityzmu tam, gdzie czyjeś pochodzenie żydowskie nie miało najmniejszego znaczenia i gdzie naprawdę chodziło o coś całkiem innego, może być nieco późniejsza już sprawa Burgina. Juliusz Burgin był w czasach stalinowskich dyrektorem jednego z departamentów Ministerstwa Bezpieczeństwa. Z tej racji został po październiku przesłuchany przez specjalną komisję do badania działalności wspomnianego resortu. Coś istotnego musiało w trakcie tego przesłuchania wyjść na jaw, skoro natychmiast po przesłuchaniu Burgina odwołano ze stanowiska rządowego, które wówczas zajmował. Zanim wiadomość o jego odwołaniu mogła ukazać się w prasie, „Przegląd Kulturalny” zamieścił idiotyczny i historyczny artykuł Burgina o tym, jak Żydzi uciekają z Polski do Izraela, nie mogąc znieść poniżeń i upokorzeń, które ich na każdym kroku w Polsce spotykają. Cel był jasny: stworzyć wrażenie, jakoby dymisja była represją za artykuł, odwrócić tym samym uwagę od ciemnej przeszłości i jednocześnie rzucić podejrzenie, że wszystko razem było rozgrywką na tle rasowym. Z artykułem Burgina podjęła najpóźniej słuszną polemikę trójka młodych redaktorów z „Po Prostu”, o których zaczęto natychmiast po kawiarniach szeptać: „to antysemita!”. Miałem w Warszawie znajomą, zwyczajną aferzystkę i złodziejkę, Żydówkę, która oskarżała o antysemityzm wszystkich, którzy wysuwali pod jej adresem pretensje finansowe. Dobra szkoła grupy Puławskiej odnosiła rezultaty. Doszło do tego, że ludzie naprawdę zaczęli wierzyć, że tylko antysemita żąda odpowiedzialności za zbrodnie stalinizmu i że po to, aby do antysemityzmu nie dopuścić, należy z żądań tych zrezygnować. Ten kto żądał ukarania ubeka-nieŻyda, też był okrzykiwany antysemitą. Wielokrotnie powtarzany absurd był w końcu brany na serio.

Do akcji zmobilizowano prasę. Zaapelowano do różnych ludzi cieszących się autorytetem, którzy zaczęli publikować artykuły na temat antysemityzmu. Najlepiej spełnił jednak swoje zadanie bodajże Jerzy Broszkiewicz, który podkreślił, że antysemityzm „dawno już przekroczył progi komitetów partyjnych”. O takie wskazywanie palcem przecież chodziło. Zainspirowano też na wielką skalę prasę zachodnią. Inspirowanie prasy zachodniej przez grupę Puławską zdarzało się już zresztą i dawniej; było to jednak raczej inspirowanie indywidualnych korespondentów czy poszczególnych artykułów. Tu po raz pierwszy zrobiono to na znacznie większą skalę. Charakterystyczny był podział ról pomiędzy prasą krajową i zagraniczną. O ile prasa krajowa biła przede wszystkim na alarm, że antysemityzm jest hańbą dla narodu polskiego, klasy robotniczej, partii komunistycznej itp., o tyle prasa zachodnia akcentowała przede wszystkim moskiewskie pochodzenie zarazy. Natomiast zarówno prasa krajowa jak

i zachodnia zgodnie oceniały, że antysemityzm jest w Polsce czymś bardzo potocznym i występuje notorycznie.

Chcę być dobrze rozumiany. W najmniejszym stopniu nie jest moją intencją bądź lekceważenie antysemityzmu, bądź tym bardziej jego usprawiedliwianie. Chcę tylko jasno powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, że w ocenie nastrojów antysemickich w Polsce w tym czasie znacznie przesadzono i to celowo przesadzono. Przekonali się o tym najlepiej Natolińczycy, kiedy w okresie przewrotu październikowego spróbowali pogróżkę Nowaka zrealizować i swojej propagandzie istotnie nadali ton antysemicki. Akcja ich zakończyła się kompletnym fiaskiem. Donoszono wtedy o sprowokowaniu jakichś zająć na Dolnym Śląsku, ale osobiście nie znam ani jednego faktu sprawdzonego, a w każdym razie ani jednego faktu, co do którego zachodziłaby pewność że zajście wynikło istotnie na tle antagonizmu rasowego. Podana bodajże przez Romana Zimanda wiadomość o zamordowaniu jakiegoś Żyda w biały dzień na Dworcu Głównym we Wrocławiu okazała się czystym wymysłem. Oceniając rzecz z punktu widzenia czystej taktyki politycznej Natolińczycy, decydując się na otwarty antysemityzm popełnili błąd katastrofalny. Niewątpliwie działali w przekonaniu, że antysemityzm jest w Polsce czymś „chwytnym” i że przy jego pomocy „trafią do mas”. W rzeczywistości przekonanie to było stereotypem, uzasadnionym może dziesięć lat wcześniej, ale w tym czasie od dawna zupełnie już nieaktualnym. Propaganda natolińska okazała się przysłowiowym grochem o ścianę. Nikt się na ten numer nie nabierał i nikt się do bicia Żydów nie śpieszył. Natolińczycy dali w ten sposób tylko broń do ręki swoim przeciwnikom, którzy potrafili po mistrzowsku wykorzystać ludzkie oburzenie moralne na antysemityzm dla własnych celów, nic ze sprawą żydowską nie mających wspólnego.

Ale chciałbym wyraźnie powiedzieć jeszcze coś innego. To mianowicie, że ani Natolińczycy ani w ogóle antysemita nie mają bynajmniej monopolu działania na szkodę ludności żydowskiej w Polsce. O ile nastroje antysemickie w Polsce w r. 1956 były już bardzo słabe, o tyle Puławianie swoją praktyką oskarżania o antysemityzm każdego, kto miał do nich o cokolwiek pretensję zrobili wszystko, żeby nastroje te wzmocnić. Sytuację pogarszała jeszcze ta okoliczność, że w środowisku Puławian było mnóstwo pospolitych afer kryminalnych na wielką skalę (sprawa Lucjana Pennera, sprawa Józefa Krakowskiego i różne sprawy handlu zagranicznego i przede wszystkim porwanie Bohdana Piaseckiego), które w ogólnej atmosferze walki z antysemityzmem sprawcom uchodziły na ogół na sucho. Ale to nie wszystko. Umożliwienie Żydom polskim emigracji do Izraela było zapewne inicjatywą Puławian. Puławianom musiało zależeć na tym, żeby raz na zawsze pozbyć swoich przeciwników okazji do manewrowania antysemityzmem; usunięcie ludności żydowskiej z Polski było najlepszym środkiem, prowadzącym do tego celu. Za to żydostwo całego świata może być Puławianom tylko wdzięczne. Tylko,

że cały ten plan został wykonany może z nieco przesadną konsekwencją. Tel-Aviv czy Haifa są dzisiaj miastami, które pod względem odsetka mieszkańców mówiących po polsku śmiało mogą konkurować z Chicago czy Detroit. Tylko w przeciwieństwie do Chicago czy Detroit żadne polskie dziecko z Tel-Avihu czy Haify nie zostanie nigdy zaproszone do Polski na kolonie wakacyjne, nikt w Warszawie się nie zatroszczy, żeby do tych miast docierały polskie książki i polska prasa, a śmiałkom, którzy decydują się iść do konsulatu P.R.L. w Tel-Awivie prosić o wizę, niemal zawsze pokazuje się drzwi, i to bez względu na to, jaką ilością dewiz petenci ci dysponują. Jak widać z powyższego władzom P.R.L. nie zawsze jest obojętne, kto jest ochrzczony, a kto obrzezany. I to jest skutek polityki Puławian, a nie Natolińczyków ani żadnych innych sił w P.Z.P.R.

VII

Rozpisałem się tutaj o sprawie żydowskiej dlatego, że na ten temat było w r. 1956 szczególnie dużo zamieszania. Ale mimo to kampania prowadzona w tej sprawie przez Puławian począwszy od lipca 1956 r. była czymś na marginesie kampanii zasadniczej, która polegała na systematycznym, imiennym kompromitowaniu swoich przeciwników.

Zaraz po VII Plenum K.C. zostają szeroko roztrąbane pierwsze informacje o Natolińczykach. Poza informacjami o ich antysemityzmie podkreśla się w szczególności ich antyinteligencność, ich stalinowskie poglądy i nawyki oraz ich powiązania z ambasadą radziecką. Ostatnia informacja była bezwątpienia prawdziwa. Także informacja o antyinteligencji Natolińczyków była prawdziwa, niezależnie od faktu, że ten moment nie bez powodu był wysunięty na plan pierwszy. Do stylu działania Puławian należało bowiem zawsze zaczynanie „od góry” społeczeństwa. Każdy działacz tej grupy miał prywatne powiązania z jakimiś środowiskami intelektualnymi lub artystycznymi, przeważnie warszawskimi. Każdą plotkę, każdą sugestię, każdą inspirację puszczano w obieg przede wszystkim tymi kanałami; dopiero później rozchodziły się one po całym społeczeństwie i po całym kraju. Rzecz prosta, informacja o antyinteligencji Natolińczyków dla tych środowisk musiała mieć walor szczególnie mobilizujący; ona w pierwszym rzędzie zapewniała Puławianom poparcie tych środowisk. Natomiast jeżeli chodzi o stalinizm Natolińczyków, to ta etykieta jest w stosunku do nich uzasadniona na pewno nie bardziej, a może nawet trochę mniej, niż w stosunku do Puławian. Za czasów Stalina Natolińczycy w opozycji nie byli z pewnością i dyrektywy spełniali gorliwie. Ale gwardia stalinowska w Polsce, to przede wszystkim Puławianie, a Natolińczycy to raczej ludzie Chrusz-

czowa. Natolińczycy domagali się odpowiedzialności personalnej za zbrodnię U.B., podczas gdy Puławianie wywijali się jak mogli i zrobili wszystko, żeby sprawę utopić. Oczywiście było w tej taktyce natolińskiej sporo demagogii i są wszelkie dane, aby sądzić, że ta odpowiedzialność miała też pewne, z góry zakreślone granice. Ale mimo wszystko sam fakt, że Natolińczycy dyskusję na ten temat prowokowali, a Puławianie bali się jej jak zarazy, o czymś świadczy.

Puławianie nie cofają się przed żadnym środkiem personalnej kompromitacji swoich przeciwników. Czego nie można w prasie napisać wprost, to się robi przy pomocy aluzji, na którą czytelnik jest w tym czasie szczególnie wyczulony. Po kraju krążą w robionych na maszynie odpisach wierszyki satyryczne o Witaszewskim, Łapocie czy Józwiaku. Szerokie warstwy ludności zostają poinformowane o tym, jak wysokie są pensje Kłosiewicza, Mijala czy Nowaka, ile mają oni willi do swojej dyspozycji i jak wyglądają orgie seksualne w tych willach urządzone, zupełnie tak, jakby ministrowie puławscy nie otrzymywali tych samych poborów, nie mieli tych samych willi i jakby ich obyczajowości nie można było nic zarzucić. Dla Puławian w tym okresie względy lojalności wobec partii czy względy na interes państwa przestają odgrywać jakąkolwiek rolę. Ich agenci nie zajmują się dosłownie niczym konstruktywnym: cała ich uwaga pochłonięta jest wyłącznie personalnymi i siuchtowymi rozróbkami. Aparat wykonawczy władzy państwowej zostaje celowo doprowadzony do stanu kompletnej dezorganizacji i absolutnej niemocy.

Natolińczycy reagują na to wszystko ze stoickim spokojem. Niewątpliwie wychodzą z założenia, że skoro oni mają w swoim ręku poparcie Kremla i armię, to przeciwnicy mogą sobie krzyczeć dowoli: los sporu jest i tak przesądzony. Niewątpliwie tak samo rozumuje stary puławski agent, Bolesław Piasecki i dlatego stawia on w tym czasie ostatecznie na konia natolińskiego. Kiedy to całe towarzystwo się ze słodkiej drzemki ocknęło, było już za późno. Piasecki mógł przynajmniej bronić swego mocno nadwątlonego honoru na łamach „Słowa Powszechnego”, ale Natolińczykom pozostały już do dyspozycji tylko powielacze.

VIII

Decydująca batalia zostaje rozegrana przez Puławian niezwykle zreżymie mimo, że nie odnoszą oni w końcu sukcesu tak olśniewającego, jaki sobie wymarzyli. Przede wszystkim udaje im się w końcu zjednać sobie Gomułkę. Pozbawiony własnych ludzi w aparacie partyjnym i możliwości realizowania własnych zamierzeń, Gomułka ma do wyboru bądź pozostać na uboczu,

bądź stać się figurantem którejś z ubiegających się teraz o firmę jego nazwiska frakcji. Niewątpliwie do obu frakcji odnosi się ze wstrętem: jeżeli w końcu wybiera wykazujących mniej gotowości do ustępstw wobec niego Puławian, to niewątpliwie decyduje tu moment zależności Natolińczyków od ambasady sowieckiej. W długich, przeciągających się targach z Puławianami Gomułka stara się zapewnić sobie możliwie jak najlepszą i jak najsamodzielniejszą pozycję, stawia warunki. Uduje mu się zapewnić sobie stanowisko sekretarza generalnego, wprowadzić maksymalną ilość swoich ludzi na kluczowe pozycje, doprowadzić — po długich oporach Puławian — do usunięcia Minca. Mimo to jest całkowicie w rękach dysponujących większością w K.C. i w aparacie Puławian. Może co najwyżej liczyć na to, że z biegiem czasu zakres jego osobistej władzy się powiększy.

W tym momencie przygotowania do przewrotu są właściwie zakończone. Na trzy czy cztery dni przed VIII Plenum prasa nagle zaczyna robić *publicity* dla oficjalnie od siedmiu lat zapomnianego wodza. Następuje jednak interwencja sowiecka.

Puławianie zapewne celowo kompletnie zdeorganizowali aparat władzy w Polsce, żeby mieć potem wobec Chruszczowa argument, że przecież trzeba w Polsce dokonać jakichś zmian radykalnych po to, aby można było przywrócić porządek. Liczyli zapewne na to — i w tym się bynajmniej nie przeliczyli — że Chruszczowowi będzie bardziej zależało na przywróceniu porządku możliwie najprostszym sposobem i w możliwie najkrótszym terminie, niż na ochronie własnych agentów, którzy na dobitkę wykazali wręcz nieprawdopodobną nieudolność. Wydaje się jednak, że siła oporu Chruszczowa ich zaskoczyła. Nie mając w tym momencie już nic do stracenia, chwytają się środków radykalnych. Polskie Radio co chwilę powtarza z naciskiem, że Polska jest państwem suwerennym, a Komitet Warszawski P.Z.P.R. rozdaje broń robotnikom. Ten moment w ocenie wydarzeń jest szczególnie ważny. To nie opinia publiczna przez nieodpowiedzialne wystąpienia narażała kraj na interwencję sowiecką. Naprawdę na krawędź przepaści prowadziła kraj grupa pozbawionych skrupułów kombinatorów, kierując się wyłącznie motywem klikowego interesu. W tej sytuacji dochodzi do przyjazdu Chruszczowa i rozmowy Chruszczowa z Gomułką.

Zwracałem już wyżej uwagę na to, że rzeczywista treść tej rozmowy jest nikomu nieznaną. Ale spróbujmy, z pełną świadomością że możemy się mylić, trochę na temat tej rozmowy pospekulować.

Gomułka nie miał żadnych powodów do sympatii w stosunku do grupy Puławskiej. To byli przecież ludzie Bieruta, ci sami którzy jego i jego przyjaciół podgryzali, kompromitowali, ośmieszali, upokarzali, a następnie aresztowali, więzili i torturowali. Co więcej, w czasie VIII Plenum musiał on rozpaczliwie szukać środków uniezależnienia się od ich kurateli. W tej sytuacji wydaje się chyba wysoce prawdopodobne, że Gomułka dążył

do tego, żeby w oparciu o Chruszczowa kuratelę tę przynajmniej rozluźnić. Jego pozycja w rozmowie z Chruszczowem była o tyle dobra, że jawnie nie ponosił on odpowiedzialności za to, co się w danym momencie w Polsce działo. Mógł on przecież zawsze się powołać na to, że jeszcze trzy dni wcześniej był prywatną osobą nie mającą żadnych politycznych wpływów. Nie będąc naprawdę za nic odpowiedzialny, dążył on zapewne przede wszystkim do zrzucenia odpowiedzialności z siebie i obciążenia tych, którzy naprawdę byli za wszystko odpowiedzialni, tzn. Puławian. Swój sojusz z Puławianami mógł przed Chruszczowem umotywić tym, że był to dla niego środek dojścia do władzy i użycia jej w celu odbudowania rządzącego aparatu i przywrócenia w kraju porządku; wydaje się przy tym, że to był jego motyw rzeczywisty. Nie było mu zapewne trudno przekonać Chruszczowa, że w sojuszu z Natolińczykami zrobić tego samego nie było można; ci bowiem swoją nieudolnością i w ogóle całym swoim postępowaniem musieli i tak zdyskwalifikować się w oczach Chruszczowa kompletnie. (Zgoda Chruszczowa na odwołanie Rokossowskiego mogła być już prostą konsekwencją tego stanu rzeczy). Gomułka zapewne perswadował Chruszczowowi, że na uspokojenie opinii i przywrócenie porządku potrzeba czasu. Ale Chruszczow wiedział, że w razie użycia czołgów i karabinów maszynowych te same efekty też nie zostaną osiągnięte z dnia na dzień. Jeżeli dodamy do tego, że Chruszczow nie miał żadnych powodów do szczególnej nieufności wobec antystalinowskiego i przy tym niewątpliwie jak najbardziej komunistycznego działacza (w każdym razie nieufności większej, niż do innych satelickich dyktatorów), to w ogóle wszelkie racje użycia armat opadały nawet, jeżeli Gomułka usiłował wykorzystywać swoją w gruncie rzeczy dosyć mocną pozycję do stawiania jakichś warunków.

Powtarzam, że to są tylko domysły, ale taki mniej więcej przebieg rozmowy wydaje mi się dość prawdopodobny tym bardziej, że dalsze wydarzenia wydają się taką hipotezę pośrednio potwierdzać. Z hipotezy tej wynika jednak kilka istotnych wniosków.

Po pierwsze, podobnie jak nieprawdą jest, że to opinia publiczna narażała kraj na konflikt zbrojny z Rosją, tak nieprawdą jest, że opinia publiczna przez swój polityczny rozsądek do konfliktu tego nie dopuściła. Armia Czerwona nie zaczęła strzelać w Warszawie nie dlatego, że opinia publiczna wykazała rozsądek, tylko dlatego, że nie było przeciwnika, do którego strzelanie miaoby jakikolwiek sens. Podobnie ta sama armia zaczęła strzelać w Budapeszcie nie dlatego, że tam opinia publiczna okazała się nierozsądna, tylko dlatego, że tam był taki przeciwnik. Różnica pomiędzy Gomułką a Imre Nagy'm i jego rządem była ta, że Gomułka obiecywał zahamować proces demokracji i położyć kres dalszym żądaniom mas, podczas gdy Nagy występował w imieniu mas i w ich imieniu dalsze żądania wysuwał.

Po drugie w tym, co się w październiku 1956 r. w Warszawie stało, nie ma absolutnie żadnego elementu cudu. Wszystko było jak najbardziej naturalne i zrozumiałe. Nie jest wykluczone, że Chiny istotnie się sprzeciwiały kompromitującej cały blok wojnie pomiędzy kochającymi się bratnimi narodami. Ale zbawienie dla Warszawy przyszło nie z Pekinu, lecz z samej Warszawy. Gdy w Budapeszcie tej łaski boskiej zabrakło, to w Pekinie jej też nie było.

Po trzecie, cały „październik” był w gruncie rzeczy wielkim sowieckim sukcesem politycznym. Chruszczow przyleciał do Warszawy niewątpliwie przerażony tym, co się tam działo. Po paru godzinach mógł odlecieć spokojny, że sytuacja została opanowana i że w niedługim czasie anarchia zostanie ukrócona i porządek przywrócony. Panuje przekonanie, że Warszawa była sowiecką porażką a Budapeszt zwycięstwem. W rzeczywistości było chyba odwrotnie. W Warszawie i w Budapeszcie Chruszczow odniósł w końcu te same efekty: tylko że w Warszawie przy pomocy jednej gabinetowej rozmowy, a w Budapeszcie kosztem strat nieobliczalnych: kosztem groźby rozłamu, która długo jeszcze wisiła nad międzynarodowym ruchem komunistycznym, kosztem nieprawdopodobnych trudności w rokowaniach z Zachodem, kosztem utraty zaufania w państwach azjatyckich i afrykańskich, kosztem zupełnego niewykorzystania wspaniałej koniunktury sueskiej. Budapeszteński „sukces militarny” sukcesem politycznym nie był na pewno.

Po czwarte, „październik” oznacza zahamowanie procesu demokracji w Polsce i punkt zwrotny, od którego zaczyna się cofanie. Jest to nawet nie tyle skutek tego, co Gomułka Chruszczowowi obiecywał i w ogóle jaki był przebieg ich rozmowy, ile skutek zmiany, jaka się dokonała w centralnym ośrodku władzy. Przed październikiem dwie grupy rywalizowały ze sobą o władzę nad narodem: po to, aby odnieść w tej rywalizacji sukces musiały starać się o pozyskanie opinii a po to, aby tę opinię pozyskać, musiały pójść na jakieś wobec niej ustępstwa. Przewrót październikowy tę pomyślną koniunkturę likwiduje: z dwóch grup rywalizujących pozostaje na placu boju tylko jedna, która nie ma już więcej żadnego interesu w tym, żeby czynić wobec mas jakiegokolwiek ustępstwa. W interesie narodu polskiego leżało w r. 1956 utrwalenie stanu skłócenia i słabości władzy, a nie przechylenie szali na korzyść którejkolwiek ze stron. Tylko dzięki temu, że władza była wtedy skłócona i słaba, możliwe były tak szybkie postępy demokracji jak te, które się dokonały między VI a VIII Plenum K.C. P.Z.P.R. Skupienie całej władzy w ręku Puławian w październiku 1956 kładzie tej wyjątkowej koniunkturze kres. To, co się w Polsce działo między marcem a październikiem 1956 r. było swoistą namiastką systemu wielopartyjnego. Fakt rywalizacji jakichś grup o władzę stwarzał automatycznie pewne, bardzo zresztą niedoskonałe, formy kontroli władzy mimo, że nie było ani parlamentu, ani wolnych wyborów, ani innych elementów ustroju demokratycznego. Natomiast prze-

wrót październikowy jest powrotem do zupełnej dyktatury. Dla sił demokratycznych w Polsce był to cios straszliwy.

Zanim przejdę do ostatniego, piątego punktu, chcę od razu wspomnieć o pewnym możliwym zarzucie, którego postawienia w tym miejscu się spodziewam. Łatwo mianowicie wskazać na to, że szereg istotnych reform zostało przeprowadzonych już po październiku. Wśród tych reform najważniejszymi były: 1) likwidacja U.B. 2) odwołanie „doradców radzieckich”, 3) uregulowanie stosunków z Kościołem oraz 4) dopuszczenie do samolikwidacji kołchozów. Na zarzut ten odpowiem jednak za chwilę wtedy, kiedy będę się zajmował sytuacją, jaka powstała w Polsce po przewrocie.

Wreszcie wniosek piąty i ostatni. Cała historia październikowa polegała na wyjątkowo cynicznym i trzeba powiedzieć wyjątkowo skutecznym oszukiwaniu opinii publicznej i wprowadzaniu jej w błąd. Masy robiły w istocie to, czego chcieli Puławianie. W pewnym momencie interesy mas i interesy Puławian były istotnie zbieżne: w interesie mas leżało wykorzystanie za wszelką cenę i z maksymalną konsekwencją stworzoną przez Puławian koniunkturę na demokratyzację. Ale masy na ogół wierzyły w uczciwe intencje „sił postępowych partii”, w cały czarno-biały obraz układu sił frakcyjnych w kierownictwie partyjnym, w demagogiczne obietnice, które im rzucano. Masy darzyły ogromnym zaufaniem Gomułkę wtedy, kiedy jego celem było maksymalne skoncentrowanie władzy w swoim ręku i użycie jej w celu cofnięcia reform, które już zostały dokonane i niedopuszczenia do następnych. Masy pokładały ogromne nadzieje w przewrocie, który był dokonany po to, żeby nadzieje te zawieść. Masy dały z siebie entuzjazm, taki, jaki dla każdego rządu każdego kraju byłby szczytem marzeń. Tylko że są rządy, które umieją wykorzystać entuzjazm swoich narodów dla przeprowadzenia rzeczy konstruktywnych bez uciekania się do bata. Natomiast rząd Gomułki i Cyrankiewicza z bata zrezygnować nie miał zamiaru ani przez chwilę. Dlatego ten entuzjazm był tylko rzeczą krępującą: czymś, co należało odepchnąć i co faktycznie odepchnięto w sposób możliwie jak najbardziej brutalny.

Wspominałem wyżej o roli Wyszyńskiego w wypadkach październikowych. Postępowanie Wyszyńskiego było, jak sądzę, typowym przykładem działania opartego na dezorientacji i politycznie zupełnie nonsensownego. Być może Wyszyński popierając Gomułkę i pacyfikując opinię miał na względzie bezpieczeństwo kraju przed sowiecką interwencją. Ale sowiecka interwencja zależała od tego, jak się zachowają Puławianie, a nie od tego, ile wieców urządzą studenci Politechniki i ile strajków zorganizują robotnicy. Rok później w czasie rozruchów po zamknięciu „Po Prostu” — aktywność studentów i robotników warszawskich bodaj przewyższała to, co było w r. 1956; a mimo to nikt o interwencji sowieckiej nie myślał, bo nie było konfliktu pomiędzy władzami polskimi i rosyjskimi. Być może Wyszyńskiemu chodziło

o interesy Kościoła i wzmocnienie pozycji Kościoła. Ale uregulowanie stosunków z Kościołem było już w tym momencie sprawą przesądzoną i żadne przemówienia Wyszyńskiego nic w tym nie zmieniały. Przez swoje postępowanie Wyszyński osiągnął jedno: ustanowił wzór dla katolickich oportunistów. Postępowanie katolickich intelektualistów, zwłaszcza w sejmie, w ciągu lat ostatnich spotykało się już niejednokrotnie z jak najbardziej uzasadnionymi krytykami. Ale twórcą koncepcji politycznej, której intelektualiści ci są wyrazicielami jest w gruncie rzeczy Wyszyński. W momencie, w którym Wyszyński włączył się do akcji, sprawa Gomułki nie była już absolutnie sprawą demokracji w Polsce. W tym momencie jakiegokolwiek włączenie się w tę grę nie miało już żadnego sensu.

Analizuję tu postępowanie Wyszyńskiego dlatego, że było ono w tym momencie czymś typowym. Cały naród polski pokładał w przewrocie październikowym ogromne nadzieje i na ogół darzył przywódców przewrotu zaufaniem. Tym bardziej gorzka była pigułka, jaką dano narodowi później do przełknięcia, kiedy zdołyte tego okresu były likwidowane jedna po drugiej, kiedy Wyszyński i intelektualiści katolicy mogli się przekonać, jak naiwnie liczyli na trwałą stabilizację stosunków Państwa z Kościołem, kiedy najuroczystsze obietnice okazywały się cynicznymi kłamstwami. I kiedy na domiar wszystkiego zabroniono nawet pisać o październiku, a w najlepszym razie przedstawiano — co też jest legendą — całą jego historię, jako „reformę aparatu władzy”, jako środek, który miał na celu wyprowadzić ten aparat ze stanu niemocy, w jakim się on w r. 1956 znalazł i umożliwić mu efektywne działanie. Jak gorzko komentowano to wypieranie się i wstydzenie jedynej chwili, jaką można było polskim przywódcom komunistycznym poczytywać za chwalebna i ile złości wywoływała ta nowa legenda!

Za wcześniej jeszcze, żeby odróżnić ziarno autentycznej polskiej myśli demokratycznej od plew Puławskiej agentury. Za wcześniej, żeby z wymienianiem nazwisk, dat i okoliczności pokazywać, jak różne były w Polsce „rewizjonizmy”. Za wcześniej żeby oceniać siły ruchu masowego, jaki wtedy w Polsce działał. To wszystko jest zadaniem przyszłych historyków. Można jednak już dzisiaj powiedzieć, że to, co było wtedy w Polsce autentycznie i szczerze demokratyczne i niezależne od koniunkturalnych kombinacji Puławian, było liczebnie silne i potrafiło — o czym jeszcze będę miał okazję mówić — budzić w szeregach partyjnych liderów strach paniczny. Mimo to ten autentycznie demokratyczny ruch był przeraźliwie źle zorganizowany, pozbawiony przywódców, a ponadto dawał się inspirować i ulegał prowokacjom. Ruch ten mógł z pewnością odegrać większą rolę niż odegrał, gdyby głośniejsze upominał się o swoje prawa i głośniejsze stawiał żądania. Jest tragiczną ironią losu, że dzisiaj, sześć lat po opisywanych tu wydarzeniach, z całego tego ruchu nie pozostało ani śladu, podczas gdy Puławianie w dalszym ciągu prosperują znakomicie.

IX

Natychmiast po przewrocie październikowym Puławianie koncentrują się na dwóch sprawach. Po pierwsze pragną dobić powalonego przeciwnika. Po drugie pragną za wszelką cenę odgrodzić się od wczorajszego sojusznika. Poparcie niekomunistycznych mas, potrzebne im do rozgrywki z Natolińczykami, z chwilą zwycięstwa staje się dla nich rzeczą jak najbardziej krępującą. Kompromituje ich jako komunistów i przeszkadza im w monopolizacji władzy. W tym paragrafie skoncentruję się jednak na pierwszej sprawie. Natomiast drugiej sprawie będzie poświęcony paragraf następny.

W wykonaniu pierwszego zadania przeszkadza im Gomułka. Puławianie niewątpliwie liczyli na to, że po rozprawie z Natolińczykami Gomułka, osamotniony, nie posiadający własnych kadr w aparacie partyjnym, będzie całkowicie bezsilny i zdany na ich łaskę: że oni będą rządzić, a on będzie ich władzę firmował. Gomułka jednak już od pierwszej chwili myśli o uniezależnieniu się od Puławian. Prawdopodobnie wykorzystuje do tego celu rozmowę z Chruszczowem. Gomułka rozumie przy tym dobrze, że musi zachować elementy równowagi pomiędzy grupami frakcyjnymi w K.C. i w aparacie; innymi słowy, że musi jakichś nie-Puławian pozostawić na wpływowych stanowiskach.

Pomimo presji Puławskiej Aleksander Zawadzki pozostaje na stanowisku Przewodniczącego Rady Państwa, Zenon Nowak na stanowisku wicepremiera, a szereg podrzędnych Natolińczyków na podrzędnych stanowiskach. Puławianie dążą w tym czasie za wszelką cenę także do likwidacji PAX'u i pozbycia się Bolesława Piaseckiego. Wywołują w PAX'ie rozłam, w wyniku którego grupa ich agentów z Janem Frankowskim na czele tworzy odrębną organizację katolicką. Plan Puławian polegał na finansowym wykończeniu PAX'u poprzez roszczenia secesjonistów, którzy mieli poważne udziały w spółce. Ale Piasecki chwytą się kroków rozpaczliwych. Lokal Stowarzyszenia przy ulicy Mokotowskiej 43 zostaje zabarykadowany po to, aby nie dopuścić komorników sądowych. Jednocześnie Hagmajer, Przetakiewicz, Reiff i inni zausznicy wodza krążą po całym mieście, szukając gorączkowo dostępu do niedostępnego Gomułki. W końcu Piasecki dostęp ten uzyskał. Podobno tłumaczył Gomułce, że zawsze był wrogiem Z.S.S.R., że nigdy nie miał nic wspólnego z Natolińczykami, że pokój, że demokracja, że Ziemia Zachodnie itp. Ale panika była przedwczesna, bo Gomułka i tak był zdecydowany PAX chronić. Polityka Gomułki wobec Natolińczyków, i kół do nich zbliżonych polegała wyraźnie na tym, żeby eliminować nieprzejednanych i chronić tych, którzy zadeklarują z nim współpracę.

Puławianie rozwinęli też zdumiewającą energię, żeby obsadzić swoimi ludźmi wszystkie możliwe stanowiska, nawet drugo i trzeciorzędne. Pod tym kątem widzenia robiona była czystka w aparacie partyjnym. Ta polityka personalna była dla nich, jak się

zdaje, rzeczą zupełnie oczywistą. Mimo to z perspektywy lat wydaje mi się dzisiaj, że właśnie w tym punkcie ci bezkonkurencyjni gracze polityczni coś przegapili i że właśnie ta akcja była źródłem ich późniejszych niepowodzeń.

Puławianie nie dostrzegli chyba tego, że opanowanie przez nich całego aparatu partyjnego jest niemożliwe z powodów czysto arytmetycznych. Na to mieli po prostu za mało ludzi zaufanych. Nie dostrzegli tego, że zawsze pozostaną przez nich nieopanowane doły aparatu, które w naturalny sposób będą ciążyły przeciwko grupie inteligenckiej, w dość znacznej części żydowskiej i co najważniejsze elitarnej, ekskluzywnej i gardzącej „chamami”. Swoją polityką tworzyli sytuację paradoksalną. Sprawować władzę dyktatorską w Polsce mogłyby ostatecznie jednostki pochodzenia żydowskiego: sprawa żydowska nie budzi już dzisiaj w masach poważniejszych namietności. Ale Puławianie tworzyli sytuację, w której jednostki pochodzenia żydowskiego rządzą indyferentnym w sprawach rasowych narodem przy pomocy na wskroś antysemitckiego aparatu władzy! Trudno i darmo, ale ten układ nie mógł im zapewnić równowagi. Czy Puławianie mieli coś innego do wyboru, trudno powiedzieć. Ale wydaje się, że zamiast wkładać tyle energii w politykę personalną, powinni byli raczej pomyśleć o instytucjonalnym ograniczeniu władzy aparatu, który z natury rzeczy musiał stanowić dla nich potencjalne niebezpieczeństwo. Z tego niebezpieczeństwa — jak o tym jeszcze będę miał okazję mówić — zdawali sobie sprawę, gdy chodziło o aparat policyjny, mimo, że znajdował się całkowicie w ich rękach, podjęli też odpowiednie kroki, aby ograniczyć jego wpływy. Natomiast jeżeli chodzi o aparat partyjny *sensu stricto*, to poza zmianami czysto personalnymi wszystko pozostało po staremu.

To, że Puławianom nie udało się dobić powalonego przeciwnika, to, że ich sukces nie był tu zupełny, należy moim zdaniem uważać za okoliczność pomyślną. Oznaczało to bowiem, że w centralnym ośrodku władzy równowaga jest chwiejna, że walka o władzę, chociaż w porównaniu z r. 1956 bardzo stłumiona i przyciszona będzie trwała nadal, że grupy rywalizujące będą, przynajmniej w jakiejś formie ukrytej, wzajemnie sobie przeciwdziałać i że jakieś formy kontroli władzy i jakieś elementy liberalizmu pomimo wszystko w Polsce się ostaną. Po paru latach walki te znowu przybiorą na sile i wtedy sytuacja się zmieni.

X

Drugie zadanie, jakie stanęło przed Puławianami okazało się mimo wszystko bardziej skomplikowane. Było tak mimo to, że w odcinaniu się od wczorajszych sojuszników i rozbieraniu ich,

nie było żadnych rozbieżności pomiędzy Puławianami a Gomułką i mimo to, że tu sukces Puławian był zupełny.

Nowi władcy od pierwszej chwili czują strach przed wiwatującymi na ich cześć tłumami i reprezentantami dążeń tych tłumów, chociaż ci także, na łamach prasy i na zgromadzeniach popierają nowy rząd bez zastrzeżeń. Strach ten jest w pełni uzasadniony, skoro rząd ten nie tylko nie ma zamiaru spełniać wysuwanych przez ten tłum żądań, ale przeciwnie chce odbierać to, co tłum już uzyskał. Strach ten ma przy tym wielkie oczy: jest wiele oznak, wskazujących na to, że siła demokratycznego ruchu masowego w Polsce została przeceniona nie tylko w Warszawie, ale także w Moskwie.

Przez trzy miesiące panuje względny spokój. Żadnych otwartych represji jeszcze nie ma. Te trzy miesiące to okres przedwyborczy; a taktyka władz polega na tym, żeby się pochwalić przed światem poparciem narodu. Przez te trzy miesiące demoralizuje się opinię straszeniem interwencją rosyjską, koniecznością liczenia się z położeniem geograficznym, koniecznością skupienia się wokół rządu dla przeciwstawienia się zakusom zachodnio-niemieckich rewizjonistów itp. Komedia jest przy tym grana z całą bezcelnością. W warszawskich tramwajach zostały np. rozrzucone „konspiracyjne” ulotki, wzywające do głosowania na kandydatów „Frontu Jedności Narodu” dlatego, że kandydaci ci (w ulotkach wymieniano w tym kontekście nazwiska Cyrankiewicza i Albrechta) byli jakoby ofiarami Bezpieki. Te same ulotki ostrzegały przed bojkotem wyborów, gdyż bojkot miał być jakoby wodą na młyn tych, „chcą nas wszystkich wziąć za mordę”. Trzeba ponadto powiedzieć, że w utrzymaniu tych wszystkich fikcji wcale nie pomógł komunistom polskim Walter Ulbricht przez to, że zaangażował się w tym czasie w konflikt z Polską na tle sprawy Wolfganga Haricha. Ulbricht zdaje się nie rozumiał tej prostej rzeczy, że sam fakt jego konfliktu z jakimkolwiek przeciwnikiem musi temu przeciwnikowi przysparzać popularności.

Ale Gomułka i Puławianie umieli zdobywać sobie popularność nie tylko drogą takich komedii. Mam tu na myśli świetnie wykorzystany propagandowo fakt istnienia pewnych dziedzin, w których tendencje rządu były zgodne z tym, czego domagała się opinia publiczna.

Sprawa kołchozów i sprawa stosunków z Kościołem nie wymaga właściwie komentarzy. Chodziło po prostu o zwiększenie produkcji rolnej i o nieprowokowanie dodatkowych niepokojów w sytuacji, w której wszystko i tak kipiało. Bardziej skomplikowana jest sprawa jest sprawa „doradców radzieckich” i sprawa U. B.

Odwołanie doradców radzieckich było niewątpliwie prostą konsekwencją deklaracji Chruszczowa z 30 października 1956 r. Trudno powiedzieć, z jakich powodów Chruszczow na tę dziwną deklarację zdecydował się: trudno powiedzieć przede wszystkim, w jakiej mierze uczynił to w przekonaniu, że stalinowski system

rządzenia krajami satelickimi nie zdał egzaminu, a w jakiej mierze wbrew przekonaniu a jedynie pod presją wydarzeń. Jakiegokolwiek były jednak jego motywy, fakt ogłoszenia tej deklaracji świadczy o tym, że Chruszczow nie miał w tym czasie zamiaru sprzeciwić się pozostawieniu rządów satelickim pewnej swobody decyzji, zwłaszcza w sprawach nie mających znaczenia międzynarodowego.

Co więcej, deklaracja ta wydaje się świadczyć, że interesy jakie Chruszczow miał w Warszawie 10 dni wcześniej, polegały raczej na tym, żeby wziąć za mordę naród, niż przywódców. Gomułka musiał sobie z tego zdawać sprawę. Jest zupełnie prawdopodobne, że oferując Chruszczowowi swe usługi w zakresie zdławienia istniejących elementów demokracji, żądał w zamian większej niezależności dla siebie. W każdym razie tendencje do częściowego uniezależnienia się od Rosji zarówno Gomułka jak i Puławianie żywili serio. Ani Gomułka ani Puławianie „ojczyzny proletariatu światowego” z pewnością nie kochają i w środowiskach Gomułkowców i Puławian dyskredytowanie i wydrwiwanie Rosji jest wprost kwestią dobrego stylu.

Te postawy wobec Rosji przysparzały grupie rządzącej po październiku szczególnie dużo popularności w masach. W nastrojach mas było trochę zrozumiałej kompensacji za tyloletnie upokorzenia. Ale było także sporo zwykłego, ordynarnego nacjonalizmu, wyładowującego się w problematyce „swojej” i „obcej” władzy. Jakby to, że władza jest „swoja” było samo przez się jakimś powodem do chwały. Co z tego, że Enver Hodża oskarża K.P.Z.R. o zdradę marksizmu, kiedy zastąpienie go przez agentów Chruszczowa byłoby zapewne szczęściem dla jego narodu!

Stosunek do Rosji, zarówno u Gomułki jak i u Puławian, wyznaczał postępowanie w sprawie Bezpieki. W przeszłości Bezpieka była narzędziem presji paranoicznie podejrzliwego Stalina na polskich liderów komunistycznych. W r. 1956, mimo jej całkowitego opanowania przez Puławian, zachodziła zawsze obawa, że rozbudowany ponad wszelkie granice aparat policyjny znowu zacznie robić nie całkiem to, czego od niego oczekiwali władze partyjne. Całą propagandę Puławską w tej sprawie można w gruncie rzeczy sprowadzić do tezy: „Partia nad policją zamiast policja nad partią”. To była rzecz konkretna, której jak zwykle przy okazji towarzyszyły komedie. Czytając artykuły na ten temat można było pomyśleć, że jedynymi ludźmi przesładowanymi w Polsce za czasów stalinowskich byli komuniści, zwłaszcza tacy, jak Bierut, Cyrankiewicz czy Albrecht. O rzeczywistych ofiarach, jeżeli wspomniano, to raczej ogólnie. Ważni byli „starzy zasłużeni towarzysze”.

Z tych motywów Puławianie zabrali się rażno do przetrzebienia kadr „byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa”. Gomułka, który poznał tę instytucję z pierwszej ręki i który w dodatku nie miał pewności, czy ten Puławski aparat nie byłby w końcu użyty przeciwko niemu, parł w tym samym kierunku. Ale szeregowi Ubecy nie chcieli się poddać bez walki. Zagrożeni redukcjami, ogłosili

strajk. Imprezę nazwali „Bezpieczniackim październikiem”. (W rzeczywistości był to listopad). Zaczęli grawitować ku Natolińczykom; w każdym razie nastrojem dominującym była wściekłość na Puławskich mocodawców, że zamiast wdzięczności za wierną służbę wyrzucają ich na bruk, przy okazji oskarżając o różne brzydkie rzeczy. Ubecy zawiązali komitet strajkowy, na czele którego stanął niejaki kapitan Makolągwa i zaczęli rozpowszechniać dokumentację, dowodzącą, że wszystko, co kiedykolwiek robili, było wiernym wykonywaniem przychodzących z góry rozkazów, wydawanych w niemałej części przez takich liberałów, jak Zambrowski, Ochab itp. Najkapitałniejszą rzeczą, jaką zrobili było sproszenie dziennikarzy na konferencję prasową i udostępnienie im archiwów. Po kilku dniach pozwolili się jednak spacyfikować przez K.C. w sposób idiotyczny. Wszystko to razem było oczywiście wydarzeniem bardzo fortunnym. Dzięki temu K.C. musiało przyspieszyć redukcje i zwiększyć ilość zredukowanych. Co najważniejsze jednak, strajk ten wprowadził do tej całej szacownej instytucji taki chaos, że jej odbudowanie, reorganizacja i postawienie na nogi trwało potem lata. I znowu opinia publiczna nie odegrała tu żadnej roli i nawet nie orientowała się, co się w tym czasie naprawdę działo za murami Bezpieki.

A działy się jednak rzeczy, których nie można sobie wytknąć inaczej, niż strachem Gomułki i przywódców partyjnych przed opinią. Do takich należała mająca wyjątkowo ciekawy przebieg sprawa roszczeń robotniczych. Gomułka świetnie zdawał sobie sprawę z nacisku inflacyjnego, jaki Polska wtedy przeżywała i nawet jeżeli początkowo nie przewidywał, że suma tych roszczeń sięgnie kilku miliardów złotych, to i tak musiał z ciężkim sercem godzić się na niebezpieczny wzrost siły nabywczej, który w wyniku uwzględnienia tych roszczeń musiałby automatycznie dać się odczuć. Tym niemniej zdecydował się na to. Tym bardziej brutalny przebieg miało odtrąbanie całej sprawy, kiedy Gomułka doszedł do wniosku, że robotnicy przestali już być tak groźni i że może się ich tak bardzo nie obawiać. Wstrzymanie płatności z tytułu tych roszczeń było w tym momencie zapewne rzeczywiście koniecznością ekonomiczną. Ale można było na przykład wypuścić obligacje z jakimiś mniej lub bardziej odległymi terminami płatności, a w każdym razie należało zapłacić tym (nie było ich tak wielu), którzy już mieli w rękę wyroki sądowe tzn. tym, którzy ponieśli koszty sądowe, opłacili adwokata itp. Nierealistyczna ustawa, uchwalona pod wpływem strachu, w chwili gdy strach minął została przekreślona w sposób maksymalnie brutalnie i możliwie prowokujący.

Ale już było po wyborach. W tym nowym okresie nie był to bynajmniej akt odosobniony. Gomułka i Puławianie dochodzą w tym okresie wyraźnie do wniosku, że z opinią publiczną nie ma się co więcej liczyć. Wyjątkowo prowokujący charakter miało np. ogłoszone w lipcu 1957 r. sprawozdanie komisji Romana Nowaka, której zadaniem było zbadanie działalności b. Ministerstwa Bezpieczeństwa. Sprawozdanie to było czystą kpiną. Rów-

nocześnie, może bardziej po cichu, ale na szeroką skalę łamano dane w październiku obietnice w sprawie rad robotniczych, w sprawie likwidacji aparatu partyjnego, nie mówiąc już o bałamutnej obietnicy „jawności życia publicznego”. Nade wszystko zaś rozpoczęto kampanię przeciwko rewizjonizmowi.

O rewizjonizmie i walce z nim napisano już wiele. Dlatego pragnę tu poprzestać tylko na zwróceniu uwagi na parę elementów tej sprawy. Kampania przeciwko rewizjonizmowi była akcją zgraną w skali międzynarodowej. To wystarczy, żeby wnioskować, że była postanowiona w Moskwie. W chwili, kiedy akcja ta się zaczęła, tzn. w lutym 1957 r., Węgry były już skneblowane, a jeszcze nie było sporu chińsko-jugosłowiańskiego. To, co się w danym momencie liczyło, to ferment w kompartiach Francji, Włoch i innych krajów zachodnich oraz to, co się działo w Polsce. Strach przed polskim demokratycznym ruchem masowym i jego wpływem na partię komunistyczną odczuwano więc wtedy nie tylko na Nowym Świecie, ale także na Kremlu. Oczywiście konflikt chińsko-jugosłowiański zmienia charakter tej kampanii i stwarza dla niej nowe problemy, ale zasadnicze powody, dla których całą akcję wszczęto znajdowały się przede wszystkim w Warszawie.

Druga sprawa. Walka z rewizjonizmem na terenie Polski była pomyślana głównie jako rozprawa z elementami wewnątrzpartyjnymi, które wyłamały się z ram ortodoksji. Elementy pozapartyjne, czynne w ruchu październikowym chrzczone raczej mianem „zwolenników drugiego etapu”. (Ten drugi etap to miała niby być rezygnacja z socjalizmu i powrót do kapitalizmu). Opór tych środowisk wewnątrzpartyjnych jest zadziwiająco słaby. Zjawiskiem notorycznym jest żebranie o pozostawienie w partii, „ketmańskie” kombinacje taktyczne, uwaga skoncentrowana na personaliach, na problematyce typu „Iksiński czy Igrkowski i co z tego wyniknie”. Katalizatorem, przyczyniającym się do ujawnienia tych kapitulanczkich nastrojów stały się inicjatywy „Kultury” w sprawie rewizjonistów. „Kultura”, a w szczególności Mioszowski całkiem trafnie dostrzegli w tych młodych ludziach, bądź co bądź rozumujących kategoriami par excellence europejskimi, naturalnych kandydatów na utworzenie jakiegoś pomostu pomiędzy Wschodem a Zachodem i jakąś szansę przynajmniej kulturalnego, jeśli nie politycznego przeobrażenia komunizmu w przyszłości. Otóż Mioszowski ludzie ci powszechnie oskarżali o to, że swoimi artykułami dostarcza on władzom pretekstu do stosowania przeciwko nim represji; a w ogóle ich największym marzeniem było, żeby prasa światowa nabrała wody w usta i w ogóle o nich nie wspominała. Był to zupełny idiotyzm. W rzeczywistości świadomość, że rewizjoniści polscy cieszą się na świecie ogromną popularnością i że nie są bynajmniej tak osamotnieni, jak np. ofiary procesów moskiewskich z 1936 i 1937 r. mogła co najwyżej skłaniać polskie władze partyjne do pewnej oględności w postępowaniu z nimi. Natomiast błędem Mioszowskiego było to, że nie wziął pod uwagę

momentów psychologicznych. Ci ludzie byli członkami partii, a więc mieli za sobą lata treningu strachu. Jak długo nie zmuszano ich do wypowiedzania się zbyt jasno, tak długo kluczyli. Ale kiedy Mieroszewski radykalizmem swoich sformułowań doprowadził ich do konieczności samookreślenia się, do konieczności zdecydowania się na jakąś orientację, na jakiś określony sposób pojmowania swej roli w partii, większość z nich, pod wpływem strachu skłaniała się do decyzji zgodnych z oczekiwaniami góry partyjnej. Myśl tę po latach wyraził, jak zwykle w formie bałamutnej, Adam Schaff w niedawnym artykule pt. „Humanizm czy rewizjonizm” (*Przegląd Kulturalny*, 20.IX.1962). Schaff napisał, że Mieroszewski, pokazując rewizjonistom, jak ich poglądy mogą być interpretowane, pomógł im zrozumieć ich „błędy” lepiej niż była to w stanie uczynić partyjna propaganda. Naprawdę nie o żadne błędy chodziło, tylko o własną skórę, niezależnie od tego, że bardzo wzniosłe motywy mogły być i nieraz były ex post do kapitulacyjnych decyzji dorabiane. Ale jest faktem, że na skutek artykułów Mieroszewskiego skłonności rewizjonistów do kapitulowania wzrosły.

Sprawa trzecia i ostatnia. W piśmiennictwie rewizjonistów były rzeczy o nieprzemijającej wartości intelektualnej: wystarczy wymienić całą twórczość Kołakowskiego. Ale pod względem koncepcji ustrojowych rewizjoniści nie posunęli się na ogół poza to, co uroczyście obiecywali z trybun październikowi wodzowie i co wypisywali Puławscy agenci już na wiosnę 1956 r. (Pod tym względem bardziej konstruktywni byli pozapartyjni działacze ruchu październikowego). Puławianie byli oczywiście tymi, którzy najgłośniej rewizjonistów zwalczali. Tragiczny był w gruncie rzeczy los tych młodych ludzi, którzy kiedyś Puławianom zawierzili, którzy byli na tyle uczciwi, żeby traktować swoją walkę przeciwko totalizmowi na serio i których „na nowym etapie” wyrzucano na śmietnik. Puławianie niechętnie się w końcu przyznawali nawet do własnych agentów zbyt mocno w poprzednim okresie zaangażowanych w „liberalizm”. Panie, o których mówiłem, na ogół nie zrobili karier.

XI

Najdramatyczniejszym momentem walki Puławian z byłymi sojusznikami była likwidacja „Po Prostu” i czterodniowe rozruchy w Warszawie w r. 1957.

O „Po Prostu” i jego likwidacji pisano już dużo i w tej sprawie nie mam nic szczególnego do powiedzenia. Natomiast parę słów chciałbym poświęcić rozruchom.

Rozruchy były spontaniczną odpowiedzią ludności Warszawy na likwidację cieszącego się ogromną popularnością tygodnika.

Zaczęły się od demonstracji studenckiej na Pl. Narutowicza. W demonstracji odbywającej się w dniu następnym przed Politechniką uczestniczą już nie tylko studenci, ale wciąż jeszcze chodzi o protest przeciwko zamknięciu „Po Prostu”. Trzeciego dnia sytuacja się zmienia. Demonstracja na Pl. Konstytucji jest już raczej reakcją na gwałty policji, dokonywane w czasie dwóch pierwszych demonstracji. W tej demonstracji wyraźnie dominuje element proletariacki. Ostatnia demonstracja przed Pałacem Kultury ma ten sam charakter, co demonstracja dnia poprzedniego.

Do rozruchów tych nie przywiązywano na ogół większego znaczenia. Co więcej, poczynając od trzeciego dnia stały się one niepopularne. Udział inteligencji w dwóch ostatnich demonstracjach był już znikomy i nawet ci, którzy w poprzednich brali czynny udział, od trzeciego dnia usuwali się i dalsze demonstracje dezawuowali. Nie zapomnę rozmowy z człowiekiem, który w momencie wybuchu rozruchów odegrał istotną rolę, a który mi oświadczył, że demonstracja na Pl. Konstytucji była „raidem chuliganów z Targówka, Młocin i Powiśla”. Miał zapewne na myśli że rewolucja jest tak długo dobra, jak długo na jej czele kroczą intelektualiści. Później ten człowiek zwalczał mnie za „reakcyjność”.

Opinia o chuligańskim charakterze trzeciej i czwartej demonstracji nie była niestety bynajmniej odosobniona. W związku z tym pragnę zwrócić uwagę na pewien fakt. Adam Uziembło pisząc w „Kulturze” o wypadkach Poznańskich 1956 r. porównywał podjętą wówczas przez prasę komunistyczną próbę dyskredytacji rewolty przez przytaczanie pojedynczych wypadków rabowania sklepów z analogicznymi próbami dyskredytacji zająć 1905 r. ze strony prasy endeckiej. Czytelnik może nie wiedzieć, że na Pl. Konstytucji znajdują się najbardziej luksusowe sklepy w Warszawie, między innymi dwa wielkie sklepy jubilerskie. Otóż w czasie całej demonstracji nie została złuszczona ani jedna szyba. Nie znalazł się ani jeden amator złota czy brylantów, który by dostarczył reakcyjnej prasie powodów do moralnego zgorzsenia. Kamienie leciały tylko w policjantów.

Chcę tu wyrazić przekonanie, że warszawska ulica dokonała w tych dniach czynu politycznego ogromnej miary. Warszawski proletariat pokazał władzy, że polityka prohibicji, represji i gwałtów może prowadzić do konsekwencji nieobliczalnych. Pokazał, że stoi na straży wartości kulturalnych narodu i nie będzie się przyglądał indyferentnie ich niszczeniu. Wspomnienie rozruchów długo jeszcze musiało nękać dysponentów władzy przy podejmowaniu decyzji i skłaniać do rozważli i namysłu.

Starałem się wyżej scharakteryzować czynniki, które sprawiły, że pomimo ogólnego trendu brania za mordę, pewne elementy liberalizmu w Polsce ostawały się, represje stosowano raczej powoli i oględnie, dokonywano pewnych reform itp. Wśród tych czynników rozruchy październikowe 1957 r. postawiłbym na pierwszym miejscu.

XII

Przesławne październikowe lanie pociągnęło za sobą dość gruntowne przeobrażenia w łonie grupy Natolińskiej. Część przywódców, jak Franciszek Józwiak czy Hilary Chełchowski w skrajnym rozgoryczeniu usuwa się z życia publicznego w ogóle. Część pozostaje nieprzejednana i występuje z otwartymi atakami na Gomułkę i Puławian, oskarżając ich, jeżeli nie wprost o zdradę, to w każdym razie o kapitulowanie przed wrogiem klasowym i wypaczanie marksizmu-leninizmu. Są to w pierwszym rządzie Wiktor Kłosiewicz, Stefan Matuszewski i Kazimierz Mijał. Natomiast grupa bardziej umiarkowana próbuje się od razu „włączyć do nowej rzeczywistości”. Są to przede wszystkim Aleksander Zawadzki, Zenon Nowak, Władysław Kruczek oraz Bolesław Rumiński.

Oskarżeń o zdradę i kapitulantstwo ani Gomułka ani Puławianie, rzecz prosta, tolerować nie chcą i skrajna grupa zostaje z trzaskiem z K.C. wywalona. Charakterystyczna jest, dobrze mi znana, historia Stefana Matuszewskiego. Ten był ksiądz, był „socjalista” i był członkiem Biura Politycznego został wyłany z K.C. za to że na zjeździe Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oświadczył: „Syjoniści, masoni i różne niebieskie ptaki nie będą nas uczyć patriotyzmu”. Tego było już za wiele i nie tylko wywalono go z K.C., ale także uniemożliwiono mu wszelką działalność polityczną. Wobec tego zaczął się zajmować jedyną rzeczą, do której miał fachowe przygotowanie. Został mianowicie wykładowcą Nauki Ojców Kościoła. (Podobno skończył jakąś wyższą uczelnię teologiczną w Paryżu i podobno zna niezłe hebrajski i aramejski). Przez całe lata miałem wątpliwy zaszczyt kolegowania z nim na Wydziale Filozoficznym U.W. Los innych skrajnych Natolińczyków był zapewne podobny.

IX Plenum K.C. w kwietniu 1957 r., na którym wywalono skrajnych Natolińczyków, jest ostatnim, które zostało przez Puławian rozplotkowane. Od tej pory aż do Plenum, które zebrało się w końcu 1961 r. i które obradowało nad XXII Zjazdem K.P.Z.R., Puławianie trzymają język za zębami. Uniemożliwia to dokładne śledzenie walk frakcyjnych w tym okresie. Pewne elementy stają się jednak widoczne.

Gomułka, prawdopodobnie ulegając presji zawsze niechętnych Puławianom dołów aparatu partyjnego, decyduje się w końcu wzmocnić poparcie udzielane umiarkowanym Natolińczykom, wciąż jednak nie wchodząc jeszcze w otwarty konflikt z Puławianami. Dodatkowym bodźcem mogła tu być ucieczka powiązanego z Puławianami Pawła Monata na Zachód we wrześniu 1959 r. W związku z tą sprawą zostaje wydobyty z zapomnienia i wyniesiony na wysokie stanowisko kierownika Wydziału Administracyjnego K.C. osławiony „Generał Gazurka” Kazimierz Wi-

taszewski. Mniej więcej w tym samym czasie dwaj inni Natolińczycy zostają powołani na jeszcze wyższe stanowiska: Ryszard Strzelecki na stanowisko sekretarza K.C. i Julian Tokarski na stanowisko wicepremiera. Ludzie ci zaczynają działać energicznie i inteligentnie i w efekcie Puławianie tracą jedną pozycję po drugiej. Po nominacji Witaszewskiego centralnym ośrodkiem działania Natalina staje się Wydział Administracyjny K.C. Jego akcja zmierza w pierwszym rządzie do podporządkowania sobie kolejno wszystkich zależnych od tego wydziału ogniw aparatu represyjnego. Po kolei zostają wydarte Puławianom: prokuratura, sądownictwo, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Pomagają im w tym, jak mogą starzy „gomułkowcy”: mający szczególnie wiele porachunków z Puławianami szef wywiadu, Grzegorz Korczyński, oraz szef Biura Śledczego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Mieczysław Moczar. Jest to niewątpliwie spełnianie dyktawki wodza. W chwili, kiedy w sierpniu br. wyjeżdżałem z Polski, pozostało jeszcze nieopanowane ostatnie ogniwo tego łańcucha: Ministerstwo Sprawiedliwości. Ale i tu przygotowania zostały wyraźnie poczynione.

Przez długi czas Puławianie wciąż jeszcze czują się zbyt mocni, żeby bić na alarm. Rozgrywki wolą toczyć „u siebie w domu” i nie zaczynać ryzykownej bądź co bądź imprezy wynoszenia brudów na ulice, tak, jak to zrobili w r. 1956. Nie wykorzystują wspaniałej okazji, jaką im daje XXII Zjazd K.P.Z.R.

XIII

Parę słów o tym Zjeździe. Zupełnie nie ma racji Konstanty Jeleński w ogłoszonym niedawno w „Kulturze” artykule pt. Bezdroża komunizmu, pisząc, że XXII Zjazd był przez Gomułkę i polskie kierownictwo partyjne przyjęty z aprobatą. W rzeczywistości było wręcz na odwrót. Gomułka nie miał żadnego powodu do rozpoczynania w tym momencie liberalnej rozróbki. Jakikolwiek rewoltowanie opinii publicznej przez ponowne wyciąganie na jaw kompromitującej przeszłości było mu w tym momencie, w którym zamierzał przeprowadzić szereg drakońskich ustaw i zarządzeń, jak najbardziej nie na rękę. Pierwszą reakcją liderów partyjnych na XXII Zjazd jest reakcja obronna: „Myśmy w Polsce już dawno przeprowadzili walkę z kultem jednostki, pokonali dogmatyków, naprawili błędy i wypaczenia. To, co w Z.S.R.R. jest jeszcze wciąż problemem aktualnym, u nas należy już do przeszłości i w ogóle nie ma o czym mówić”. Oświadczenia tego rodzaju były składane przez różne osobistości w sposób dość oficjalny. Są one wyraźną wskazówką, że kierownictwo partyjne publicznego prania brudów w tym momencie obawiało się i czyniło wszystko, żeby do niego nie dopuścić.

To stanowisko polskiego K.C., które znalazło swój aluzyjny wyraz w referacie sprawozdawczym Gomułki z XXII Zjazdu, wywołało gwałtowny sprzeciw Chruszczowa. Konflikt jest ostry i ma charakter prestiżowy: Chruszczow wyraźnie nie może ścierpieć tego, że Polska go w czymś „wyprowadziła”. Ma nadto jeszcze dwa inne zarzuty wobec tego referatu. Pierwszy zarzut ma charakter doktrynalny. Gomułka w swoim referacie twierdził, że okres „błędów i wypaczeń” zaczął się ok. r. 1930, co było przejrzyście aluzją, że forsowna kolektywizacja była także „błędem i wypaczeniem”. Chruszczow zaś nie chcąc podważać moralnych i ideologicznych fundamentów systemu kołchozowego, upierał się, że błędy i wypaczenia zaczęły się dopiero ok. r. 1933. Drugi zarzut dotyczył sprawy bardziej na czasie. Gomułka mianowicie ni stąd ni zowąd oświadczył, że Mołotow, Kaganowicz et consortes nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej, kępując tym oświadczeniem Chruszczowa, który pragnął zapewne trzymać bat odpowiedzialności karnej w pogotowiu.

Gomułka presji bynajmniej nie poddaje się i idzie z Chruszczowem na udry. Zostaje dokonany krok wyjątkowo prowokacyjny. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy Czechosłowacja i kumunia zrywają z Albanią stosunki dyplomatyczne, Polska zawiera z Albanią układ handlowy i wiadomość o tym zostaje ogłoszona w prasie. Następuje, przejściowy niewątpliwie, moment zbliżenia Polski do Chin i Albanii. Sens tego manewru nie jest dla mnie całkiem jasny: być może chodziło o jakieś przetargi, związane ze sprawami niemieckimi. Ale Gomułce manewr ten nie tylko pozwala na dalsze ignorowanie XXII Zjazdu, ale także umożliwia przeprowadzenie kilku reform par excellence faszystowskich pomimo wiejących ze wschodu wiatrów liberalnych. Na sesje sejmowe zostaje rzucony projekt ustawy o Sądzie Najwyższym, likwidujący ostatnie resztki niezawisłości jego sędziów, projekt ustawy o zgromadzeniach, zobowiązujący między innymi organizatorów każdego otwartego zebrania do zawiadamiania o nim odpowiednich władz administracyjnych, które wysyłają swojego funkcjonariusza, mającego prawo w każdej chwili zebranie zamknąć, wreszcie projekt ustawy o meldunkach, przewidujący karę do dwóch lat więzienia za niedopełnienie obowiązków meldunkowych. Gomułka wydaje się w tym czasie świadomie zmierzać do tego, żeby pozbawić Polskę wszystkiego, co ją korzystnie wyróżniało spośród innych „bratnich krajów” i co zjednywało jej pewną sympatię Zachodu. Postępuje tak, jakby chciał stanąć w jednym rzędzie z tymi wasalami, którzy, jak Ulbricht, Novotny czy Gheorghiu-Dej opóźniali zainicjowane przez Chruszczowa procesy unowocześnienia i ucywilizowania systemu. Być może czynił to dla tego, że nawet ograniczona sympatia Zachodu kompromitowała go wobec Pekinu. Być może, jak prawdopodobnie cały ten sojusz, była to taktyka chwilowa. Ale od XXII Zjazdu inicjatywa w modernizacji i europeizacji komunizmu należy już do Z.S.S.R. a nie do Polski. Mimo, że stosunki w Polsce są jeszcze wciąż liberalniejsze, niż w Rosji, Rosja kroczy, przynajmniej chwilowo,

w kierunku rozszerzenia zakresu swobód, a Polska w kierunku ich dalszego ograniczenia. I to decyduje.

Nie mogę wprost pojąć, jak Puławianie mogli w tej całej polityce Gomułce sekundować. Tego katastrofalnego błędu będą wkrótce gorzko żałować. Wydaje się, że bardziej przewidujący z nich mieli wątpliwości. Plotki, dochodzące z Plenum, na którym Gomułka składał sprawozdanie z XXII Zjazdu pozwalają mniemać, że Władysław Matwin był tym, który już w tym momencie chciał wychodzić z praniem brudów na ulicę. Mimo to znam tylko jeden wypadek oporu Puławian przeciwko Gomułce w tym okresie. Ich przedstawiciele w komisji sejmowej atakowali ustawę o Sądzie Najwyższym; oczywiście znowu nie z sympatii liberalnych, lecz dlatego, że ustawa praktycznie oznaczała opanowanie tej instytucji przez Wydział Administracyjny. Natomiast właśnie Puławscy prominenci gorliwie składali oświadczenia, że XXII Zjazd ich nie dotyczy.

XIV

Sytuacja zmienia się raptownie dnia 28 grudnia 1961 r. o godz. 12 w południe. Od tego momentu rozpoczyna się otwarty konflikt Gomułki z Puławianami.

Byłem naocznym świadkiem sceny, jaka rozegrała się tego dnia na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach. Kilkaset osób elity partyjnej wraz z sześcioma członkami Komitetu Centralnego składało ostatni hołd człowiekowi, którego obciążano oskarżeniami o szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa i który w trakcie postępowania karnego, w obecności przedstawicieli władz śledczych, bądź został zamordowany, bądź popełnił demonstracyjne samobójstwo.

Szczegóły sprawy Henryka Hollanda nie zostaną już zapewne wyjaśnione nigdy. Jest faktem, że Holland powtarzał korespondentowi *Monde'u*, Jean Wetzowi, plotki o wynurzeniach pijanego Chruszczowa na temat śmierci Stalina i Berii i że został przez kogoś z otoczenia Wetzza zadenuncjowany. Ale plotki te krążyły po całej Warszawie i były w gruncie rzeczy zupełnie bezwartościowe. Być może, że Gomułka, dla którego sama treść plotek musiała być rzeczą najzupełniej obojętną i który by zapewne nie miał nic przeciwko temu, żeby te same wiadomości przeciekały na Zachód via Helsinki czy Belgrad, chciał w ten sposób położyć kres praktyce przeciekania takich wiadomości via Warszawa. Być może zagrał tu moment osobisty: Holland był tym, który ze szczególną furią atakował Gomułkę w prasie w okresie „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego” i skąd inąd wiadomo, że Gomułka go nie znosił. Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Przede wszystkim skąd ten wściekły upór, żeby go, powodu dość błażej sprawy, od razu przyskrzytnić i zmaltretować? Normalnie taka

sprawa podpada pod art. 22 tzw. Małego Kodeksu Karnego (Szeptana propaganda) i śledztwo przeprowadza prokuratura powszechna. W tym wypadku nakaz aresztowania był wydany przez prokuratora wojskowego, podobno po odmowie wydania takiego nakazu przez prokuraturę powszechną. Ale prokuratura wojskowa ma prawo prowadzić śledztwo przeciwko osobom cywilnym tylko wtedy, kiedy są one podejrzane o szpiegostwo. Konsekwentnie trzeba było rozplotkować, że Holland był na służbie wywiadu angielskiego już w roku 1944, co jest jawnym nonsensem i w co nikt nie wierzył. A na dobitkę wszystkiego poddano go czterdziestogodzinemu konwojerowi, czego się nie praktykowało od r. 1954.

Wcale nie wykluczam ewentualności morderstwa. Cała rzecz miała wyraźnie cechy dintojry i trudno wykluczyć, że mord był jej aktem ostatnim. Osobiście skłaniam się jednak raczej do hipotezy samobójstwa. Sytuacja życiowa Hollanda, zarówno osobista jak i zawodowa była pod każdym względem fatalna. Jest prawdopodobne, że o samobójstwie myślał już wcześniej. Ale wybór sposobu, miejsca i czasu zdaje się świadczyć o tym, że Holland chciał nadać temu aktowi charakter protestu.

Sens tego protestu wydaje się jasny. Stary i doświadczony agent Puławski, cyniczny i koniunkturalny do ostatnich granic, ale lubiący się w gestach i osobiście odważny, przekonał się na własnej skórze, że wbrew wszystkim wysiłkom jednak policja jest nad partią a nie partia nad policją, że jego przyjaciele w K.C. nie potrafią go ochronić przed mającym wszelkie cechy zemsty osobistej bezprawiem. Na przykładzie swojej sprawy zobaczył, że Puławska większość w K.C. nie panuje już nad tym, co robią zupełnie mali funkcjonariusze policyjni. Poza poczuciem klęski osobistej i zawodowej musiał mieć w tym momencie poczucie strasznej klęski politycznej. Widział daremność walki o podporządkowanie policji K.C. w którą sam się w swoim czasie zaangażował i widział niemoc grupy, z którą się od lat związał. Zapewne go upokarzano. Zapewne jego duma członka partii o bardzo długim stażu, cierpiała z powodu tego, że upokarzali go ludzie, których staż partyjny był znacznie krótszy. Cóż dziwnego, że szukał za to wszystko jakiejś rekompensaty. Musiał sobie zdawać sprawę z tego, że ten skok z piątego piętra będzie jednak wstrząsem potężnym. Mógł liczyć na to, że zmobilizuje jego przyjaciół do walki, w której on sam już nie odegra żadnej roli, ale za to tym większą rolę odegra jego imię. I jeżeli tak myślał, to się nie omylił.

Sens demonstracji na pogrzebie wydaje się także jasny. Puławianie podjęli walną rozgrywkę o kierowane przez Mieczysława Moczara Biuro Śledcze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sześciu członków K.C. zostało wysłanych na pogrzeb po to, aby inni mogli powiedzieć: „Patrzcie, do czegoście doprowadzili. Zamordowaliście człowieka, starego, zasłużonego towarzysza. Trudno się dziwić towarzyszom z K.C., że poszli na pogrzeb przyjaciela i trudno się dziwić, że ludzie śpiewali Międzynarodówkę na po-

grzebie”. Tego rodzaju deklamacje są w życiu partyjnym obyczajem ogólnie przyjętym i zdaje się, że przez pewien czas ta argumentacja chwytała. Kompromitacja była bądź co bądź nie-licha i Puławianie szykowali się do odwetu, a ich przeciwnicy byli w popłochu. W końcu jednak Gomułka powiedział mocnym głosem „nie!”.

Członków partii obecnych na pogrzebie zaczęto po kolei wzywać przed Komisję Kontroli. Sześciu członków K.C. (Morawski, Zarzycki, Jaworska, Granasowa, Lange i Finkelstein) egzaminował sam wódz. Sam przebieg tych przesłuchań nie był istotny: jakieś szykany, groźby, dziecinne wyklócanie się. Istotne jest to, że w toku tej kontrofensywy przeciwko Puławianom zadano im cios śmiertelny. Ze stanowiska wiceministra Spraw Wewnętrznych został usunięty Antoni Alster. Ten człowiek, o bardzo kompromitującej przeszłości (w czasach stalinowskich był wojewódzkim komendantem U.B. w Bydgoszczy), bardzo cyniczny ale niepospolicie inteligentny, został zastąpiony przez niejakiego Szlachcica — Natolińczyka, brutalnego żołdaka, który świeżo maczał palce w wyjątkowo ponurej sprawie adwokata Hoffa z Katowic, zmarłego w lutym br. w okolicznościach podobnych do tych, jakie miały miejsce w przypadku Hollanda. Szlachcic oczywiście z miejsca przeprowadza czystkę, w wyniku której Puławianie tracą wszelki wpływ na to, co się dzieje w policji. Odtąd sama fizyczna egzystencja Puławian staje się rzeczą nad wyraz niepewną.

XV

Przesłuchania przed Komisjami Kontroli oraz usunięcie Alstera stają się dla Puławian wreszcie sygnałem do jakże spóźnionego wyjścia z praniem brudów na ulicę. Akcja jest przy tym wyraźnie mniej zgrana, niż w r. 1956. Wydaje się, że w łonie grupy są poważne różnice zdań, czy akcję tę prowadzić i jak ją prowadzić.

Jakie są jej objawy?

1. *Systematyczne łamanie zasady tajemnicy partyjnej.* To, co się dzieje na Plenach i w zaciszu gabinetów K.C. znowu przecieka, i to w wielkich ilościach, do wiadomości publicznej.

2. *Fakt, że plotki te koncentrują się na sprawach personalnych K.C.* Wersja najczęściej spotykana, to wersja na temat grupy „partyzantów” (Zenon Kliszko, Grzegorz Korczyński, Mieczysław Moczar), których się oskarża o dążenia do zaprowadzenia rządów silnej ręki, antysemityzm i jednocześnie stwierdza się ich nastawienia antysowieckie. Prawdopodobnie jest to pośrednia

forma ataku na Gomułkę. Nie chcąc atakować go wprost, atakuje się najbliższych mu ludzi. Podkreślana w tym kontekście antysowieckość służy prawdopodobnie do zasugerowania, że antysowieckość Gomułki to nie wiele i nie wszystko, że można być przeciwnikiem Sowietów i zarazem zwolennikiem reżymu jak najbardziej policyjnego.

3. *Oskarżenia o antysemityzm.* Oskarżenia te wybuchają za szczególną siłą po odejściu Alstera i czystce w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Mówi się, że czystka została przeprowadzona według kryterium rasowego unikali Natolińców i grupę Żydzi ze zrozumiałych powodów unikali Natolińców i grupowali się wokół Puławian, a czystka była robiona przez Natolińców i skierowana przeciwko Puławianom. (Inna sprawa, że bezpośrednio przed wyjazdem z Polski powiedziano mi o pewnym panu: „To jedyny Żyd, który się ostał w M.S.W.”. Przypuszczam, że takich „jedynych” Żydów znalazłoby się tam więcej). O oskarżeniu „partyzantów” o antysemityzm już mówiłem. Wyrazicielem tych oskarżeń stał się m.in. niejednokrotnie, jeszcze w 1956 r., inspirowany przez Puławian korespondent *Monde'u* Philippe Ben, który dn. 19 sierpnia br. napisał w tym dzienniku, że argumentacja „partyzantów” przeciwko Zambrowskiemu srowadza się do tego, że wszyscy Żydzi posiadają powiązania międzynarodowe, ze względu na co powierzanie im odpowiedzialnych stanowisk jest rzeczą ryzykowną. Wszystko według zasady, że jedynym możliwym powodem pretensji pod adresem Zambrowskiego czy Alstera jest to, że są oni Żydami. Innych powodów być nie może.

4. *Inspirowanie artykułów w prasie zachodniej.* Typowe pod tym względem są naiwności artykułów Bena. Ciekawszy od nich był ogłoszony niedawno w „Kulturze” anonimowy artykuł pt. „Porażka Gomułki”. Wydaje się, że pochodzi on z jakichś radykalnych kół Puławian. Artykuł ten atakuje, i to bardzo ostro, wprost Gomułkę, a nie jego pupilów. (Ben Gomułkę chwali). Marginesowa w tym artykule próba zdezaubowania Putramenta budzi przypuszczenie, że Putrament był przeciwny ponownemu rewoltowaniu opinii publicznej; przypuszczenie to harmonizowałoby z faktem, że w latach 1956 i 1957 Putrament był bardziej od innych Puławian ostrożny i chwiejny. Właśnie ten artykuł stwarza podstawę do przypuszczeń, że w łonie grupy nie ma jednomyślności co do tego, czy i jak prac publicznie brudy.

5. *Pewne ożywienie prasy.* Publikowanie artykułów krytycznych. Mam tu na myśli przede wszystkim długofalową akcję par excellence Puławskiej „Polityki” drukowania materiałów, dotyczących życia na prowincji. Jest to próba poważniejszego trafienia do masowego czytelnika i nawiązania z nim jakiegoś kontaktu.

Ale jedna rzecz w porównaniu z r. 1956 zmieniła się zasadniczo. Puławianie wysilają się, a naród nie reaguje. Być może zabrakło bodźca równie silnego, jak tajny raport Chruszczowa. Błąd niewykorzystania okazji XXII Zjazdu mści się na Puławianach straszliwie. Ale istotniejsze jest wielkie rozpowszechnienie się postaw apatii, apolityczności, indyferentyzmu i konformizmu. Po to, żeby tym razem poruszyć masy, Puławianie musieliby podjąć kroki o wiele bardziej zdecydowane, niż w r. 1956. A tymczasem to, co zrobili dotąd jest mniej zdecydowane i pełne wahań.

Chcę, żeby moja konkluzja była dzwonem alarmowym. W Polsce frakcje wzięły się znowu za łby. Oznacza to, że powstaje obecnie nowa wyjątkowa koniunktura na demokratyzację, na powtórzenie się w jakiejś formie tego, co się stało w r. 1956. Ale warunkiem niezbędnym do wykorzystania tej koniunktury jest, żeby naród polski nie przyglądał się beczynnemu i obojętnemu temu, co na szczytach drabiny społecznej wyprawiają jego władcy.

Witold JEDLICKI

© Copyright by „Kultura”. Przedruk, nawet częściowy wzbroniony.

NOTA BIOGRAFICZNA

Witold JEDLICKI ur. w lutym 1929 r. W czasie okupacji ukrywał się z powodu pochodzenia żydowskiego, był aresztowany przez Gestapo. Po wojnie studia na wydziale filozoficzno-społecznym Uniwersytetu Łódzkiego i Warszawskiego. Magisterium w r. 1952 pod kierunkiem prof. Kotarbińskiego. Od r. 1957 praca badawcza w Polskiej Akademii Nauk i dydaktyczna na Uniwersytecie Warszawskim w zakresie socjologii (w stopniu asystenta). Udział w Zespole badającym postawy studentów warszawskich. Autor popularnej książki o Psychoanalizie Freuda (Wiedza Powszechna 1961). Wieloletni aktywny członek KLUBU KRZYWEGO KOŁA i członek ostatniego Zarządu KRZYWEGO KOŁA.

Opuścił Polskę jako emigrant do Izraela. Przyjął obywatelstwo izraelskie.

**PRZYPOMINAMY ŻE PRZEDPŁATA
NA PISMA JÓZEFA WITTLINA**

pt.

ORFEUSZ W PIEKLE

XX WIEKU

TRWA TYLKO DO 31 STYCZNIA 1963 R. I WYNOSI

23 NF (§ 5,00; 34 sh)



**Przedpłatę prosimy nadsyłać do
Instytutu Literackiego lub do
Przedstawicielstw.**

Próba ujawnienia

ROZDZIAŁ I: Jeffers

Szkic niniejszy jest eksploracją pewnych odmian wyobraźni amerykańskiej i europejskiej. Zanim postawi się pierwsze kroki, wskazane jest zastanowić się nad niektórymi pobudkami skłaniającymi do wyboru takiego, a nie innego kierunku. Przesądziło o tym dzieło amerykańskiego poety Robinsona Jeffersa, dzieło już zamknięte, bo Jeffers, urodzony w 1887, zmarł w 1961. Kiedy zacząłem tłumaczyć jego wiersze, myśli, jakie nasunęła uważna lektura tych utworów (a nigdy nie jest się tak do uwagi przymuszonym jak tłumacz) prowadziły coraz dalej, przez grę podobieństw i różnic, w dzieje nowoczesnej poezji amerykańskiej, polskiej, rosyjskiej i francuskiej, a stamtąd ku cechom cywilizacji, jaka w poezji znajduje wyraz. Myśli te układały się w kilka wątków, nabierających wyrazistości wskutek osobistych doświadczeń i temat — Robinson Jeffers — pozwalał krystalizować niejasne zamiary sięgnięcia kiedyś do zagadnień bardzo, jak się zdaje, dotkliwych, ale niezbyt często poruszanych w druku.

Z kolei jednak trzeba zapytać, co to znaczy, że ktoś ma ochotę tłumaczyć danego poetę, co pod tym się kryje. Bywają przekłady z przypadku czy na zamówienie, ale jeżeli dzieje się to z nieprzymuszonej chęci, usprawiedliwione jest „dlaczego”. Najprościej jest powiedzieć, że czytelnik, któremu wiersze się podobały, życzy sobie widzieć ich niedoskonały choćby odpowiednik w swoim rodzimym języku i zostaje tłumaczem. Zdanie to, skoro mu się przypatrzyć, zakłada, że zadowolenie odkrywcy jest niepełne, jeżeli nie jest podzielone z innymi; ponieważ można by było po prostu należeć do klanu zwolenników poety w jego

kraju, zdanie zakłada też, że tak ustalona wspólnota jest odczuwana jako niedoskonała, że szuka się pełniejszej, z ludźmi, którzy są nam bliżsi, bo łączą nas z nimi mocna więź historyczna. Wreszcie, zamiar „wzbogacenia” rodzinnej mowy — skrzętność myszy wlokącej znalezione ziarno do swojej norki — pozwala się domyślać, że tłumacz w swoim domu, w domu dźwięków i intonacji znanych mu od dzieciństwa, widzi jakieś „puste miejsce” i że pragnie aby nie zostało puste. A nawet wolno przypuścić, że przy pierwszym zetknięciu się z oryginałem tło własnego języka, stale obecne, jest czynnikiem rozstrzygającym: działa tutaj zaskoczenie, poczucie, że natrafia się na złoża we własnym języku niewykorzystane — czyli możliwość zabarwia sam odbiór. Tak więc proste z pozoru stwierdzenie nie jest bynajmniej proste, bo ujmuje w skrócie stosunki pomiędzy jednostką i zbiorowością a także wynikające stąd impulsy.

Decyzję tłumacza poprzedza podwójna ocena: i wybranego utworu i tzw. życia literackiego w które utwór, przybierając nowy językowy kształt, będzie rzucony. Im bardziej tłumacz jest świadomy swoich celów, tym starannie oblicza swoje posunięcia, zdając sobie sprawę, że to wszystko co istnieje w danym języku składa się na sytuację, w każdej chwili zmienianą przez akty ludzkie choćby najdrobniejsze. Pomiedzy przeszłością i przyszłością wahają się szale teraźniejszości i żadna grudka kładziona na jedną z nich nie jest bez znaczenia. Ten element woli, tak naraża na kłopoty, że przekład staje się czynnością kierunkową.

Tzw. nowoczesność szła falą przez Europę w końcu XIX w. i ogarnęła Polskę, a pierwszym ruchom awangardy patronowali mistrzowie zachodni: Baudelaire, Rimbaud, Nietzsche. Cokolwiek się powie o braku osobistego dynamizmu u Zenona Miriama-Przesmyckiego, przez co nie uzyskał stanowiska przywódcy, on to, jako tłumacz Rimbauda, był ojcem chrzestnym Moderny. Odtąd przewrotom i przemianom towarzyszyły zapatrzenia w zagraniczne sławy dobierane według upodobań grup i szkół, choć zarazem krzepła wewnętrzna logika nowych ruchów i te dwa bieguny są niejako usymbolizowane już w osobie Miriama-Przesmyckiego, który przecie i przetłumaczył „Statek pijany” Rimbauda i wskrzesił Norwida. Czyżby więc teraz, w drugiej połowie XX wieku, powtarzała się wstydliva wtórność i wiersze Robinsona Jeffersa miały być jednym ze sposobów gruntowania kolejnej mody, tym razem na poezję anglosaską?

Zapuszczamy się tutaj na kręte ścieżki i żeby się nie zagubić, trzeba trzymać się własnych, przez samego siebie wyłobionych, śladów. Uznanie, jakie zyskuje w wąskich kołach czy u szerokiej publiczności dany autor, poprzedza istniejąca już potrzeba,

zespół niesformułowanych oczekiwań. Dotyczy to zarówno autorów rodzimych jak obcych i czytając poezję różnych krajów poszukuje się czegoś, czego dotychczas się nie znalazło, choć przecie gdzieś, jak spodziewamy się, być musi. Gatunek tego dążenia jest już z góry wyznaczony w wieku bardzo młodym, jakkolwiek dopiero później stajemy się zdolni uchwycić je myślowo. Zaczynając drukować, i oceniać co się wtedy drukowało, w latach trzydziestych, cierpiałem z powodu jakiejś zasadniczej niemocy, która nie była dolegliwością prywatną, ale owijała literaturę jak opar. Pretensje o to, zgłaszane do siebie i innych, ograniczały się do krzyku i ciosów wymierzanych na oślep. Pamiętam jak w rozmowach z Józefem Czechowiczem wyrzucałem mu rezygnację, bo przecie napisał:

*o ręce puste
nie mieć białego gromu
a chmurę mieć*

i Czechowicz uśmiechał się, przyjmował, że co niemożliwe, to niemożliwe. Gdyż poezja w naszym stuleciu, wielu to zrozumiała czy odgadła, jest rozbijana przez tkwiącą w niej sprzeczność. Dwie na równi prawowite skłonności krzyżują się ze sobą i często niweczą się wzajemnie. Nie jest to jedyna sprzeczność i wszelka sztuka żyje niemożliwościami, ale ta właśnie sprzeczność nadaje wagę oskarżeniom o bełkot i zapowiedziom końca poezji. Z jednej strony jest jasne, że poeta nie może być tylko aparatem do przekształcania zmysłowych danych w mniej czy bardziej autonomiczne „przedmioty”, bo wyobraźnię jego zarażają idee żywo obchodzące wszystkich, a jeżeli wycofuje się na teren dokąd rzekomo nie mają one dostępu, zniechęca, mimo podziwu nielicznych znawców, i rozczarowuje. Z drugiej strony, jeżeli postanawia czerpać ze wszystkiego czym jest jako człowiek, tj. jako intelekt, wrażenia, wzruszenia, pasje, ogarnia go całkiem zrozumiały strach przed naciskiem myśli spekulatywnej, ze swojej istoty wrogiej sztuce i sprzymierzonej z tęsknotami etycznymi (sprzymierzonej, bo ludzie rozglądając się za wskazówką „jak żyć” wszelkie napomknięcia podnoszą do rzędu sylogizmów). Strach ten przybiera u poety wygląd przepisów rzemiosła: pamięta on o nadużyciach do jakich doprowadziły zbyt wygórowane ambicje, zmieniające poemat w traktat czy popis retoryki i mało jest dzisiaj poetów zdolnych oświadczyć (nie w artykule ani w przypisach): tak sędzę, takie jest moje przekonanie. A jednak przede wszystkim poezja jest latarką odsuwającą ciemność, poeta przebywa na samej granicy jakiej dosięga świadomość ludzkiego

rodzaju i choć jego instrument jest zupełnie różny niż instrument filozofa, kiedy wyrzeka się mózgu albo posługuje się nim tylko do budowy eksperymentalnych domków męczy go niedosyt: dlaczego, zanim zasiądzie przed ćwiartką papieru, sądzi, wartościuje, spiera się, a nic z tego nie przedostaje się do jego wiersza, tej świątyni hieratycznego obrządku, dlaczego gardło jego jest ściśnięte i nie umie przemówić pełnym głosem?

Poezję polską w okresie mojej literackiej szkoły, mimo że był to okres bogaty i płodny, cechowała szczególna dwoistość. Uprawiano dość obficie dyskurs liryczny, zwłaszcza w zastosowaniu do polityki, odnawiając zapalczliwość romantyków. Zarazem liczne skłócone programy wywodziły się z podziwu dla tzw. magii słowa (czy to jako zaśpiew czy jako układ metafor), podobno samowystarczalnej i chroniącej od żądań zgłaszanych przez natury płaskie, z ich ciągłą troską o pojęciowe znaczenia. Jednakże dyskurs zbyt często przypominał rymowaną publicystykę, a spod czynności obrzędowej — jeżeli ktoś nie ulegał na ślepo zakłębom i gestom — przezierały postawy wysoce konwencjonalne. Z góry uprzedzam zarzut, jakoby nie doceniał wielości warstw w wierszu i przekazywania ładunków myślowych poprzez sam kolor i tonację. Niedosyt powstaje wtedy, kiedy literatura przebywa poniżej najwyższego progu, jaki umysłowi w danym czasie jest dostępny; odgaduje się to natychmiast.

Ze wspomniana dwoistość nie jest czymś wyssanym przeze mnie z palca, można się przekonać czytając „Traktat o poezji” Bolesława Leśmiana, datujący się z 1937 roku. Jest to obrona słowa wyzwolonego (L.L., *Language Lyrique*) przed słowem pojęciowym (L.S., *Language Scientifique*), przed Królem-Szczurem, jak nazywał to Leśmian, czyli przed dziennikarską depersonalizacją. I Leśmian nie mylił się, jemu wolno było, ale przede wszystkim dlatego, że sam był jedynym bodaj wtedy poetą-filozofem, twórcą swiatio-oglądu niemożliwego do oddania inaczej jak w wyzwolonym słowie, a więc stąpił na swój ład rozbiegające się pierwiastki.

Być może dwoistość przypisać wolno w znacznym stopniu wpływowi francuskim. Poezja francuska poczynając od Baudelaire'a uciekała naprzód w panice, ścigana przez widmo klasycyzmu, który obniżył stopniowo wiersz do poziomu bardziej eleganckiej prozy, i widmo straszego dziadka, Wiktora Hugo, niszczyciela wszelkiej dyskursywności przez nadmiar krasomówstwa. Już sam charakter języka najbardziej ze wszystkich precyzyjnego, najbardziej zaprawionego w sylogizmach, zmuszał do przewrotu, do buntu przeciwko nieznosnej dyscyplinie w imię swobody czysto poetyckiego idiomu. Symbolizm francuski za-

plodnił z kolei zarówno poezję polską jak anglosaską i rosyjską, ale odbiór jego w każdej literaturze był inny, zależnie od napędu dostarczonego przez przeszłość i miejscowych warunków. Z przyczyn, w które nie będę tutaj wnikać, w Polsce był to odbiór zbyt wyłącznie estetyczny. Gwałtowność intelektualną, system ocen cywilizacji, stanowiących niemal rdzeń twórczości Baudelaire'a, Rimbauda, Laforgue'a (czy tym bardziej Verhaerena) umiano omijać albo upraszczać, okazując wrażliwość przede wszystkim na melodię, koloryt, nastrój. Ciekawe, że mało podatny na wpływy francuskie Kasprowicz (te dochodzą u niego do głosu tylko w jednej, dość krótkiej, fazie) łapczywiej niż ktokolwiek inny starał się objąć „wielką problematykę”; zmarnował ją zresztą całkowicie przez swoją wielomówność. Natomiast skoro tylko zaprzęgano wiersz do tzw. służby, odzywały się automatyzmy romantyczne. Mimo licznych przesunięć i przekształceń, dwa tory szły równolegle w ciągu kilku dziesięcioleci.

Lata II wojny światowej były momentem obnażenia i porażenia. Przerażliwość wydarzeń, tak wielka, że niewielu poetów w historii musiało stawić czoło podobnej, zmuszała albo do całkowitej rewizji, albo do uznania bezsensu sztuki. Rzeczywistość nie obeszła się łaskawie z teoriami estetyki. Ale służba, która oczywiście narzucała się wtedy, ciągnęła w dół jak przywiązany do nogi ołów w otchłań zaludnioną romantycznymi duchami, a wszelki automatyzm rozbraja umysłowo. Tak obojętna poezja gotowa jest ocknąć się we władzy politycznych zabobonów. Dylemat ten, podobnie jak cała przedstawiona sprzeczność, nie jest w naszym stuleciu właściwy jednemu tylko krajowi, ale w Polsce powracał uporczywie i domagał się, wskutek wyjątkowego przyciśnięcia do muru, jakichś stanowczych rozwiązań. Czy takie rozwiązania istnieją, nie jest pewne, ale ktokolwiek uzna, że da się ocalić wiersz tylko jeżeli nie ucieka on w *ineffable* ani nie służy do ozdoby dziennikarskich haseł, zna przynajmniej wielkość stawki. Tą stawką jest coraz to wymykający się naszemu pojmowaniu los człowieka czyli: myślenie (w wierszu) ma ogromną przyszłość. Muszę tutaj wyznać, że jeżeli zdarzało mi się niekiedy napisać coś rozsądnego prozą, było to tylko procentem od wypraw najpierw przedsięwziętych w poezji, co znowu wynikało z kluczowego przeżycia sprzeczności w latach wojny.

Tak więc potrzebny był jakiś nowy początek. Jednak polska poezja była, moim zdaniem, jak myśliwiec pozbawiony nie tylko łuku, ale nawet drzewa i sznurka na łuk. A zanim wskaże się na co i jak polować, lepiej postarać się żeby myśliwiec miał coś w ręku. Czyli nad warsztatem wyrabiającym łuki należało pracować. Zaraz po wojnie przywitałem przyjaźnie poezję Tadeu-

sza Różewicza, nie żebym zgadzał się z jego polowaniem, ale Różewicz, poruszając się jak w zwolnionym filmie, czy jak człowiek ogłuszony, odmawiał przyjęcia czegokolwiek co jego, rozbitka, raziło jako luksus przeszłości, i to było cenne. Przy tak wyraźnej potrzebie nowego początku zauważyć też można było przydatność przekładów.

Dołączało się tutaj zrozumienie zjawiska idącego w parze z historycznym przyśpieszeniem. Ludzkość coraz bardziej żywi się sobą i jeżeli nie zginie albo nie wróci do kamienia łupanego, będzie spożywać siebie w coraz to wzmacnianych dawkach. To znaczy, że gdziekolwiek, w czasie albo przestrzeni, ujawnił swoją twórczą zdolność człowiek, to, czego dokonał będzie coraz dokładniej badane i nawet uczuciowo przyswajane jako własne przez wszystkich przynależnych do gatunku. Taka uniwersalizacja przełamuje wzór centrów kulturalnych umieszczanych zwykle w kilku miastach zachodniej Europy, przełamuje też podział na literatury „gorsze” i „lepsze”, a zamiast naśladownictwa wprowadza wzajemną wymianę i współzależność. Zawarcie znajomości z literaturą amerykańską przez Europejczyków jest częścią tego ruchu, który ma za świadectwo wyniki wykopalisk w Azji i tanie reprodukcje mistrzów holenderskich i nagrania renesansowych kompozycji. Nieunikniona też będzie coraz pełniejsza wiedza np. o dziejach i literaturach krajów Europy środkowo-wschodniej i wschodniej, tam gdzie dotychczas przeszkadzał temu pozór egzotyki. Ruch w głąb — ku przeszłości, i ruch wszere — ku wszystkim kontynentom — może być sztucznie hamowany w imię doktryn, ale skuteczność tych hamulców musi być krótkotrwała.

Nie da się jednak zaprzeczyć, że podróżując po poezji amerykańskiej, łacińsko-amerykańskiej, francuskiej, zaglądając nawet do chińskiej, kierowałem się mniej ogólnokulturalną ciekawością, a bardziej chęcią sprawdzenia czy gdzieś nie pokazują się znaki zapowiadające przezwytyczenie tak gnębiącej poezję choroby. Czasem też, jak w przekładach z poetów łacińsko-amerykańskich, chodziło mi o samą jaskrawość i bujność, czyli o trutkę na zwycięskiego Króla-Szczura, który w pierwszym dziesięcioleciu po wojnie był bardzo pewny siebie i przekonany, że uda mu się przykryć wszystko swoją ulubioną szarością. Przelotne zainteresowanie skończyło się co prawda wnioskiem, że importować do Polski kwiecisty barok to wozic samowary do Tuły. A poetycka Francja nie mogła mnie jakoś rozgrzać. Brnęła coraz dalej w zawodową doskonałość albo podrywała się do „zaangażowania”, co zaiste tradycja poezji polskiej ma w nadmiarze. U poetów polskich widać było nadzieję wyjścia z kryzysu — jeżeli ktoś cedził słowa przez zaciśnięte zęby, jak Różewicz, bo za dużo

na niego się zważyło, to już dobrze; u Francuzów — nie, i nawet St. John Perse zamknięty był kredowym kołem, samą wzniosłością (*la grandeur*) stylu. Jeżeli Paryż przyczynił się do odnowienia sporów o wolność i odpowiedzialność człowieka, dokonało się to niemal całkowicie poza poezją i poeta z powołania, Albert Camus, pisał prozą.

Pożywność poezji amerykańskiej jest prawdopodobnie skutkiem nierównoległości z Europą, tak jak cały rozwój Stanów Zjednoczonych był nie-równoległy. Poezja ta dwa razy włączyła się w sprawy europejskie. Pierwszy raz poprzez Edgara Allana Poe i jego udział w kształtowaniu się francuskiego symbolizmu. Drugi poprzez Walta Whitmana, który oddziaływał w początku XX wieku nie tylko na środowiska literackie. Niejaki Gawryło Princip w Belgradzie był młodym poetą i tak jak wszyscy z jego grupy upijał się Whitmanem. Strzelając do arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie rozpętał I wojnę światową (czyli poetów nie należy lekceważyć, choć twierdzić, że Whitman zawinił byłoby przesadą).

Następnie poezja amerykańska przeżyła swój przełom nowoczesny, który w znacznej mierze przygotowały europejskie zarazki. Czy ów przełom, przypadający mniej więcej na lata 1910-1922, odpowiada w Polsce manifestowi Przybyszewskiego z 1899, czy Skamandrowi, czy Awangardzie pierwszej i drugiej, aż po r. 1939? Najpewniej wszystkiemu temu razem i szczególnie zbitka jaka wtedy powstała nie ma gdzie indziej analogii. Batalia toczyła się w imię „wiersza wolnego”, nieobcego zresztą czytelnikom Biblii i Whitmana. Zarazem symbolizm francuski musiał być jakoś pogodzony ze ściśle własnym zasobem: z zadawnionym wahaniem pomiędzy przyjęciem i odrzuceniem słonia — tutaj słoniem była nie Polska ale „wulgarne” społeczeństwo przemysłowe — z religijną powagą spadkobierców surowości protestanckiej, z formami literackimi oznaczającymi zarzucenie żywiołowego liryzmu — monolog i dialog, wprowadzone przez Roberta Browninga, pozwalały używać maski, co zakłada dyscyplinę intelektualną. Toteż francuski import był przepuszczany przez filtr całkiem inny niż u poetów polskich i rosyjskich początku stulecia. Baudelaire na przykład ukazywał się nie tyle jako obrońca prawa do bólu, ile jako podróżnik po dantejskim piekle nowoczesnego miasta i ten motyw *cité infernale* rozwinął T.S. Eliot. Wiadomo też, że młody T.E. Eliot szkolił się na Jules Laforgue'u, biorąc od niego ironię, wstrzemięźliwość uczuć, swobodę w posługiwaniu się kolokwializmami i jarmarczną piosenką. Ale nawet tak przerabiane zapożyczenia z Europy ominęły kilku wybitnych poetów „rdzennych” i przyznam się, że choć kiedyś ciągnęło mnie raczej do amery-

kańskich Europejczyków, jako bliższych, stopniowo zacząłem coraz bardziej doceniać tych drugich. Snobizm, nieodstępny totumfacki wszelkiej sztuki w naszej epoce, jest często siłą dobroczynną, niestety jego podszepty miały, jak dotychczas, za dużą prawidłowość. W malarstwie parł do obrazu nie-figuratywnego, aż ludzką nogę czy rękę przeważał zabytkami w złym smaku. W poezji sprzyjał zanurzaniu się w językowe tworzywo, aż prozaiczną komunikatywność ogłosił za błąd. Zalet takiego doradcy nie trzeba lekceważyć, bo przymusza do wysiłków, zapobiega rutynie. Ale zbyt często nagradza niemeńskich, wycofujących się z szerszej gry we własną obolałość. Amerykańscy poeci, zakorzenieni w swoim kraju, byli zbyt przejęci światem dotykającym i rzeczywistym żeby dać się sterroryzować modzie. Wśród nich Robinson Jeffers swój spór z modą posunął aż do całkowitej pogardy. Jego program artystyczny wolno uznać za staroświecki (jeżeli nie jest to program jedynie możliwy): artysta stoi wobec *tego co jest*, wyposażony w swoje rzemiosło i to rzemiosło musi być dobre. Wie on, że nigdy nie wyczerpie rzeczywistości i że jego porażka jest nieuchronna, ale jego pracę określa nie układ zamknięty rozmiarami płótna czy wiersza, tylko oko skierowane na — jakkolwiek to nazwiemy — przedmiot, istnienie, *être*. Jeffers wyłożył to w jednym ze swoich wierszy-dialogów. Jakiś poeta skarży się, że „ma wstręt do swoich wierszy”, bo są to „blade, kruche kredki”, „popękane lustra”, bezsilne wobec „splendoru rzeczy” — jakże mogłyby uchwycić „piękność lwa, lot łabędzia, huragan skrzydeł”. Na to Jeffers: czy ten wstręt, ostatecznie nic innego niż wstręt do siebie, do swojej wstydlivej subiektywności, jest tak ważny? „Dziki łabędź świata” nigdy nie będzie łupem myśliwego, ale należy kochać „umysł, który słyszy grzmot, muzykę skrzydeł”, oko, bo może zapamiętać. „Kochaj dzikiego łabędzia”. Czyli albo ruch ku przedmiotowi, albo ruch od przedmiotu ku własnemu zwątpieniu (co zaraz prowadzi do budowy „przedmiotów idealnych”, jako że nad nimi można przynajmniej panować). Jeffers dotyka tutaj konieczności ontologicznego wyboru, jaki ukrywa się u podstaw nowoczesnej sztuki. I jak się zdaje dwoistość, zwięzająca poezję do ćwiczeń w językowym laboratorium, może być pokonana tylko jeżeli wybiera się dzikiego łabędzia, nie siebie. Zwierzyna jest tak niezwykła, że wszystkie nasze władze muszą być napięte i obojętniejemy na przepisy nakazujące wystrzegać się nieprzyzwoitości tj. zdań orzekających w sensie potocznym.

Gdybym był historykiem literatury, miałbym obszerne uprawienia. Jako poeta, pisząc o Amerykanach i tłumacząc Amerykanów dostarczałem już sposobności coniektórym w Polsce do

przyklepania mi etykiety, zgodnie z ich starymi nawykami (1). Przykro, bo za łatwo, powoływać się na wieszczów, ale cytata z Norwida sama ciśnie się pod pióro: „Zaś dostrzegać daje się, że im mniej jakie społeczeństwo jest żywe, tym niejaśniejsze ma ono pojęcie o różnicy pomiędzy zbudowaniem się i naśladowaniem. A uszczerbek z tego wielki bywa. Bowiem, skoro nie umieją się budować, tedy muszą co niejaki period fenomenalnej pożądać indywidualności i, od onej jeszcze wszystkiego i wszelakiego początkowania wymagając, a z żadnego statecznej korzyści nie odnosząc, aż wreszcie i same one źródło niweczą”. Nigdy nie uważałem się za ucznia poetów amerykańskich, przeciwnie, obcowanie z nimi nauczyło mnie mierzyć nieprzekraczalny dystans jaki nas dzieli wskutek zupełnie różnych przypadków historii, przy czym inne i rozłożone równomiernie są słabości i przewagi. Natomiast prawdą jest, że skoro ujmie się poezję XX wieku jako całość, szanuje się tych, co starali się ratować ją przed rozpadem, czy to był naturalizowany Francuz z hiperborejskich okolic Europy, Oskar Miłosz, czy Grek z Aleksandrii, Konstanty Kawafis, czy poeta Kalifornii, Robinson Jeffers. Utało się mówić, że poezja nowoczesna, podobna do odłamków stłuczonego planowo lustra, wiernie oddaje kondycję ludzką na planecie, z którą nie można sobie poradzić. Gdyby nawet tak było, wiele wypadła odliczyć na prawa rządzące tylko wewnątrz gospodarstwa literatury i sztuki, w danym wypadku na licytację w odwrocie od tego co poza nami istnieje niewzruszenie — a zaczyna się to już w jednym z odłamów romantyzmu, skąd wyłonił się symbolizm. Najbardziej rozpowszechnione chwytły stylu mają nas w swojej mocy, choćbyśmy o tym nie wiedzieli, a szybkość z jaką przenoszą się idee i pomysły nie pozostawia ziem dziewiczych. W tych warunkach marzyć o poezji jednego jakiegoś kraju jako lekarstwie czy źródle jest to grzeszyć naiwnością. Prawdopodobnie najoporniejszymi na te wędrujące prądy są ludzie o zamiłowaniach wypiar-skich i w Ameryce mogli się dłużej niż gdzie indziej uchować, ale okres znaczony nazwiskami Edgara Lee Masters, Robinsona Jeffersa, Roberta Frosta, Carla Sandburga przeminął, a dzisiaj pułapki grożące amerykańskim poetom są mniej więcej te same co wszędzie.

Dlaczego się usprawiedliwiam? Dlatego, że pośpiesznie ukute formułki mają największą trwałość i trzeba je niszczyć w porę. Dlatego też, że chcę żeby wierszom jakie będę omawiać nie wyrażano krzywdy, biorąc z nich literę, składniki, podczas kiedy

(1) Jeżeli ktoś tłumaczył T.S. Eliota, to widocznie on jest dla niego wzorem itd.

Jeffers wzorem i przykładem może być tylko w jednym: w uporze z jakim dążył do nadania wierszowi możliwie największej myślowej objętości, do wyładowania go swoim światopoglądem, opartym na kulcie Istniejącej Rzeczy. Ale kiedy inaczej jest pojmowana rzecz, na nic nie zda się mechanicznie przenosić środki, natomiast Rzecz zobaczona przez Jeffersa jest zbyt beznadziejna, żeby mogła kogokolwiek pociągać, i z tego zapewne powodu również w Ameryce Jeffers, bardziej prostolinijnie brutalny od swego rówieśnika Williama Faulknera, nie ma naśladowców. I tylko w tym jednym, w sile ataku, Jeffers mnie pokrzepił, bo jeżeli w różnych punktach ziemi, niezależnie od siebie, pojawia się podobna niechęć do poezji rozdwojonej, coś w tym jest, przekonuje to, że nie padło się ofiarą własnych złudzeń.

We wstępie do swoich „Wierszy wybranych” Jeffersowiada: „Dawno, zanim cokolwiek z tego co umieszczam w tomie zostało napisane, stało się dla mnie oczywiste, że poezja — jeżeli w ogóle ma przetrwać — musi odzyskać trochę siły i rzeczywistości, zalet jakie zbyt pośpiesznie odstępował prozie. Nowoczesna francuska poezja tego czasu i większość „nowoczesnej” poezji angielskiej, wydały mi się zupełnie defetystyczne, jakby poezja dała się przestraszyć prozie i próbowała ocalić duszę, oddając swoje ciało zwycięzcy. Stawała się nieznacząca i kapryśna, abstrakcyjna, nierzeczywista, ekscentryczna; i nie ocaliła swojej duszy, bo są to na ogół antypoetyckie cechy. Powinna więc wrócić do treści i sensu, do fizycznej i psychicznej rzeczywistości. To przekonanie było odtąd mocno ugruntowane w moim umyśle. Przewadziło mnie to do uprawiania poezji narracyjnej, do sięgania po tematy ze współczesnego życia, do przedstawiania tych stron życia, jakich nowoczesna poezja zwykle unika. Próbowałem też wierszem wyrażać filozoficzne i naukowe idee. Nie leżał w moim zamiarze podbój nowych dziedzin dla poezji. Oznaczało to dla mnie, że staram się tylko przywrócić poezji jej dawną wolność”.

I zapewne niezbędna poprawka: „Inna zasada kształtująca przysłała do mnie w zdaniu Nietzschego: 'Poeci? Poeci za dużo kłamią'. Miałem dziewiętnaście lat kiedy to zdanie mnie uderzyło; upłynęło lat dwanaście zanim przetworzyło się we mnie skutecznie i postanowiłem wtedy nie opowiadać kłamstw w wierszu. Nie udawać, że coś czuję, jeżeli nie czuję. Nie zapewniać, że wierzę w optymizm czy pesymizm czy nieodwracalny postęp. Nie mówić nic dlatego tylko że jest to popularne, czy powszechnie przyjęte czy modne w intelektualnych kołach, chyba że sam w to uwierzę. I nie przyjmować żadnej wiary łatwo. Ta negatywność zakreśla granice. Nie zalecam jej bo jest dobra tylko dla mnie...”.

Nie zalecał, ale gdzie indziej (2) zauważa, że kłamstwo niekiedy bywa wśród poetów epidemią i „wtedy nazywa się to poetycką tradycją albo nowym ruchem”.

Rozszerzając zakres uprawnień poezji, Jeffers unikał pisaną prozą. Nie splamił się żadną nowelą ani powieścią, nie uprawiał dziennikarstwa ani, z rzadkimi wyjątkami, krytyki. Przymuszony przez przyjaciół, zdobył się raz na wypowiedź, którą zacytuje w całości, bo dobrze uzupełnia moje wywody:

„Obiecałem napisać kilka słów dla tego pisma. Kiedy zastanawiałem się o czym pisać, nasuwało się wiele tematów, ale każdy domagał się wiersza, albo był już poruszony w wierszu, albo jako zbyt mało znaczący żeby użyć go w wierszu, zbyt mało znaczący w ogóle. A jednak inni piszą i poezję i prozę, na równi znakomicie. Jest to wiek specjalistów, z jednym wyjątkiem, pisarstwa. Tutaj, ponieważ pracownik nie raczył się specjalizować, wzięła to na siebie sama praca. Edgar Poe wyprzedził swój czas i nazwał nową tendencję; powiedział przecież, że nie ma innej poezji jak liryczna. Ten pogląd obowiązuje do dziś. Arthur Symons głosił tak pięknie jak tylko można tę prawowierną już opinię. Nikt nie potrafi dziś zawrzeć w poemacie swego świata, jak robił to Dante. Może zawrzeć go w serii powieści jak Balzac, ale poezja w zbyt złożonym świecie może tylko wyciągać same esencje. Wycofała się w wieżę z kości słoniowej, gdzie „śpiewa, obojętna na liczne głosy ulicy”. Oczywiście człowiek ma więcej do powiedzenia niż można wyśpiewać w wieży z kości słoniowej, i dopóki tak będzie się pojmować poezję, poeta musi szukać innych ujęć dla czynności swego umysłu. Myśli, które zapłodniłyby wiersz, przepłyną w opowieści prozą, w krytykę, w filozofię. Załóżmy, że będą tam lepiej zdomowione, ale kto wie czy tak wydrenowana poezja nie jest tylko chudą imitacją muzyki. Coś jednak przemawia za gromadzeniem wszystkich zbiorów w jednym śpichrzu i wydaje mi się, że jest to moje jedyne i ostatnie wystąpienie w roli prozaika”.

Czyli Jeffers stawiał poezji dokładnie takie same żądania jak niegdyś ja w rozmowach z Józefem Czechowiczem, o czym jako żywo nie wiedziałem, nie znając nawet jego nazwiska. Wyapało mi się przekonać, że skok poza kredowe koło tzw. czystej liryki jest bardzo trudny, że istnieją przeszkody całkiem obiektywne, tkwiące w układzie ręki i w smaku odbiorców, nawet

(2) Ta i następna wypowiedź przytoczone są w monografii: Lawrence Clark Powell. Robinson Jeffers, the man and his work. Pasadena, California, 1940.

tych doskonałych, do jakich tylko tęsknimy. Toteż, niestety, myśli nie mogące się wyładować w wierszu, popychały mnie ku prozie i nieraz mogłem ze smutkiem stwierdzić, jak bardzo czytelnik mojego stulecia odzwyczaiał się od uwagi, bez czego poezja jest niedostępna. Tzn. odzwyczajono go, powtarzając ciągle, że poezja jest tylko odbiciem stanów wewnętrznych nie-do-zakomunikowania. Jakże często wiersz zapadał w pustkę, a to samo co było w nim stężone, zgęszczone, zyskiwało rozgłos jeżeli autor odpowiednio rozwodnił to w szkicu czy artykule.

„Gromadzić wszystkie zbiory w jednym śpichrze” jest przedsięwzięciem karkołomnym i Jeffers musiał chyba przegrać? Kiedy umierał, dzieło jego wchodziło w skład uniwersyteckiego kanonu i było analizowane na seminariach, ale wątpić można, czy profesorowie literatury podtrzymywaliby sąd dość rozpowszechniony w 1930 roku, kiedy młody wówczas krytyk, Dwight Macdonald, wołał, że Jeffers jest największym poetą jakiego wydała Ameryka, nieskończenie wyższym rangą niż jego współcześni Robert Frost, zbyt prowincjonalny, czy T.S. Eliot, zbyt bezwstydnie inteligentny, niby student co zjadł wszystkie mądrości. Poezja amerykańska poszła drogą, jakiej nie chciał dla niej Jeffers, zagęszczała się, goniła za intensywnością w obrębie swego mikrokosmosu, a pomocą w tym była krytyka zwykle towarzysząca poezji „niezrozumiałej”: strukturalna czy psychoanalityczna. Czyli, jeżeli nikt nie odmawiał Jeffersowi miana wielkiego poety, odbywał się powoli odpływ jego sławy i teraz, postanowiwszy zabrać się do jego twórczości, nie spłacam bynajmniej haraczu znieawidzonej przez niego modzie. Przynajmniej, że Jeffers niepokoi zmuszając przez swoją praktykę do zastanowienia się nad tym jak się przegrywa, na ile trzeba przegrać żeby wygrać. Jego długie poematy, w istocie powieści wierszem, z postaciami uwikłanymi w tragiczną akcję — czy też, co może bliższe prawdy, tragedie nie-sceniczne, wymagają od czytelnika poświęcenia i mocnych nerwów. Nie we Francji odkryto, że człowiek jest *une passion inutile*, Jeffers zrobił to wcześniej i wyciągnął z tego bardziej radykalne wnioski, a jego świat incestu i mordu wyróżnia się okrucieństwem nawet na tle całej „czarnej” literatury, z jaką wiek dwudziesty zdążył nas oswoić. Każdy z tych długich poematów jako całość wydaje się mi przegraną, wskazującą, że przeszkody są silniejsze niż wola poetów. Jednakże gdyby nie ta chciwość wszech-objęcia, nie byłoby i fragmentów i krótszych utworów, które zapewniają Jeffersowi pozycję trwałą, tak długo zapewne jak długo będzie istnieć język angielski, i zaryzykuję przepowiednię, że zaćmienie jego sławy jest chwilowe, spowodowane przez lęk, jaki czuje kulturalna subtelność kiedy natyka się na dzieło „z jednej bryły”.

Co jest istotne, to karkołomność, jej podniety, nie różne od tych, na jakie polował młody Jeffers uprawiając wspinaczkę w górach Kalifornii. Zamiast poddawać się z rezygnacją wymuszonemu na poezji zdrobnieniu, ustanawiał w wierszu Ziemię, tak jak przedstawiała się jego myśli, jego oczom i wyobraźni, a nie zadawał się odpryskami, okruchami wrażeń. Skoro Dante mógł zbudować swój kosmos na linii pionowej pomiędzy Piekłem i Niebem, hańba jego późnemu spadkobiercy, jeżeli nie bada swoich wyobrażeń o Całości i nie buduje Kosmosu odpowiadającego wiedzy dzisiejszego człowieka tj. jeżeli unika twardych i wyraźnych oświadczeń: w to wierzę, w to nie wierzę. Dlatego cokolwiek pisze się o Jeffersie powinno na dobry ład nosić podtytuł „światopogląd a poezja”. Opuszczamy tutaj całkowicie skromne półka, orane, zresztą nienagannie, przez tych badaczy, którzy nawet z Tołstoja umieją wypruć jego poglądy, po to żeby osobno rozbiierać jego „sztukę”. Powracamy do starej, pocziwej metody: „poeta powiada, że...” — choć stosowanej w sposób niekoniecznie naiwny, a nawet może niekiedy przewrotny. Po tylu cienkościach i godnych podziwu wynalazkach, na jakie zdobyła się nowoczesna krytyka kiedy poezja zaczęła przemawiać zagadkowo, językiem Sybilli, jest to dla niejednego (również dla mnie) ulga.

Odważny i prawdomówny, Jeffers w Rzec przez siebie badaną, tj. los ludzki na małej planecie małego systemu słonecznego, nie chciał włączyć nic, czego by sam, na własny rachunek, nie sprawdził. Światopogląd jego określa niezgoda na mglistość wierzeń ogólnie przyjętych dlatego tylko że dostarczają pociechy. Właściwe mu są posunięcia stanowcze i skrajne. Są to 1) odrzucenie chrześcijaństwa, 2) odrzucenie tzw. laickiego humanizmu i idei Postępu. Oczywiście padnie tu pytanie co zostaje. Tylko „Deus sive Natura” Spinozy i Fatum.

Bardzo to niemiłe, odpychające i kiedy większość ludzi uważa siebie za chrześcijan, postępowców, humanistów, marksistów itd. poezja Jeffersa musi ponosić koszty — co należy do prawideł przyjętej przez niego gry.

Ale tutaj wślizguje się mnóstwo innych pytań. Skąd, jak i dlaczego? Czy Jeffers śmieiej niż inni przyglądał się obrazowi wszechświata wspólnemu wszystkim żyjącym w epoce nauki i techniki? Czy jest ogniwem w tym łańcuchu nazwisk, który dla nas świadczy o coraz większym „utrudnianiu się” religijnej wiary — od bitw Pascala ze sceptycyzmem Montaigne’a, do przyjęcia Chrystusa jako „skandalu” przez Kierkegaarda, do krzyku „Bóg umarł” Nietzschego, aż po dzisiejszą dyskusję wśród teologów protestanckich rozpoczętą wystąpieniem Rudolfa Bultmanna

i jego tezami o potrzebie „demitologizacji chrześcijaństwa”? Czy Jeffers dotknął punktu wstydlwego dla ateistów albo agnostyków, którzy wierzą w postęp (zawsze: pomimo wszystko), choć zdają sobie sprawę, że przebudowali tylko na swój użytek pojęcia judeo-chrześcijańskie o historii, że więc ich wiara nie jest bardziej bezpieczna od podgryzających ją paradoksów niż wiara chrześcijan? Czy też Jeffers jest purytaninem z Nowej Anglii, tęskniącym do Królestwa Bożego i rozczarowanym kiedy dotarł do Pacyfiku a obietnica rzutowana w przestrzeń nie doczekała się spełnienia? Czy może jest przede wszystkim dziedzicem transcendentalistów z kręgu Emersona i Thoreau, których kołła Natura, obojętna na obrzydliwości przemysłu i kupiectwa? Jakkolwiek jest, nie da się tu nic rozwikłać jeżeli nie wydzielą się poszczególne nitek i nie idzie się tam dokąd prowadzą — w Amerykę nie tylko Jeffersa ale i jego rodziców czy dziadków, w Europę nie tylko ostatnich dwóch stuleci, w utwory tych pisarzy, którzy są najbardziej pomocni kiedy chcemy odtworzyć zmienne wyobrażenia o wielkim Wszystkim, ciągle na nowo wypracowywane przez człowieka. Nie oznacza to ucieczki w bezcielesność idei wyłaniających się jedne z drugich; z ich więzi krewniactwa można wywieść cokolwiek się chce i ten brak oporu nie jest kuszący. Bardziej niż filozofowie obecne są w tle dwie postacie patronów literatury nowoczesnej, amerykańskiej i polskiej: Herman Melville i Cyprian Norwid. Obu ich dławiała pętla zarzucona im na szyję przez sam fakt, że urodzili się nie kiedy indziej: Melville w 1819, Norwid w 1821, pętla materialnego postępu, razem z jego ceną zła. Anglia u Melville'a, przybysza z wiejskiej amerykańskiej doliny — rudery portowych dzielnic w „Redburn” czy Londyn jako „City of Dis” w „Izrael Potter” czy New York w „Pierre” — są wierszami Norwida o mrocznych ulicach Londynu i Paryża opowiedzianymi prozą. Obaj usiłowali zrozumieć ile prawdy, ile fałszu jest w przymiotniku „chrześcijański” dodawanym do władztwa ludzi nad materią. I obaj dobrowolnie zniszczyli swoją sławę, zarzucając klarowne, poczytne pisarstwo na rzecz symbolu i ironicznej paraboli — aż po ostatnią, najzupęniej enigmatyczną powieść Melville'a „The confidence Man”, gdzie parowiec „Fidèle” odbywający podróż po Missisippi jest dokładnie tym samym co parowiec „Cywilizacja” w opowiadaniu Norwida. Tylko że Norwid nie pływał jako zwykły marynarz na okrętach wielorybicznych i nie nagromadził tej wiedzy o żywiołach, o stworach mórz i lądów, drzewach, roślinach, jaka stanowi bogactwo Melville'a i nadaje najbardziej szalonym jego dywagacjom niemal podręcznikową precyzję. Nie miał też tego szczęścia, żeby zamiast wielbić na odległość panią Kalergis, zdezertować z żaglo-

wca na jednej z wysp archipelagu Markizów i spędzić tam kilka miesięcy wśród łagodnych kanibalów w towarzystwie przydzielonej mu, zgodnie z prawami gościnności, a zaraz i ukochanej, Fayaway. Nie mógł więc potępić bez reszty złej energii białego człowieka, chrześcijanina i władcy, przeciwstawiając jej naturalny, przed-chrześcijański Raj, ani obdrzeć swoich współczesnych z tużurków i długich sukien, tak żeby odłożona na bok razem z nimi była moralność winy i zasługi, a przez kontrast w pełnym blasku stały: tatuowana nagość, niewinność, braterstwo, stoicka zgoda na życie i śmierć. W zamian za to Norwid słyszał mowę ruin i rzeczowości XIX wieku, wroga wszelkiej przyrodzonej dobroci, była dla niego chwilą w pochodzie od-do, od Ukrzyżowania i rzymskich katakumb do tego jutra, kiedy „męczeństwo uniepotrzebni się na ziemi”.

Pętla dławiąca Melville'a i Norwida była ta sama, ale każdy z nich usiłował rozluźnić ją inaczej i nie przesądzajmy na razie który sposób jest lepszy. Podkreślmy tylko, że dla Polaków, niezwykle silnie naznaczonych przez romantyczny historyzm (a chęć tego czy nie chęć, już także przez zrodzony z niego marksizm) sprzeżenie chrześcijaństwa i dziejowego Ruchu, w czym Norwid ani w Polsce ani w Europie nie był wyjątkiem, wydaje się swojskie i oczywiste, natomiast trudno im jest wniknąć w pisarzy obojętnych na historyczne nadzieje tudzież wobec chrześcijańskiego Nowego Przymierza co najmniej podejrzliwych.

Odruch sprzeciwu, jaki wywołuje w polskim czytelniku jeffersowski powrót do myśli przed-chrześcijańskiej (bo jest to powrót, przede wszystkim do stoików) zachęca do introspekcji. Nie jest wykluczone, że spotkanie to jest spotkaniem Norwida z Melville'm — przez zastępców. Jakkolwiek wiele się przeto czyło od wieku maszyny parowej, zderza się tutaj ktoś, dla kogo najważniejszym problemem jest: Człowiek i Dzieje, z kimś, kto zatrzymuje się na problemie: Człowiek i Natura.

Jeżeli, uprzedzając to, co zamierzam poruszyć w dalszych rozdziałach, dotykam już tutaj filozoficznych treści u Jeffersa, nie zaprzeczam przez to wcale swemu celowi, a jest nim obrona poezji. Zapewne nie można jej bronić inaczej niż wykazując, że kiedy wydzielono dla niej L.L. (*Language lyrique*) na wyłączną własność, niby rezerwat dla ginącego indiańskiego plemienia — jak to z całym nakładem naukowości przeprowadził we Francji międzywojennej Pius Servien — nie wyświadczono jej przysługi. Tylko tam gdzie poezja uczestniczy w borykaniu się człowieka z sensem słowa „być” (a nigdy się to nie skończy, dopóki będzie żył na ziemi człowiek) jest potrzebna, i szkic z zakresu literatury, czy ściślej, poezji, porównawczej o tyle tylko spełnia zadanie o

ile wykracza poza literaturę. Mógłby zostać napisany po angielsku. Wolę jednak własne małe gospodarstwo bo pozwala na tę swobodę, jaką daje tylko rodzaj politowania nad sobą. Zresztą z przyczyn o których wspominałem, polska poezja jest zmuszona zdobywać się na dojrzałość, większą może niż jakakolwiek inna. Bynajmniej nie dlatego, że terroryzowały ją upiory „realizmu” walczącego z „formalizmem”; ten dylemat, postawiony fałszywie i przyczyniający się do chaosu pojęć, powinien być po prostu pominięty. Przymus dojrzałości pochodzi z redukcji zbytków, z zstępowania na dno, z przeżyć, które Tolstoj w „Wojnie i Pokoju” pokazał umieszczając Piotra Bezuchowa w obozie jeńców: nagość wobec świata, otwarcie się na to co elementarne, a stawia się temu czoło tak jak w tymże obozie niepiśmienny chłop Płaton Karatajew — czy inaczej. I wydaje mi się, że moje zainteresowania i zainteresowania młodszych czy młodych poetów w Polsce są równoległe. Miałem już zakończyć ten rozdział, kiedy natrafiłem na recenzję Jana Józefa Lipskiego z nowego tomu wierszy Różewicza („Twórczość” nr 7, 1962). Powiada on tam: „Marginesowo chciałbym tu zwrócić uwagę na zadziwiającą konsekwencję z jaką współczesna liryka, konstruując swoją wizję, wchodzi w rolę tradycyjnie od wieków zarezerwowaną dla filozofii — przy czym konstrukcje, poszczególne rozwiązania, ba, niejednokrotnie nawet całe sformułowania nawiązują, o dziwo, nie do najbliższej nam tradycji filozoficznej XX i XIX wieku — ale do czasów znacznie odleglejszych, do Greków, a więc do czasu narodzin myśli europejskiej”.

Czy rolę zarezerwowaną dla filozofii od stuleci, czy tylko względnie od niedawna? A poza tym zjawisko, które cieszy krytyka (zagrożone w Polsce jak już nieraz wiele spraw rozmianą na drobne) wyłania się wbrew międzynarodowemu kodeksowi poetyckiemu. Ten, przy pozorach odnowy, zachował w mocy przepisy ogłoszone za prawowierne już w młodości Jeffersa; termin „liryka” (tkliwa angelologia?), choć bywa wygodny jako znak ochronny (wara od nas, my poruszamy się w strefie nie-obo-wią-zu-ja-cej), wlecz za sobą wszelkie pozostałości kodeksu. Cokolwiek naprawdę ważkiego powstało w polskiej poezji po wojnie, zrywało, mniej albo bardziej świadomie, z tymi pozostałościami, i niezbyt łatwo podlega zamknięciu w obrębie „liryki”. Jakkolwiek jest, i choć moglibyśmy się spierać któredy wiodą ścieżki, już tych kilka przytoczonych zdań dowodzi pobratymstwa.

Powinno być teraz chyba jasne, że poezja jest rozpatrywana przeze mnie jako przydatek religii (co jest dokładnym przeciwieństwem poezji pojętej jako religia), religii w szerokim znaczeniu

(wolno czy nie wolno wywodzić ją od *religare*, wiązać), przy czym upragniona spójność może być teistyczna albo ateistyczna. Mięśnie i nerwy umysłu przezierają przez słowo religia, toteż lepsze jest ono niż *Weltanschauung*. Poezja która uchyla się od udziału w podstawowym dla człowieka wysiłku jednoczącym, zmienia się w zabawę i zamiera. Nie taka jest jednak poezja Jeffersa i dlatego przystępuję do niej z należytą powagą.

Czesław MIŁOSZ

Każdy kto wysyła leki do Polski powinien przestudiować nasze katalogi

KATALOG MEDYCZNY TAZABA

z a w i e r a

- 1) Wszystkie najnowsze leki przodujących światowych producentów, ze specjalnym uwzględnieniem najbardziej poszukiwanych i potrzebnych w kraju.
- 2) Przepisy celne, oraz podaje dokładną wagę każdego leku, co umożliwia wysyłkę **W O L N A Ǿ D C Ł A**
- 3) TAZAB jest jedyną światową firmą posiadającą poza Anglią własne biura i przedstawicielstwa w Ameryce, Francji, Niemczech i Szwajcarii i dzięki temu może wysłać natychmiast i z pierwszej ręki tamtejsze leki
- 4) Recepty są wykonane przez doświadczonych farmaceutów.
- 5) Klienci nasi są obsługiwani **NATYCHMIAST**, bez oczekiwania na nadejście należności

Największy Polski Dom Wysyłkowy

TAZAB OF LONDON

Tazab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue,
NEW YORK, 3
ALgenquin 4-4161

Fragment z dziennika

6.X.62. (tydzień ma siedem dni; te dni mnie znudziły)

Kto z nich najbliższy piekłu? Tuwim? Jeśli czego mu nie dostawało, to tego — nie umiał domacać się piekła wierszami rozsmakowanymi w blasku, błysku, soku, barwie, chwili. Lechoń? Na oko niczego sobie potępieniec w cielesnym swoim kształcie i gdyby nieba jego poezji były na miarę tych jego osobistych piekieł... ale, cóż robić, nie były. Wierzyński? Och, „wstał do piekieł, po drodze mu było!”, Iwaszkiewicz, Słonimski, Baliński — wszem, owszem, cenni, ale nie otchłanni. Więc kto? Wittlin? Wittlin, święty pocziwiec, byłby z nich najbardziej z piekła rodem?

Piekielny, czyli demoniczny — ale wolę „piekielny”, brzmi dosadniej. Jakżeż to, Wittlin, ta anielskość w szlafmocy, prawie jak z Dickensa, zbolała, i kwękająca, z kośćmi zacna?... Ano tak, Wittlin. I gdybym miał pisać kiedyś studium o Wittlinie, udowodniłbym czarno na białym, że on jest taki, jaki jest, po to tylko aby nie być własną swoją odwrotnością, przewrotnością. Jeśli Wittlin jest święty, to żeby nie być diabelski. Jeśli Wittlin tłumaczy Odysseję, to nie żeby Odysseja mu odpowiadała, a tylko żeby nie stać się jej burzycielem. Wittlin para się klasycyzmem, ale to dlatego, że Wittlin jest anarchią i rozpaczą. Spokojny? Zrównoważony? Rozsądny? Przyjacielski? Pedagog? Magister? Tylko żeby mu nie wybuchła w rękach jego bomba rozsadzająca. A jego wiara jest z tych, co to ścigają Boga, jak koniki ścigają się na karuzeli, w wiecznym wyścigu dookoła Wojtek.

Myślę się? Mnie w tym dzienniku, w prywatnych moich zapisach, wolno się mylić.

Wittlin, w moim pojęciu, to demonizm mieszczański. Czy mieszczanin może być demoniczny? Przyjrzyjmy się następującej biografii: chłopiec wychowany w zacnych zasadach zeszłego stulecia, w klimacie kultury, sztuki, moralności chrześcijańskiej, łagodności i delikatności, przeżywa naprzód pierwszą wojnę europejską i przeżywa ją czynnie, jako ochotnik Legionów, a potem żołnierz austriackiej piechoty (jednakże ta pierwsza wojna nie miała jeszcze cech kataklizmu i mieszczaninowi mogło się zdawać, że to wrota do szlachetniejszego i łagodniejszego życia). A dalej nasz młody człowiek staje się nauczycielem, wychowawcą, literatem, współpracownikiem pism, dyrektorem teatru, tłumaczem Homera, autorem „Hymnów”, autorem „Soli Ziemi” — rozgłos międzynarodowy, wielojęzyczne przekłady... Ładna kariera! Ale karierze, poczętej z ducha mieszczańskiego i będącej jego afirmacją, zaczyna towarzyszyć rozkład, gdzieś u spodu, podziemny. Wittlin dzisiejszy jest wciąż tym samym Wittlinem, nie zmienił się ani na jotę... ta tylko różnica, że on dzisiaj wisi w próżni, gdyż historia usunęła mu grunt spod nóg. Jest mieszczaninem, któremu usunęło się spod nóg mieszczaństwo. W tym jego demonizm.

Gdyby Sienkiewicza przenieść w czasy dzisiejsze, wątpię czy by się nadto zaniepokoił... Sienkiewicz był naturą zdrową, natury zdrowe nie tracą łatwo animuszu. Wittlin wszakże, mieszczanin, przyszedł na świat z mieszczańskim wydelikaceniem, to zaś wydelikacenie uczyniło go podatnym na chorobę... a choroba, to jest właściwie jedyna brutalność, jaka może się zdarzyć mieszczaninowi, w mieszczańskich żyjącemu puchach. Trzeba dodać, że Wittlin nie tylko był i jest chorowity, ale że odznacza się szczególnie zdolnością przeżywania choroby. Szkoda, że nie mogę sobie przypomnieć dobrze zabawnej fraszki Hemara ku uczczeniu tej jego hipochondrii arcymieszczańskiej. Zaczyna się tak, że Hemar zaprasza go na jakąś popijawkę. Na co Wittlin:

*Nie mogę, rzekł rumiany, lecz osłabłym głosem
Mam korektę i grypę.*

I konkluzja Hemara:

*Gdy grypa — obowiązkiem, korekta — chorobą
Królu neurasteników, korzę się przed tobą!*

Nie co innego, oczywiście, niż choroba, czynnik specyficzny, zarazem łączący nas z najostrzejszą rzeczywistością i wyzwajający z niej w strefę nieznanego, umożliwił Wittlinowi osiągnięcia w

prozie i poezji. Dzięki chorobie stał się artystą. Ale ta zdolność wzywania się we własne dolegliwości pozwoliła mu też wniknąć w chorobę wieku, w chorobę Historii aż po jej krańcowość najbardziej burzycielską i nihilizującą. Dotarł — poprzez własną chorobę i poprzez Hitlera i, dodajmy, poprzez swoje żydowskie dziedzictwo — do samego kresu nocy.

I zawisł nad otchłanią, ten człowiek zacny, skromny — co za widok! Jeśli nad otchłanią zawisa Malraux, Camus, Schulz, Miłosz, Witkacy, Faulkner, wszystko jest właściwie w porządku, bo to są wisielcy z urodzenia. Jeśli nad otchłanią zawisa człek poczciwy, Wittlin, to taki widok może przyprawić o zawrót głowy, a nawet o mdłości.

A teraz zagadka, z tych „łatwych do zadania, a trudnych do rozwiązania”. Jeśli Wittlin wisi nad przepaścią, to o co zahacza się nitka, na której on wisi? Powiecie: o Boga, gdyż wiadomo, że Wittlin jest naturą religijną. Ale już wyraziłem w tym względzie moje wątpliwości. Nie ufam — to moja intuicja, nic więcej — skuteczności wittlinowskiego Boga, moim zdaniem on należy do ludzi, co to opierają czoło o szybę i wtedy wszystko im się kończy. Och! „Za wszystkie perfumy Arabii nie chciałbym być w jego skórze”. Dwa tylko pozostają uczucia: jedno, że się jest w pułapce bez wyjścia, jak przyłapane zwierzę; drugie, że się jest w pustce zupełnej, w próżni nie posiadającej ścian żadnych, więc również bez wyjścia. Wittlin, ten człowiek lekliwy... ale lekliwy też i tym gatunkiem lęku, który Nicość objawia... Zapytam tedy: jeśli jemu wszystko usunęło się spod nóg i jeśli, od góry, nic go nie utrzymuje, czemu on, zamiast runąć, w dalszym ciągu jest sobie Wittlinem i raczy nas swoim klasycznym, zrównoważonym pisaniem, nie pozbawionym pedagogicznej żyłki?

Nihilista-pedagog? Bankrut pozytywny? Katastrofa spokojna? Piekło poczciwe? Jakim sposobem ten mieszczanin ostał się, jako mieszczanin, choć właśnie mieszczaństwo uległo w nim zupełnej likwidacji? Ja kiedyś zarzucałem Skamandrytom i innym emigracyjnym literatom, że niedość się zmienili... a Wittlin? Ten w porównaniu z nimi ani drgnął. Monolit! Tylko że ktoś, komu wykończyło się wszystko, jest w innym położeniu od tych, którym wykończyło się sporo. W jakim sensie, w jakim kierunku może się zmieniać ten, komu sensory i kierunki się ulotniły? Cóż mu pozostaje, jeśli nie to jedno, co jeszcze jest do zrobienia: powtarzać siebie? Oto powód, dla którego ludzie, zdawałoby się, zupełnie przegrani funkcjonują do ostatniej chwili „jakby nigdy nic”. Kapitan tonącego statku wie, że za chwilę pochłonie go woda — jego i honor, odpowiedzialność, obowiązek — że już na dobrą sprawę tego nie ma, że już temu woda do łudek się dobiega... czemuż

tedy do ostatniej chwili recytuje swoje kapitaństwo, zamiast, powiedzmy, zaśpiewać, zatańczyć? Ależ bo, gdy już nie ma czego się uczyć, człowiek może jeszcze uczyć się siebie, zasada tożsamości „ja jestem ja” nie jest tylko fundamentalną zasadą logiki, ale i ostatnią racją człowieczeństwa; i kiedy znika wszystko, pozostaje jednak to, że ja kimś byłem, byłem taki, nie inny; i lojalność wobec siebie samego objawia się nam jako ostatnie prawo, któremu jeszcze możemy podlegać...

Wittlin wszedł przed laty w literaturę, jako twór ówczesnego ducha mieszczańskiego: Wittlin był autorem książek, mieszczaństwo było autorem Wittlina. Wcale nie lekceważę sobie ducha mieszczańskiego, który potężnych rzeczy dokonał w kulturze, chcę tylko powiedzieć, że w owej fazie swojej Wittlin tworzył, sam będąc tworem swego środowiska i swojej epoki.

Dzisiaj? Dziś Wittlin nie jest już tworem mieszczaństwa, tylko tym, kto mieszczaństwo w sobie tworzy. Wittlin jest dzisiaj własnym swoim twórcą, utrzymuje siebie w nicości własną mocą. Na zewnątrz nic się nie zmieniło, ostatnie teksty Wittlina są zespolone z poprzednimi upartą jednolitością tonu, stylu, wizji i wszystko wydaje się nam bardziej możliwe, niż żeby on odstąpił od siebie na jotę. Zmieniło się tylko to, iż teraz Wittlin sam musi stwarzać Wittlina.

Ale skosztujmy, na przykład, wittlinowskiej dobroci. Skosztujmy jej naprzód, jak czegoś naturalnego, co z niego wypływa jak sok z trzciny cukrowej. A potem skosztujmy jej w tym następnym wcieleniu, gdy ona staje się „antynaturalna”, samotna, człowiecza tylko, samorodna, w sobie zawarta, w sobie utwierdzona. To jednak inny smak...

Naszkiecowałem tę historię, aby wykazać iż człowiek unicestwiony historią może stać się czasem twórcą historii... własnej. Co najbardziej mnie cieszy w tym dramacie, to wspaniałość jego kontrastów: ten piekielnik, wysnuwający z siebie w piekle wciąż tę samą dobroć — delikatność — czułość — pogodę — wiarę — rozsądek — poczciwość... Zupełnie jak te pajęczki, co na własnej niteczce dobrodusznie zawisają! „Na lwa srogiego bez obrazy siędziesz i na ogromnym smoku jeździć będziesz!”.

10.X., wtorek

Madariaga, Silone, Weidlé, Dos Pasos, Spender, Butor, Robbe-Grillet itd. — wszyscy oni w Buenos Aires, zaproszeni przez tutejszy Pen Club. Sesje trwały z pięć dni i były wierceniem dziury w brzuchu na tematy: Słowo, Pisarz, Kultura, Duch

itd., jak zawsze. Na próżno oczekiwano, iż w końcu zdarzy się coś, nawet mucha nie siadła na niczyjej łysinie. Czasem wprawdzie sesja zaczynała podrygiwać i już, już zdawało się, że wierznie, ale zaraz wszystko rozlażyło się w gładzeniu.

Wiem z opowiadań, mnie przy tym nie było — dlaczego? Pen Club argentyński nie zaprosił mnie — aaa, dlaczego, dlaczego?!!! Ba! Dlaczego? Bo zamiast „kocha, lubi, szanuje” — „nie chce, nie dba, żartuje!”. A dlaczego? Ba, ba! Osoby biorące udział w głosowaniach na członków Akademii „Wiadomości” łatwo zgadną: dałem się we znaki. Zwłaszcza pewne uwagi moje o literaturze argentyńskiej, ogłoszone niedawno w „Quadernos”. Co prawda, gdyby mnie zaproszono, też by mnie nie było. Nie jestem na tyle głupi, żeby na takie sesje dojeżdżać taksówką, lub tramwajem — gdyby mi zafundowano, jak tamtym panom, bilet na transatlantyk tam i z powrotem, oraz pobyt w pierwszorzędnym hotelu, co innego. Ale, mieszkając w Buenos Aires o sześć kilometrów od sali posiedzeń, nie mogę domagać się żeby mnie dowożono transatlantykiem i, pomijając wszystko inne, byłoby zbyt dziwne, gdybym z transatlantyku wchodził na salę wprost przez okno pierwszego piętra.

A może... może tobie nie o transatlantyk, a o godność chodzi?

Godność? Nie wiem. Nie gwarantuję. Nie chcę się zobowiązywać.

W zeszłym roku uniwersytet berliński zaprosił mnie na zjazd nader podobny, tylko że o nieco odmiennym programie. Mianowicie, każda z zaproszonych osób miała odczytać w ojczystym języku fragment któregoś ze swoich utworów, a obecny na sali tłumacz miał to przełożyć natychmiast na niemiecki. Pięć minut czyta autor — pięć minut tłumaczy tłumacz — znowu pięć minut autor i znowu tłumacz... Gdy się dowiedziałem, że mam przefrunąć dziesięć tysięcy kilometrów, aby czytać Niemcom kawałek „Pornografii” po polsku, zbaraniałem. I nie wyfrunąłem. Bardziej może ze względu na ogrom i głębię wód, ale chyba i trochę ze wstydu... duchowego... ale fizycznego... no bo, przecież, odczytywanie Niemcom czegoś po polsku trudno nazwać obcowaniem duchowym. A jeśli nie duchowe, to... hm... hm... W moim wieku! Zawstydzilem się, nie wyfrunąłem.

W ciągu ostatnich dni też było mi, ze wstydu, gorzko, przykro, gdy widział tych kolegów moich w sytuacji... Och, o to się gniewam na nich: że oni tej sytuacji nie umieli ani odepchnąć, ani rozwiązać należycie! Ja w nich widziałem ludzi *mądrych*... a od człowieka mądrego wolno wymagać większej, niż przeciętnej,

umiejętności w postępowaniu... więc gdy się ich widzi, tych mądrych, wsadzonych w głupstwo, to boli.

Te dyskursy o powołaniu pisarza do walki z fałszem, o jego roli demaskującej — gdy doskonale im wiadomo, że gładzą w zamian za podróż, jaką im zafundowano. I wiedzą, że wszyscy wiedzą, że oni wiedzą! Kiedyś mi powiedziała jedna kurtyzana: — Każdy coś sprzedaje. Ja sprzedaję ciało. Ale ta przynajmniej nie wygłaszała referatów o Autentyczności jako Fundamencie Perspektyw Rozwojowych Kultury.

Czwartek

Jeden za drugim nadjeżdżali, nadpływali, nadfruwali, a gazety to obwieszczały. Dowiedziawszy się, że przybył Weidlé, zatelefonowałem do niego, do hotelu. Osobiście go nie znałem, ale odezwał się do mnie listownie przed paru laty, po przeczytaniu „Ferdydurke”.

Jak się okazało, nie zapomniał mnie (i to mogło się zdarzyć, ja nigdy nie wiem, co może mi się zdarzyć na tych „światowych” wodach) i prosił, żebym zaraz go odwiedził. Ogoliłem się tedy i przywdziawszy moje ubranie kawowe, to od Cervantesa, oraz krawat zielony, prezent Ady, szedłem do tego hotelu, niedaleczko.

Dzień był wiosenny i lało się słońce wieczorne na ulicę Peru, pobudzając szyby i blachy do figlarnych błysków. Moje zbliżanie się do Weidlé było zbliżaniem się kogoś mało znanego, w Argentinie prawie anonimowego, do kogoś od dawna i solidnie umieszczonego na mapie intelektualnej Europy. Nie dziwiła mnie więc obfitość dowcipna rozigranych błysków.

Hotel. Hall. Światło elektryczne. Kotary. Wyszedł z windy i coś trzymał w ręku: „Pornografia”, francuskie wydanie. I ujmując powiedział, że zabrał ją specjalnie z Paryża w nadziei, że mnie pozna i że mu dam dedykację.

Co mnie ucieszyło. Odetchnąłem. Ale w tejże chwili, złość, że odetchnąłem. I wiedziałem, że on to wie (wszystko się wie między nami, intelektualistami).

Piątek

Co dalej? Zaledwie usiedliśmy, doskoczył do niego reporter z „La Nacion”. Tudzież fotograf. Fotograf zaczął celować. Hall pełen był literackich tuzów międzynarodowych i fotografów. Za-

proponowałem, żebyśmy poszli do jakiej kawiarenki, pogadać spokojniej.

Wyszliśmy. Na ulicy przyskakuje do niego mały człowieczek — i coś mi się z przeszłości odezwało. Wtem mówi do mnie człowieczek: — Pan mnie nie poznaje? Aita. Przywitałem się tedy najuprzejmiej, bo to był prezes tutejszego Pen Clubu, Antonio Aita, z którym od 23 lat się nie widziałem.

Aita funkcjonował na trzysta dwa. On to bowiem amfitrionował, on zawiadywał: programy, hotele, recepcje... Potem Weidłé, w rozmowie, zadał mi kilka pytań, na których mogłem wyładować moje sarkazmy. Jak to jest, że mnie nie zaproszono? Ten Aita... kto to, co napisał? (Nic). Jakie moje tutaj życie? Nie wyładowałem wszakże niczego, przeszkodziło mi w tym znużenie... rodzaj apatii wobec Londynu, Paryża... odpowiadałem grzecznie i „naturalnie”, bez zabawy i błysku. W ogóle nic już nie błyszczało, słońce zaszło.

Odprowadził mnie na Venezuelę, gdzie mieszkam, i, zobaczywszy mój Dziennik w wydaniu niemieckim, powiedział, że to by go interesowało i że dobrze zna niemiecki. Dałem mu co prędzej egzemplarz, zależy mi na nim, ja też robię moją politykę.

Sobota

Podglądam ich w hallu, odwiedzając Weidłégo. Ich — Europę. Nie pragnę ich poznać, po co poznanie nieznanemu? Ale patrzę na nich będąc jednym z nich, poza nimi — to skomplikowane — patrzę wzrokiem wykluczonego i zapoznanego. Rzym. Paryż. New York.

Siedzą w fotelach — stoją — prasa ich wzięła w obroty. Jakże by mogło być inaczej? Hiena żurnalizmu musiała dopaść tej literatury, wydanej na łup, jagnięco bezbronnej.

Coraz to widzę któregoś, wypowiadającego się... zwolna, ze spojrzeniem skupionym, z czołem natężonym, przed osobą z notatnikiem, podczas gdy fotograf — pstryk! Następnego dnia czytam w gazecie owoc owych wyznań: sieczka, groch z kapustą. Czyż mogło być inaczej? Już podczas wysłuchiwania mówiącego wiedział on, żurnalista, że z dalekosiężnych myśli trzeba będzie zrobić dziennikarską papkę na chybiczka, w pół godziny, żeby jutro mogło się ukazać; i podczas mówienia do słuchającego wiedział mówiący, iż jego myśl trudna, wysubtelniona, wyrafinowana, a wypowiedziana jak się da, „z głowy”, po to by przejść jeszcze przez zadyszana z pośpiechu głowę reportera, zamieni się w sieczkę, w marmoladę, w Filipa z Konopi. Na próżno tedy

palcem, głosem, brwią, okiem, usiłują choć częściowo zabezpieczyć wagę swoich myśli. Wiedzą, że na próżno (między intelektualistami wszystko jest wiadome). A, mimo to, mówią z okiem skupionym, z palcem podniesionym...

Frajda dla gazety!

Frajda i nie frajda. Gazeta jest wprawdzie uszczęśliwiona, że może pohasać sobie z nimi po swojemu. I wali o nich całe strony — reportaże, sprawozdania z sesji, anegdotki. A jednocześnie redaktorzy gryząc palce pytają się rozpaczliwie: po co? Tak, po co? Po co, jeśli ten rozwodniony rosół na myślach gęstych nie będzie czytany, będzie tylko przeglądany — to niby się czyta, ale naprawdę tego się nie czyta. Więc po co? O, nie pytaj „po co”, zapytaj „dlaczego” — gdy mechanizmy wchodzą w ruch „po co” się zatracą, pozostaje tylko „dlaczego”. Dlaczego? Mechanizm. Konwenans.

Czy śnię? Marzy mi się, że mikrofon podsuwany tak skwapliwie przez prasę, wzmacnia wprawdzie głos literatury, ale wdrażając go w awanturę o dzikiej wprost nieprzyzwoitości, jakby nie z ducha, a z brzucha!... i przypomina mi się, co opowiadała Delia o powszechnie szanowanym krytyku Guillermo de Torre, który jest głuchy i nosi w uchu specjalny mikrofon, wzmacniający dźwięki. — Siedziałam obok niego w teatrze... Naraz usłyszałam — coś zadziwiającego — odgłosy ohydne, jakby zaziemskie, ludzkie, a nie ludzkie, ze strefy bełkotu, fermentu... I przerażałam się sądząc, iż ten umysł światły odzywa się do mnie, w nagłym ataku rozpusty, nie językiem artykułowanym, a *kruczeniem*... Wtem zrozumiałam: Guillermo zasnął, aparacik wypadł mu z ucha i spoczął mu na żołądku wzmacniając kruczenia, stamtąd się dobywające.

Niedziela

„Gombrowicz nie pominął, oczywiście, gratki, jaką było zjawienie się w Buenos Aires tej Europy. Natychmiast — niestrudzony reżyser zabrał się do inscenizacji małego dramatu: on, prowincja, wobec nich, świata”.

„Czyżby jednak to oznaczało, że on dotąd nie czuł się pewnie na siodle swoim, międzynarodowym? Że „tracił się” w obliczu Europy, on, niby to już wprowadzony na te parkiety, a jednak wciąż pełen tremy. To podkreślanie własnej prowincjonalności — nie byłoby jednak, do pewnego stopnia, szczerze?”.

„W takim razie — jakież piekło! Jaka męka!”.

Poniedziałek

Męczę się.

Nic nie kompromituje bardziej artysty, niż inny artysta.

Doprawdy artysta, na widok innego artysty, powinien przechodzić na drugą stronę ulicy.

Artystą jest się dla nie-artysty, dla niedość-artysty — dla czytelnika-odbiorcy. Ale, gdy artysta spotyka artystę, obaj przemieniają się w... W kolegów po fachu. W członków Pen Clubu.

Tych ludzi ściągnięto tutaj ze wszystkich stron globu, zmuszono Cassou aby wymieniał grzeczności z Silone, Weidlé syci uśmiechem Madariagę, Butor kłania się Dos Pasosowi i dopieroż: Ciesz się... Bardzo mi przyjemnie... Winszuję... Naturalnie, z wielką przyjemnością... Stykają się ze sobą z najwyższymi ostrożnościami, jakby się bali zabrudzić, wszystkie maniery, stosowane na dyplomatycznych herbatkach, są w użyciu, wyglądają jak grono starych hrabin w ambasadzie. A mimo to niszczą siebie, dewalują, dyskwalifikują!

Ujrzawszy mnie młody Butor wstał z fotela: — *Vous êtes connu en France.*

Wtopiłem w niego ten z moich wzroków, za którym mnie nie ma: — *Mais vous? Est-ce que vous me connaissez?*

Milczał. Nie czytał mnie nigdy. Ani ja jego.

Poniedziałek

Publicyści, krytycy, teoretycy, uczeni w sztuce, jak Madariaga lub Weidlé, wychodzą stosunkowo obronną ręką — mają za sobą tradycję humanizmu, magisterstwa, mniej ich hańbi trybuna. Natomiast sztuki „czyste” — poetów, powieściopisarzy — nic nie zbawi, wyglądają jak kawały żywego mięsa, rzucone na pożarcie, i jak obgryziona kość... Stephen Spender jest jednocześnie wybitnym angielskim poetą i redaktorem wybitnej angielskiej *revue* — cóż więc się dzieje? Ambasada brytyjska przysłała mi umyślnego z listem, iż Spender, nie znając mojego adresu, prosił ich o odszukanie mnie i powiadomienie, że pragnie ze mną się rozmówić. Wzywał mnie jako redaktor. Ale gdy zgłosiłem się do hotelu, obaj staliśmy się poetami, wstyd nasz sprawił, że słowa rozprysły się na krawędzi niedopowiedzianego, a nieobecność nasza stała się silniejsza od obecności.

Odejdź, żarciku, abym mógł pomówić o męce!

Czy oni się męczą? Czy jednak doskwiera zakonspirowany protest owym turystom Ducha? Jak dalece zabrnęli, pytam, czy

do cna zepsuci? Och, jak mnie upokarza niewinność prowincjonalna mego zapytania — a im bardziej się jej wstydzę, tym bardziej staję się niewinny! Siedząc w fotelu spoglądałam na rękę Dos Pasosa bezwładnie i starczo spoczywającą na poręczy innego fotela. Znana już jest moja wrażliwość na ręce. Spoglądałam więc na jego rękę twórczą, autorską, i widzę ją, jak na półmisku, z sałatką, z grzybkami, z oliwą. Rękaw i mankiet koszuli dobierają się do niej, jak ogromna łyżka, palce rąk każą myśleć o widelcu spoglądałam i myślę, jak to on sam siebie zajada! I ta myśl wrogo gastronomiczna i szydlerczy restauracyjna jest mi pancierzem przeciw niemu... ale, cóż to znowu?... Tam, z boku, na tamtym fotelu, Madariaga — obok Silone — dalej w głębi trzy damy, z którymi Robbe-Grillet — Cassou w czwartym fotelu — Butor w kącie, piszący list... A ja na moim fotelu, ja, który nie znam Madariagi, który powinienbym poznać Silone, bo, jeśli wyjdzie na jaw, że nie znam ani Madariagi, ani Silone... i czy nie poprosić Weidlégo, aby mnie zapoznał z Robbe-Grillet? I by powiedział coś o mnie Butorowi?

Męczarnia! Męczarnia! Duma moja, wyjąca jak pies! Płoch i wymiot, że dopada mnie i przenika to, czym ja tysiącrotnie wzgardziłem — ja, samotnik, tak wyniosłe od dwudziestu trzech lat pogrzebany żywcem w Argentynie. O — o — całym życiem swoim wykazać, że się bimba na zaszczyty, kpić sobie z owej *mondanité*, być nieprzekupnym i niedostępnym... aby nagle, w konstelacji pięciu foteli, doświadczyć najbardziej miasteczkowatego zaopatowania i poczuć na sobie wymóg świata, żądający bym został dopuszczony do towarzystwa, stał się jednym z nich! W zastygnięciu jakimś wytrzymałem w sobie moją istność zdawkową literata, uzależnioną jedynie od przyjęcia do gremium... i cóż będzie, jeśli się rozniesie, że nie zostałem przyjęty? Wyprzec się tego uczucia, wypluć? Ale nacisk ugrzecznionej i nieruchomej konstelacji pięciofotelowej czynił mnie jednym z nich — rozgoryczonym, że nie jestem jednym z nich! I oto ja, przed chwilą jeszcze nie szczedzący im jadu za to ich skupienie hotelowo-klubowe, sam teraz byłem bezbronnym włączony w system ich foteli!

Jedna z kotar, zasłaniających okna hallu, była uchylona... i przez szparę ujrzałem ulicę, chodnik, domy, wszystko zwykłe i pełne dziennego światła, jak na obrazku. Jakiegoż susa dałem przez tę szparę — i jąłem czepiać się kurczowo migających mi się twarzy przechodniów, czepiałem się każdej, póki nie zniknęła, i zaraz uczepiałem się następnej, jakby ten korowód twarzy mijających mógł mnie wydrzeć pięciu fotelom w ciszy hotelowej, w dyskretnym lśnieniu żyrandola... Jednakże twarze mi-

jały, zamysłone, rozgadane, roześmiane, roztrzepane, mijały, znikały, a ja tu siedziałem na szóstym fotelu, w ugrzecznienu, w ci-szy. I co? I co? I co?

Wtorek

„Jak ognia wystrzegaj się krytyki oderwanej, opartej na abstrakcyjnym mędrkowaniu. — Muszę naprzód połknąć problem — mawiał — i dopiero, gdy zaczniesz mi dolegać w brzuchu, usiłuję dać sobie z nim radę. Metoda, wzbudzająca zaufanie! Któżby mu nie uwierzył widząc, jak wywnętrza najbardziej wsty-dliwe kompleksy... A jednak, któżby mu uwierzył! Gdyż spostrze-gamy natychmiast, że to wywnętrzanie zbyt łatwo przychodzi, zana-dto jest swobodne i chytre — i znowu, po raz nie wiadomo który, zaczynają gnębić nas wątpliwości: szczerość, czy gierka?”

„On — proteuszowy, jawne i jaskrawe przeciwieństwo mo-nolitów, on — gracz! Gdybyśmy zgłosili się do niego z pretensją, powiedziałby swoje: że osobowość jest jak strój, który nakładamy na własną nagość, gdy mamy się spotkać z kimś; że w samotno-ści nikt nie jest osobowością; że możemy być naraz kilkoma odmiennymi osobami, a przeto zaleca się pewną lekkość w mane-wrowaniu nimi. Kto wie jednak, czy taka odpowiedź nie byłaby zbyt filozoficzna i czy korzeni owej proteuszowości nie należa-łoby raczej poszukać w tym, co go radykalnie oddziela od filozo-fii — w jego naturze artysty. Parafrazując własne jego słowa można by powiedzieć, że „artysta to forma w ruchu”. W prze-ciwieństwie do filozofa, moralisty, myśliciela, teologa, artysta jest grą nieustanną, nie jest tak, że artysta ujmuje świat z jed-nego punktu widzenia — w nim samym dokonywują się nieu-stanne przesunięcia i jedynie tylko własny ruch może przeciw-stawić ruchowi świata”.

„Stąd lekkość staje się często głębią — dla artysty. Lekkość — oto może to najgłębsze, co artysta ma do powiedzenia filozo-fowi. I czyż nie tutaj trzeba szukać przyczyny, że epoki o prze-ważających niepokojach metafizycznych i moralnych, w których usiłowano człowieka ustalić w jakimś określonym charakterze (jako twór boski; jako twór społeczeństwa; jako wolność wresz-cie) bywały epokami ociężałymi, topornie przygniatającymi, naj-mniej artystycznymi. Jak wydatnie zmniejszył się artyzm naszego życia od roku tysiąc dziewięćset trzydziestego, w miarę odradza-nia się w nas pragnienia odpowiedzialności!”

„Patrzmyż dalej na naszego błazna — jakimż jeszcze figlami i skokami nas ucieszy?”

Witold GOMBROWICZ

Stacja

Stałem na tym rogu może już z piętnaście minut ale nikt nie nadchodził. Było cicho i zimno; widziałem wieżę kościoła ciężko wznoszącą się ku niebu jasnemu od mrozu i gwiazd. Jutro też powinno być zimno i już tak chyba zostanie aż do marca, tak to przynajmniej wyglądało. Wtedy z bocznej ulicy wyszedł ten człowiek. Był ubrany w narciarską czapkę i kozuch.

— Nie wie pan, gdzie tu jest jakaś restauracja? — zapytałem.

— Restauracja?

— Gdzieś, gdzie można by posiedzieć i poczekać na pociąg.

— Jest restauracja — powiedział. — Ale o dwunastej za-mykają. Do dwunastej może pan posiedzieć.

— Pokaż mi pan gdzie to jest — powiedziałem. — Napi-jemy się po jednym. Jeśli pan idzie w tamtą stronę.

— Dobrze — powiedział. — Pójdę z panem.

Ruszyliśmy przed siebie. Zamarznięte kałuże pękały z su-chym trzaskiem pod nogami, tak jak to zwykle bywa pierwszego dnia, w którym chwyta mróz i kiedy lód jest jeszcze cienki i deli-katny jak opłatek. Przechodziliśmy obok jakiego ciemnego maszywu i powiedziałem do niego:

— Co to jest?

— Właśnie to, co pan myśli — powiedział.

— Nieliche więzienie jak na takie małe miasto — powie-działem. Patrzyłem teraz na wieżę wartowniczą i na biały reflek-tor okręcający się w równych odstępach czasu. — Nie można za-błądzić — powiedziałem. — Trzeba tylko iść prosto na to światło.

— Mój brat siedział tu siedem lat — powiedział. — I teraz, na jesieni wyszedł. — Odwrócił ku mnie swoją zmarzniętą twarz. — Był lotnikiem — powiedział. — Latał w czasie wojny w Anglii. A potem posadzili go i dostał krawat. Przyszli do niego

żeby podpisał prośbę o ułaskawienie, ale odmówił. Czekał siedem lat na wykonanie wyroku. A teraz wyszedł.

— Chwała Bogu — powiedziałem.

— Nie — powiedział. — On już do niczego. Nie powinni wypuszczać ludzi po siedmiu latach czekania na śmierć. Powinni ich zabijać. Dokąd pan właściwie jedzie?

— Do Warszawy — powiedziałem. — Ale mój pociąg jest dopiero o trzeciej. A musiałem hotel opuścić o dziesiątej. Wie pan jak to jest: inaczej musiałbym zapłacić jeszcze jedną noc.

— Do dwunastej może pan posiedzieć — powiedział. — A potem niech pan idzie na stację. Będzie pan mógł posiedzieć w bufecie.

Weszliśmy do restauracji. Było tu już prawie pusto. Usiedliśmy przy stoliku.

— Niech pan nam da dwa razy po sto — powiedziałem do kelnera. — I coś na zakąskę.

Kelner odszedł. Ten w kozuchu powiedział do mnie:

— Przykro mi, że nie mogę zaprosić pana do domu. Ale moja żona jest chora. No i mój brat.

— Mieszka z panem?

— Tak — powiedział. — Jeszcze się nie urządził.

Wypiliśmy. Wstał; wziął ze stołu swoją narciarską czapkę.

— Dobranoc — powiedział. — Szczęśliwej podróży. Od czasu wojny nie byłem w Warszawie. Zmieniła się?

— Chyba tak — powiedziałem. — Niech pan przyjedzie kiedyś.

— Tak — powiedział. — Myślałem już o tym. Chciałem nawet przenieść się do Warszawy i zacząłem starania. Potem dałem spokój.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Przed wojną zacząłem studiować medycynę — powiedział. — Wie pan, pracuję teraz jako felczer w szpitalu. Nie jest w końcu tak źle. — Milczał przez chwilę. — Jeśli się nie osiągnie czegoś do trzydziestki — powiedział — to nie osiągnie się już nigdy, żeby tam nie wiem jak się ludzić.

— Mnie pan to mówi? — powiedziałem.

— Dobranoc panu — powiedział.

— Dobranoc.

Podszedłem do bufetu. Zamówiłem rozmowę z Warszawą i telefonistka powiedziała mi, żebym nie odkładał słuchawki. Byłem zmęczony i odbicie mojej własnej twarzy w lustrze rozmazywało mi się przed oczyma. Mam trzydzieści lat, ale wyglądam na więcej. Teraz, kiedy byłem nie ogolony wyglądało to jeszcze gorzej.

— Słyszysz mnie pan? — zapytała telefonistka.

— Tak.

— Numer jest stale zajęty — powiedziała.

— Proszę próbować — powiedziałem. — Nie odkładam słuchawki.

Nie potrzebowałem właściwie tej rozmowy. Tak czy owak, nie miałem nic przyjemnego do powiedzenia. Ani jej, ani sobie. Jeśli mężczyźni nie uda się czegoś dokonać w jednym kraju lub w jednym mieście, to pójdzie dalej, do innego kraju albo do innego miasta i będzie próbował od początku. Jeśli był złym aktorem w jednym mieście, to pójdzie dalej, będzie głodował, kraść i próbować jeszcze raz od początku. Albo jeśli ktoś jest kiepskim złodziejem, kiepskim robotnikiem. One mają łatwiej, jeśli im się coś nie uda. Nie potrzebują zmieniać ani kraju, ani miasta. Mogą zostać kurwami na tej samej ulicy, na której chodziły do szkoły i do kościoła. Stałem przy bufecie czekając na rozmowę, patrzyłem na swoją zmęczoną twarz w lustrze i nie było mi wcale dobrze. Kiedy ma się dwadzieścia lat, to klęska jest jeszcze przegoda. Ale w dziesięć lat później wygląda ona jak stara prostytutka i jest tak samo nie do zniesienia, jak jej zapach i jej obecność. To było właściwie wszystko, co powinienem był teraz powiedzieć; w każdym razie najważniejsze z tego co miałem do powiedzenia.

— Słyszysz mnie pan? — zapytała telefonistka.

— Tak — powiedziałem.

— Przypuszczam, że aparat jest popsuty — powiedziała. — Normalnie mogę przerwać jeśli rozmowa jest międzymiastowa. Więc chyba coś się stało.

— Nie — powiedziałem. — Nic się nie stało. Po prostu wie, że będę dzwonić. Więc odłożyła słuchawkę i przykryła ją poduszką. Dziękuję pani.

Odłożyłem słuchawkę i wróciłem do stolika. Była już prawie dwunasta. Kelner pertraktował z jakimiś dwoma, którzy upierali się aby zostać i napić jeszcze po jednym. W końcu ustąpił im; jeden z nich posiadał siłę przekonywania; w ciągu tych kilku chwil opowiedział mu całe swoje życie i najważniejsze decyzje które musiał podejmować. Ten drugi milczał i patrzył cały czas na mnie. Wiedziałem już że nie podobam mu się.

Zapłaciłem i poszedłem w kierunku stacji. Było teraz jeszcze zimniej. Przechodziłem znów obok więzienia i widziałem ciemną sylwetkę wartownika na wieży; ubrany był w ogromny kozuch i czapkę-uszatkę. Nie zauważyłem drugiego; tego, który stał na ulicy ubrany w taki sam kozuch i w taką samą czapkę. Ujrzałem go dopiero w tej chwili, kiedy skierował prosto w moje oczy światło reflektora.

— Zejdźcie na jezdnię — powiedział. — Tędy nie ma przejścia.

— Którędy do stacji? — zapytałem.

— Prosto — powiedział. — Tam dalej już sami zobaczycie.

A teraz zejdźcie na jezdnię.

W bufecie było tam samo zimno jak i na dworze. Wszystkie trzy stoliki były zajęte. Znow podszedłem do telefonu i zamówiłem rozmowę z Warszawą. Pomyślałem sobie, że może to jednak był przypadek; może po prostu rozmawiała z kimś długo; może ze swoją matką, która mnie nie cierpiała, albo z którąś z tych jej cholernych przyjaciółek przed którymi nie miała sekretów tak, jak i one przed nią nie miały sekretów. Nie chciałem być przy tych ich rozmowach. Trzymałem w ręku brudną, lepą słuchawkę i myślałem o tym, że mężczyzna nawet w chwili wściekłości, czy rozpaczy nie potrafi tego powiedzieć o nich, co one same potrafią nam powiedzieć w przystępie dobrego humoru. Dużo bym dał, żeby uzyskać to połączenie i mógł jej powiedzieć to, co chciałem. Człowieka ogarnia czasami okrucieństwo; i to własne okrucieństwo trudniej czasami wytrzymać od cudzego.

— Słyszysz mnie pan? — zapytała telefonistka.

— Tak — powiedziałem.

— Numer jest wciąż zajęty — powiedziała. — To znaczy nie zajęty, musi być jakiś defekt. Nie mogę nic poradzić. Może pan chce nadać depeszę?

— Dziękuję pani — powiedziałem. — Tak czy owak jutro rano będę w Warszawie. Dobranoc.

Nie było gdzie usiąść. Przysiadłem się do jakiegoś stolika przy którym siedziała stara kobieta z jakimś mężczyzną. Dalej siedzieli dwaj oficerowie z dziewczynami i jacyś dwaj kolejarze czekający na poranny pociąg. Ten mężczyzna siedzący przy naszym stoliku wstał nagle.

— Usiądź — powiedziała ta stara kobieta.

Ale nie usłuchał jej. Sprawiał wrażenie, że to wcale do niego nie dotarło. Wstał od stolika i podszedł tam, gdzie siedzieli oficerowie z dziewczynami. Nie zauważyli go. Stał tam nieruchomo i patrzył na te dwie dziewczyny tępy, nieruchomym wzrokiem.

— Usiądź — powtórzyła ta stara siedząca przy stole, gdzie i ja siedziałem. Było to jego matka; o tym wiedziałem od razu. Była ubrana bardzo biednie i czysto. Ręce trzymała nieruchomo na stole; ciężkie, spracowane jak ręce chłopki. — Usiądź — powiedziała.

I tym razem nie poruszył się. Stał nieruchomo za plecami jednej z tych dziewczyn, a w pewnym momencie wyciągnął rękę i dotknął jej, a wtedy krzyknęła i odwróciła się nagle ku niemu.

— Kto to jest? — zapytał jeden z oficerów. — Znasz go.

— Nie — powiedziała. — Widzę go pierwszy raz.

— Czego chcesz? — zapytał drugi z oficerów. — Usiądź sobie i siedź spokojnie, kiedy wypieś.

— Nie jest wcale pijany — powiedziała dziewczyna.

— Odejdź pan stąd powiedział teraz pierwszy z oficerów; był to kapitan: piękny, ciężki mężczyzna w mundurze lotnika. Za dziesięć lat będzie już tylko otyły i niezgrabny, pomyślałem sobie. Ale teraz jest piękny, ciężki i to dodaje mu wdzięku kiedy rusza się powoli jak zwierzę. — Odejdź stąd, przyjacielu — powiedział kapitan. — Pyskaj. I bądź u mnie jak sprężyna.

Ale ten mężczyzna nie poruszył się. Stał tam niby głuchy i ślepy i patrzył na nie — na te dwie kiepskie dziewczyny, z którymi ci oficerowie siedzieli tylko dlatego, że lepszych nie było w odległości pięćdziesięciu kilometrów od lotniska. Trudno było powiedzieć, ile miał lat; mógł mieć dwadzieścia osiem, ale mógł mieć i czterdzieści. Twarz miał nalaną, białą, bez zmarszczek.

— Odejdź pan stąd — powiedziała jedna z tych dziewczyn. — Niech pan powie, kapitanie.

— Jesteśmy przecież na ty — powiedział piękny lotnik. — Jak ty się nazywasz? Maria?

— Tak, Maria.

Wtedy wstała ta stara kobieta, wzięła go za rękę i przyprowadziła do stołu. Wcisnęła mu do ręki bułkę z wędliną i począł jeść, żując ją niezdarnie jak małe dziecko. Oficerowie i dziewczyny pili dalej swoje wino. Ci dwaj robotnicy przy drugim stole ocknęli się nagle i poczęli patrzeć na niego, na ślinę ściekającą z jego ust.

— Zaprawiony — powiedział jeden z nich.

— Może ma hyzia?

— Nie, zaprawiony.

— Nie wygląda na wlanego.

— To nie jest argument. A ty wyglądasz? Ty wyglądasz na wlanego kiedy wracasz do domu po wypłacie i czarujesz swoją starą?

— Nie — przyznał drugi.

Tamten skończył jeść bułkę i znowu wstał.

— Usiądź — powiedziała jego matka.

Znow — tak jak i poprzednim razem — niezauważalnie, cicho stanął za tymi dziewczynami. Nie mogli go zauważyć; to już tak jest w tych małych garnizonach w powszedni dzień, kiedy nie wolno wódki sprzedawać w kantynie i wtedy oficerowie idą na stację, żeby pić wino: tanie, ciężkie wino po którym nie można przyjść do siebie do dwunastej godziny następnego dnia. Musieli

już sporo wypić i może już zapomnieli o nim; ale on znów wyciągnął rękę i znów dotknął jednej z nich.

— No, bracie — powiedział jeden z oficerów. Nie ten duży, ten piękny; ale ten drugi który podśpiewywał tenorem. — Teraz to już za dużo.

— Zostaw go — powiedział lotnik.

— Zostawię go — powiedział tamten. — Pewno, że go zostawię.

Zamachnął się krótko i mężczyzna upadł. Począł go kopać raz po raz szpicem buta w twarz podczas gdy tamten leżał nieruchomo na podłodze nie starając się nawet bronić.

— Słuchaj no pan — powiedział jeden z kolejarzy do oficera. — Tylko nie tak, dobrze? Tylko nie tak.

— Siedź pan przy swoim stole — powiedział oficer.

— Nie tak — powiedział ten robotnik. — Powiedziałem już panu: nie tak.

Stara kobieta znowu wstała; podniosła go z ziemi i przyprowadziła do stolika. Otarła mu krew; a potem podeszła do bufetu i kupiła mu nową bułkę z wędliną. Słyszałem jak rozmawia z bufetowym.

— Dużo tu bierzecie.

— Tu jest stacja — powiedział bufetowy. — Tu tak kosztuje.

— Ile jest w tym wędliny?

— Tyle, ile przepisy mówią, żeby było.

— Nie znam przepisów — powiedziała. — Odpowiedzcie mi, kiedy się was pytam.

— Sto gramów. Bierzecie te dwie bułki, czy nie?

Widziałem jak kobieta liczy swoje pieniądze.

— Wezmę jedną — powiedziała. Wróciła z powrotem do stolika i dała mu bułkę. Znowu ją patrząc przed siebie szklanymi oczyma.

— Za takie zachowanie można go wpakować na noc do komisariatu — powiedział jeden z oficerów; skończył właśnie piosenkę i był zdyszany, uszczęśliwiony. — Powiedzcie waszemu synowi, że nie wolno zaczepiać ludzi. Inaczej zawołam milicję i każę go wpakować. Jest tu chyba milicja kolejowa, nie? — zwrócił się do bufetowego.

— Jest — przyznał bufetowy.

— Nie znacie przepisów — powiedziała do oficera kobieta.

— Ja nie znam przepisów? — powtórzył wolno oficer. — Ja nie znam przepisów? Wy wiecie, do kogo mówicie?

— Siedział dwanaście lat w więzieniu — powiedziała. — I wyszedł teraz, o szóstej wieczorem. Przez dwadzieścia cztery

godziny nie wolno go aresztować. To znaczy do jutra do szóstej. Taki jest przepis.

Tamci odwrócili się: znów otworzyli butelkę wina i poczęli pić. Po chwili tamten znowu śpiewał.

— Za co go zamknęli? — zapytałem ją.

— Należał do bandy — powiedziała. — Kiedy miał siedemnaście lat. Więc jak wybuchła nowa Polska, to ich złapali. Najpierw go skazali na śmierć a potem na dożywocie. Ale widzi pan przecież, pomieszało go. On po prostu nie rozumie co to są kobiety.

Patrzyliśmy jak mężczyzna kończy jeść, a potem jak wysuwa rękę i zaciska ją na piersi matki. Siedziała nieruchomo i spokojnie, a potem swoją ciężką, spracowaną ręką zdjęła jego dłoń.

— No — powiedziała. — Siedź sobie spokojnie. Słyszałeś przecież, co pan oficer powiedział.

Podszedłem do bufetu i kupiłem mu trzy bułki. Rzucił się na nie w milczeniu, a my patrzyliśmy na niego.

— To te doktory z niego to zrobiły — powiedziała stara.

— Nie mówcie takich rzeczy — powiedziałem. — Może po prostu nie mogli mu pomóc.

— Musieli go bić — powiedziała. — I od tego bicia go pomieszało. A potem wzięli go do szpitala, i z powrotem do więzienia. A potem mi napisali list, żebym go wzięła do domu, bo jest chiromatyk.

— Schizofrenik — powiedziałem.

— Tak — powiedziała. — Chiromatyk.

— I co z nim zrobicie w domu?

— Mamy gospodarkę — powiedziała. — Jemu niedługo żyć. Zawsze był słaby na płuca, a teraz już koniec z nim. Ojciec już pojechał do miasta, żeby porozmawiać według pogrzebu, a ja pojechałam po niego. Po co mają studenci go krajać po szpitalach.

Mój pociąg już nadszedł. Dałem jej dwieście złotych i wyszedłem na peron. Była już godzina czwarta, niedługo zacznie jaśnieć i pomyślałem sobie, że do Warszawy przyjadę około południa, a wtedy jeszcze ją zastanę. Bo ja jechałem do jednej dziewczyny, z którą byłem przez rok. Jechałem po to, żeby wziąć od niej swoje rzeczy i wyprowadzić się; żeby jej powiedzieć, że już jej nie kocham, że jej nigdy nie kochałem i że po prostu omyliłem się jeszcze raz.

Marek HŁASKO

Wiersze teologiczne

O B R A Z

*zepsucie stworzenia
nie rzuca cienia
na Stwórcę*

*zło jest negacją
w tonie substancji*

*nieobecność bytu
nie może żądać
tragarza
przedmiotu*

*przypadłościowo
dobro
stanowi przyczynę zła
kiedy osiąga formę
zniszczeniem formy*

*Sam Bóg jest pierwszą przyczyną
niszczenia
i braków w bytach
dla dobra porządku
i doskonałości
wszechświata*

*Bożego obrazu
nierównym rzędem
zniszczalnych
i niezniszczalnych*

PRZEDMIOTY POZNANIA

*nie wytworzę pojęcia
bez wrażenia*

*nie wrócę bez wezwania
złożonych obrazów*

*znalezione dokoła
przerazają zasięgiem*

*we mnie zastaniają się
mrokiem*

*nie chwytam własnego
umysłu*

*stucham istoty
i nad nią*

trafiam na tajemnice

*nie poznam siebie
znając strzępy
Bytu*

*całość zostawiam
czystym inteligencjom*

*bezcielesne
nie znajdują we własnej istocie
racji istnienia
jak On*

*nawraca pragnienie
zrozumienia Przyczyny*

zmysłowego świata
i Jej natury

potęguje bezsilność
do trwogi

zaostrza się porażką

odczuwam ciężar
oczekiwania na dar
aby Jej szczęśliwość
stała się moją
i Jej prawda
doppełniła

WOLNOŚĆ (OBRAZ BOGA)

kompozycja
wyróżniająca
stworzenie
od Słowa
jest połączeniem
istoty
i istnienia

tajemne poruszenie
poprzedza zamiar
którego moralną jakością
określa czyn
wymykający się konieczności

nieutralna wola z możliwością
bez granic
wielkości
albo nędzy
zależy od obrotu

jej wolność osądza rozum

radząc się sumienia
radzi się Najwyższego

gdy wszystkie człony
alternatywy
zostaną zważone
nadchodzi wybór
i samorzutność chcenia

przewrotność przekłada siebie
nad Boga

przekracza
zakaz

powtarza akt buntu

naraża swoje przeznaczenie

odchodzi od ładu
piękną
i miary

odwraca się tyłem
do szczęśliwości

skazuje siebie
na niedolę

rozstraja ciało

Objawienie podnosi szlaban
władzom poznawczym

zapiadnia myśl

przyzywa do współpracy
ze Stwórcą

zawiązania
prawdziwego obcowania

wylączenie możliwości grzechu
jest w sprzeczności metafizycznej
stworzenia

kunszt boski
łaską

leczy
i umacnia wolę
daje jej własną wolność

W O L A

pożądanie obejmuje
elementy dynamizmu
bliźniaczo podobne
do twórczej płodności
z kolorytem poezji

przed wystawą wyboru
środków
przystaje wola

wsparta na kuli
roзумu
cichą kontemplacją przemawia
do poczynań
przez przyczynowość
która bywa
uczestnictwem żywym
potęgi Boga

Z D O L N O Ś C I

człowiek jest pojedynczym
przejawem
pierwszej Przyczyny sprawczej

ma uzdolnienie do boskości

doskonaląc je
upodabnia się
jak twór sztuki

do artysty
kiedy w nim się spełnia
jego wola

kluczem do miłości
leżącym na półce analogii
otwiera
uczestnictwo w majestacie
i szczęśliwości

grzech pierworodny odbiera
prawość woli
nadaną aktem powołania
do istnienia

niepodobny do siebie
miłuje tylko siebie

dar łaski przywraca
zdolności

S K U T K I

przejrzyste lustro
oczom rozumu
nie ma rzeczywistości
bez Przyczyny

istnieje mocą
Bożego istnienia
jak dzień słońcem

Jego nieistnienie
nie do pomyślenia

Słowo formą wszystkiego

Prawda bez początku

UCZESTNICTWO

*łaska dociera
do istoty duszy*

*pozwala uczestniczyć w stałości
idei
które stanowią jej cel*

*ułatwia poznanie
przyjaźni z Bogiem*

*stapia Jego obraz
z rozumnością
natury*

NATURA

*znika zasługa wiary
kiedy wystarczy
dowodzenie*

*filozofią Chrystusową
jest Chrystus w Ewangelii*

*umiera za naturę stworzoną
i podnosi*

*pochylona nad istnieniem
wypytuje Stwórcę
i szuka
kształtu*

SŁOWO

*wielkością duszy
jest człowiek
obrazem Słowa*

*przygięcie do ziemi
i uległość trwodze
nie unicestwią
wolnego wyboru*

rozdziara

*wtedy Ono nie może
miłować Siebie
w niej
uściskiem miłosierdzia
i zjednoczonej woli*

*łaską może odnowić
obraz*

W. K. WŁODKOWSKI

WIOSNA

*czym jestem
gdy odejmie mi od czoła rękę wiosna*

*wiosną najpiękniejszą z pór roku
na moich ramionach opiera się Bóg
kiełkują gwiazdy zagrzebane w piasku
i w rozpiętych kozuchach aniołowie zstępują
z szklanych niebios*

*tylko wiosną
gdy rekwizyty wojen wdeptane w ziemię
nie wytryskują krwią nad głową
dreczona jeszcze większym ogniem miłość
którą przygiął wiatr szyję białą wyciąga
dotyka zgięcia trójkątnego w łokciu
łasi się płonąca*

*tylko wiosną
otchłanie niszczej od przyptywów morza
na którym księżyc świecący jedzie obok słońca
i ptaki unoszą łaskę do chmur na gniazda
rozpychając ramy okienne z powietrzem*

*lecz czym będę
gdy odejmie mi od czoła rękę wiosna*

U M A R L I

*umarli opuszczają nasze ulice
gasną jak latarnie
pozostaje po nich
martwe powietrze
ślady kroków
wspomnienia
i potomstwo jeśli mogli je zdobyć*

umarli rodzą próżnię

Wacław CHABROWSKI

S N Y

*Sny — ptaki na obcym wybrzeżu
Przenikają przez modre noce.
Tarcze zegarów na wieżach
Jak księżycowe owoce.*

*Kominy — pomniki dymów,
Dachy — widma szalałów,
Kościół kamieniem wyrósł
Z kolumn starego lasu.*

*Sciany w okiennych konstelacjach,
Ulice — błędne ognie.
Kocie oczy spadają z nienacka
Na place leżące odłogiem.*

*Niebo u nóg — nie za duże...
Wszecławiat z ziarenka maku.
A to prawdziwe niebo w górze
W kręgu znaków zodiaku.*

*Niskie niebo jak cacko cieszy,
Choć się lękiem po ziemi rozlega.
Oczy podnieść, to jakby zgrzeszyć
Przeciwko temu, czego już nie ma.*

*Wspomnienie łaski coraz biedniej
Błąka się w resztkę, w cząstce.
Tylko słowa przychodzą bezwiednie
Na pomoc sennej gorączce:*

*Żeby dźwiękiem ocalić ginące,
Znaczeniami odmienić los.
Lecz zakłęcie z modlitwą się popłącze
I upadnie na ziemię głuchy głos.*

*W brytkach lodu słowa jak w szkle
Oniemiałe, przezroczyście owady,
Prosto z chmury w niedojrzały chleb
Tłuką głucho padającym gradem.*

*Kłos zmarnieje przetrącony na pól,
Nim się ziarno w dniu kwiatu zawiąże,
Trawą szczęście zmielone młynem kół,
Pyłem tylko ocali się zalążek.*

*Bo to tak jak w godzinie śmierci
Kiedy człowiek zamienia się w ciało
Zimny dreszcz na wylot przewierci
Wciąż patrzącą żrenicę ocalałą.*

*W szklanym oku odbije się ciemność,
W sztywnej ramie otwartych powiek.
Ciało umrze, a po czystej drodze mlecznej
Nieśmiertelnym krokiem przejdzie — człowiek.*

Bronisław PRZYŁUSKI

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM LXXVI

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)



TOM LXXVII

CZESŁAW MIŁOSZ
CZŁOWIEK WSROD SKORPIONOW

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZozOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)



TOM LXXVIII

BERNARD SINGER
OD WITOSA DO SŁAWKA

Cena egz. 18 NF (dol. 4,00; 27/-)



TOM LXXIX

CZESŁAW MIŁOSZ
KRÓL POPIEL

I INNE WIERSZE

(Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6))

Archiwum polityczne

Nad grobem "Ostpolitik"

Nubia ma za sobą dwa i pół tysiąca lat historii. Pisał o niej obszernie Strabo w roku 25 naszej ery. Ekspedycja Polskiej Akademii Nauk niedawno odkryła w Nubii wspaniałe malowidła ścienne bizantyńsko-chrześcijańskie. Lecz w najbliższej przyszłości bardzo znaczna część tego tajemniczego kraju po 2500 lat burzliwego żywota zniknie pod wodą sztucznego olbrzymiego jeziora.

Oczywiście z naszego punktu widzenia 10 wieków europejskich jest czymś niewspółmiernie ważniejszym niż 25 wieków nubijskich. Gdyby Berlin wywakuowano, zrównano z ziemią i przemieniono w czarujące jezioro z romantycznymi łabędziami — na całym świecie podniosłaby się nieopisana wrzawa. A jednak w rezultacie takiej operacji z krajobrazu niemieckiego znikłoby jedno z najbrzydszych miast w Europie — a z agendy spornych kwestii pomiędzy Wschodem a Zachodem znikłoby jedno z najbardziej ciernistych zagadnień.

Oczywiście to nie jest ani projekt ani propozycja. Berlina nie można zatopić — choć nie łatwo w nim żyć.

Na kwestię berlińską można patrzeć dwojako. Przeciwnicy podziału Niemiec sądzą, że rozwiązanie kwestii Berlina możliwe jest tylko poprzez zjednoczenie. Jedno państwo niemieckie z jedną stolicą — Berlinem.

Zwolennicy podziału Niemiec chcieliby natomiast znaleźć rozwiązanie, które utrwaliłoby „dualizm” niemiecki, a nie pogorszyło sytuacji mocarstw zachodnich.

Cudzoziemiec — choćby dobrze zorientowany w sprawach niemieckich — nie może w sprawie Berlina wygłaszać autorytatywnych sądów. Osobiście, gdybym był Niemcem, nic by mi nie zależało na tym mieście, które ktoś jeszcze przed wojną nazwał „kamienną pustynią”. Dla mnie to będzie zawsze miasto-upiór z widmem Hitlera.

Lecz Sebastian Haffner — bardzo wybitny i utalentowany berlińczyk — napisał, że Niemcy są „zwierzęciem”, które ma

tylko jedną głowę i tą głową jest Berlin. Haffner gotów jest przysięgać, że wszyscy Niemcy na dnie duszy za swą stolicę uważają Berlin i utrata tego miasta na rzecz Ulbrichta — pociągnęłaby za sobą po pewnym czasie re-orientację całego narodu niemieckiego.

To są imponderabilia narodowe, których logika się nie ima. Gdyby NRD odstąpiła niemieckiej Republice Federalnej obszar równy powierzchni wielkiego Berlina — gdyby zachodni Berlin ogołocoło wywołując ludzi, urzędnika przemysłowe i wszystko co posiada jakąś wartość — i wówczas oddano Ulbrichtowi puste place i budynki — równowaga sił nie uległaby zmianie. W mojej ocenie Ulbricht w Berlinie byłby nadal tylko Ulbrichtem — a jego reżym wschodnio-niemiecki byłby równie odpychający z Berlinem jak i bez Berlina.

Lecz uczuciowy stosunek do stolicy państwa nie może być oceniany obiektywnie przez cudzoziemca. Polacy odbudowali stare miasto w Warszawie z podziwu godną pieczołowitością w chwili gdy trzy czwarte stolicy leżało w gruzach a każdy worek cementu był na wagę złota. Cudzoziemcom wydawało się niepojęte, że zamiast budować bloki mieszkalne — Polacy zabrali się do odtworzenia owego klejnotu przeszłości.

We wszystkich encyklopediach, atlasach itp. — w bloku wschodnim Berlin figuruje zawsze jako stolica NRD. Jest natomiast rzeczą raczej zdumiewającą, że „The Oxford Atlas” — wymienia również Berlin jako stolicę NRD. I to nie wschodni Berlin — tylko Berlin („Capital: Berlin, str. 31). Jako stolicę Republiki Federalnej tenże atlas wymienia Bonn. Widzimy więc, że problem berliński — nad którym Waszyngton i Moskwa głowią się od lat — „Oxford Atlas” załatwił po myśli pana Ulbrichta. Zbędne wydaje się dodawać, że owe wywianowanie Ulbrichta całym Berlinem dokonane zostało całkowicie bezprawnie.

Bardzo wielu Niemców reprezentuje pogląd, że zasadniczym celem okupacyjnego statusu Berlina było od początku podtrzymanie charakteru „kwestii otwartej” problemu Niemiec. Innymi słowy dopóki los Niemiec jest „sprawą otwartą” — dopóty Berlin w jego obecnej formie jest prowizorium ale nie anomalią. W tej perspektywie Berlin jest tylko elementem składowym prowizorycznej sytuacji, która obejmuje całość problemu niemieckiego. Berlin staje się natomiast anomalią i ogniskiem zapalnym w chwili, gdy podział Niemiec uznajemy za rzecz postanowioną i finalną, ponieważ status Berlina nie pasuje do takiej sytuacji i w tym duchu nie był pomyślany. Berlin był po prostu odstawiony na półkę i miał czekać cierpliwie do chwili zawarcia traktatu pokojowego z całym zjednoczonymi Niemcami.

Wielu politycznych pisarzy niemieckich sądzi, że w początkowym okresie — bezpośrednio po zakończeniu wojny — strony zainteresowane zdawały sobie w pełni sprawę, że specjalnego charakteru Berlina. Sprawy skomplikowały się nieco, gdy mocarstwa zachodnie zaczęły tracić z oczu właściwy sens statusu politycznego Berlina — usiłując dopasować ów status do nowej

sytuacji, której treścią jest milcząca akceptacja podziału Niemiec.

To wszystko jest prawda — ale nie pełna prawda. Federalna Republika niemiecka z własnej woli zrezygnowała z prowizorycznego statusu i z podziwu godną dynamiką zdobyła status państwa suwerennego i sprzymierzonego a jej przedstawiciele zajęli miejsce Rosji w klubie zwycięskiej koalicji z drugiej wojny światowej. Kanclerz Adenauer odrzucił propozycje sowieckie neutralności i zjednoczenia godząc się na odbudowę armii niemieckiej, która stanowi trzon NATO.

Przysłowie angielskie mówi, że nie można równocześnie mieć ciastka i zjeść go. Na coś trzeba się zdecydować. Dr Adenauer i politycy jego szkoły uważają, że Berlin, zjednoczenie i granice przyszłych Niemiec — to wszystko jest prowizorium, które należy uporządkować po myśli Bonn. Natomiast Federalna Republika z prowizorium nie ma absolutnie nic wspólnego i jest nie tylko suwerennym państwem, ale mocarstwem, uzbrojonym i czynnie zaangażowanym w konflikcie Wschód-Zachód.

Trudno jest pojąć, że tak inteligentni publicyści jak Haffner nie widzą tego problemu. Jeżeli Niemcy zachodni chcieli się domagać od czterech mocarstw okupacyjnych zjednoczenia i podpisania traktatu pokojowego z scalonymi Niemcami — powinni byli traktować Niemcy zachodnie za strefę okupacyjną, względnie za prowizoryczne państwo kadłubowe, nieuzbrojone i nie zaangażowane. Można zjednoczyć strefy okupacyjne czy prowizoryczne, nieuzbrojone państwa kadłubowe — ale nie można zjednoczyć dwóch republik, uzbrojonych i należących do dwóch zwalczających się obozów. W takiej sytuacji nie można mówić o zjednoczeniu. Można tylko mówić o wyzwoleniu siłą lub o podboju.

We wrześniu 1949 r. dr Adenauer został kanclerzem. W marcu 1952 r. Stalin przesłał do Bonn notę proponując zjednoczenie Niemiec w zamian za neutralność. To był jedyny moment — jak dotąd — kiedy Rosjanie byli gotowi odstawić Ulbrichta na boczny tor. Można przyjąć za pewnik, że Stalin proponując zjednoczenie w zamian za neutralność — nie wyrzekał się planów skomunizowania całego Niemiec. Lecz z ówczesnych relacji — między innymi z rozmów Dżilasa z sowieckim dyktatorem — widać jasno, że ocena Stalina sytuacji w Niemczech była zupełnie fałszywa. Stalin sądził, że niemiecka *middle class* została powalona i nigdy więcej się nie podniesie. Jeżeli można powiedzieć, że istnieje na świecie naród z krwi i kości burżuazyjny i mieszczański to tym narodem są Niemcy. Niemiecka *middle class* odrodziła się jak feniks z popiołów i sądzę, że Chruszczow zdaje sobie z tego sprawę. Do jednego z korespondentów francuskich miał się wyrazić, że woli 17 milionów Niemców pod rządami komunistów niż 70 milionów Niemców neutralnych.

Jeszcze raz chciałbym podkreślić, że problemowi zjednoczenia Niemcy zachodni własną polityką nadali odmienny charakter. Z chwilą kiedy nie tylko odrzucili propozycje neutralności, lecz

zaangażowali się aktywnie i wojskowo w konflikcie Wschód-Zachód — *de facto* przekreślili możliwości pokojowego zjednoczenia. Nie czekali z przyjęciem pełnej suwerenności na zjednoczenie i podpisanie traktatu pokojowego z scalonymi Niemcami — tylko przyjęli status pełnoprawnego sojusznika, zastępując pierwotny postulat zjednoczenia polityką *liberation*. Dziś nie można wrócić do postulatów i przyrzeczeń zjednoczenia z okresu okupacyjnego jak chciałby Haffner. Być może zjednoczenie było możliwe jeszcze w roku 1952 — ale nie było już możliwe w maju 1955 r. kiedy NRF stała się suwerennym państwem i pełnoprawnym członkiem NATO. Od tej daty zjednoczenie oznaczało *liberation* i tak to rozumiał Dulles i tak to rozumiał dr Adenauer. Dlatego nie można winić mocarstw zachodnich, że odeszły od pierwotnej koncepcji zjednoczenia. To przede wszystkim Niemcy zachodnie odeszły od tej koncepcji. W praktyce okazało się, że polityka *liberation*, która miała zastąpić koncepcję zjednoczenia — jest niewykonalna środkami pokojowymi.

Tylko w powyżej naszkicowanej perspektywie można obiektywnie ocenić zagadnienie Berlina. Berlin nie symbolizuje (choć symbolizował) jakichkolwiek zobowiązań, postulatów czy deklaracji dotyczących zjednoczenia Niemiec. Zjednoczenie Niemiec w roku 1945 i zjednoczenie Niemiec w r. 1962, — to są dwa całkowicie różne zagadnienia.

Dziś Berlin nie jest problemem niemieckim, lecz międzynarodowym — ściślej amerykańsko-sowieckim. Obie strony w sporze zdają sobie sprawę, że rozwiązanie kwestii berlińskiej poprzez pierwotną koncepcję zjednoczenia Niemiec jest propozycją w obecnej sytuacji nierealną.

W sprawie Niemiec i Berlina nie można powrócić na punkt startu bo główni antagoniści, tzn. Amerykanie i Rosjanie, są zbyt zaangażowani w losach dwóch państw niemieckich, którym patronują. Waszyngton nie zgodziłby się dziś na neutralizację Niemiec ze względu na interesy NATO — Chruszczow zaś nie może dziś odstawić Ulbrichta na boczny tor, ponieważ mogłoby to pociągnąć za sobą nieprzewidziane konsekwencje w Europie Wschodniej.

Bez względu na to czy Chruszczow podpisał wielokrotnie zapowiadany i odkładany traktat pokojowy z Ulbrichtem — Amerykanie nie zgodzą się na wcielenie zachodniego Berlina do NRD. W gruncie rzeczy na odcinku berlińskim tak dla Amerykanów jak i dla Rosjan pole manewru jest minimalne. Można tylko jedno prowizorium zastąpić drugim prowizorium, które być może przetrwa do następnego kryzysu.

Można oczywiście skapitulować. Lecz to byłoby tak kapitalny błąd, że nie sądzę by ktokolwiek kapitulował w Berlinie. Nie skapitulują ani Amerykanie ani Rosjanie i *deadlock* w takiej czy innej formie będzie trwał.

Znacznie więcej pola do inicjatywy mieliby Niemcy, gdyby prowadzili jakąś politykę wschodnią. Lecz Niemcy nie prowadzą żadnej polityki wschodniej — bo wschód z ortodoksyjnej „Ostpo-

litik” przestał istnieć. Większość Niemców myśli o polityce wschodniej klasycznymi kliszami bo w przeciwieństwie do nauk ścisłych w polityce tradycja góruje nad doświadczeniem.

Paul Wilhelm Wenger cytuje w swojej książce artykuł w „Fortschrift” — którego autor pociesza swych rodaków słowami: „na szczęście problem granicy na Odrze i Nysie może znaleźć różnorakie rozwiązania. Rosja uczestniczyła w czterech wyborach Polski z czego wynika wnioski, że najpierw należy rozmawiać z Rosją a dopiero później z Polakami”.

Bardzo niewielu Niemców stawia ów problem równie jasno i przejrzyście. Ale w moim przekonaniu bardzo wielu Niemców na dnie duszy myśli podobnie. W pewnej mierze trudno się temu dziwić — gdyż z punktu widzenia niemieckiego jest to myślenie po liniach historycznych. Fryderyk — Katarzyna, Hitler — Stalin, a nawet Rokossowski umożliwiający zgniecenie Powstania Warszawskiego — to wszystko sugeruje ten sam „deseń” współpracy niemiecko-rosyjskiej kosztem Polski.

Polacy na emigracji nie mają prawa wytykać Niemcom tradycjonalizmu i historycyzmu w myśleniu politycznym. Wszystkie emigracyjne „uchwały” mówią o Wilnie i Lwowie powołując się na traktaty sprzed pół stulecia.

W każdym historycznym narodzie tradycja jest siłą, z którą liczyć się musi polityk. Gdy rodziła się 2-ga Rzeczpospolita nie mieliśmy żadnej myśli państwowej. Mieliśmy tylko tradycję historyczną. Tacy ludzie jak Józef Piłsudski byli jeszcze żywo związani z tradycją 1-szej Rzeczypospolitej — z tradycją wielonarodowego, wielkiego mocarstwa. Dopiero dziś — z perspektyw lat — widać jasno, że 2-ga Rzeczpospolita była w większym stopniu miniaturą 1-szej Rzeczypospolitej niż nowoczesnym państwem. Prowadziliśmy mocarstwową politykę będąc już tylko mocarstwem z tradycji, a nie w sensie potencjału gospodarczego i wojskowego.

W okresie r. 1938-1939 Polska znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Krytyka Becka za ów ostatni rozdział jego polityki — choć powszechna — jest całkowicie bez sensu. Zarówno w życiu, jak i w polityce trafiają się sytuacje bez wyjścia. Mogliśmy wówczas tylko wybierać między Stalinem a Hitlerem — z tym, że ani jeden ani drugi nie miał nam niczego do zaoferowania prócz zaboru.

Doświadczenie uczy, że „sytuacje bez wyjścia” tak w życiu, jak i w polityce są sumą błędów popełnionych w przeszłości. We wrześniu 1939 r. nie było wyjścia i nie pomógłby nam najgenialniejszy wódz czy najświetniejszy mąż stanu. Ale być może — września można było uniknąć trzeźwą i a-historyczną polityką podjętą 10 lat wcześniej? Idea jagiellońska była martwym echem martwej przeszłości. Tylko związek środkowo-wschodnio-europejski, a przede wszystkim sojusz z Czechosłowacją mógł nam zapewnić bezpieczeństwo. Ale z naszej strony wymagałoby to reorientacji w stosunku do Rosji. Tego rodzaju związek państw był nie do pomyślenia bez udziału Czechosłowacji, a Czechosło-

wacja nie przystąpiłaby do żadnego układu o charakterze wyraźnie anty-rosyjskim.

Trzeba jednak powiedzieć, że — pomijając pewnych staroświeckich panów na emigracji — Polacy zrozumieli lekcję drugiej wojny światowej. Natomiast mam osobiście wielkie wątpliwości czy Niemcy zrozumieli tę lekcję.

W przeszłości podział Polski stabilizował równowagę między Rosją a Prusami. Ten sam manewr powtórzony w pakcie Ribbentrop-Mołotow skończył się wojną niemiecko-rosyjską i upadkiem Trzeciej Rzeszy. W dwudziestym wieku w geograficznej Europie pomiędzy Uralem, a Atlantykiem nie ma miejsca na dwa gigantyczne super-mocarstwa kalibru Związku Sowieckiego i Rzeszy Niemieckiej z roku 1941-42. Podział Polski niczego by nie zmienił. Gdyby kiedykolwiek miało dojść do nowego rozbioru Polski — wojna niemiecko-rosyjska byłaby nie do uniknięcia. Ci Niemcy, którzy domagają się zwrotu Wrocławia — winni pamiętać, że dla wielu młodych Niemców droga z Wrocławia prowadziła prosto do nieznanego grobu na bezkresnych rosyjskich równinach. Przywrócenie Niemcom granic z 1937 r. — czego domagają się rewizjoniści — wyposażałoby państwo niemieckie w klasyczną bazę wypadową przeciwko Wschodowi. Stanowiłoby to bezpośrednie zagrożenie Rosji, na które Moskwa dobrowolnie nigdy by się nie zgodziła. Ponieważ Rosjanie — w przeciwieństwie do pewnych kół niemieckich — zrozumieli lekcję Hitlera.

Prof. Golo Mann zwrócił uwagę w jednym ze swych szkiców, że Federalna Republika zdobyła rzecz bezcenną — zdobyła zaufanie zachodniej Europy, którego Niemcy nie posiadali od czasów Metternicha.

Istotnie tak jest. Zaufanie Zachodu jest najcenniejszym owocem podziału Niemiec. Tylko dzięki podziałowi możliwe było wyrównanie stosunków francusko-niemieckich. Porozumienie pomiędzy Bonn i Paryżem stanowi z kolei fundament koncepcji europejskiego *integration*. Historycznym celem polityki niemieckiej winno być *doprowadzenie do zjednoczenia bez utraty owoców podziału*.

To jest możliwe, ale tylko w ramach niezmiernie mądrej i dalekowzrocznej polityki. Czy Niemcy staną na wysokości zadania — przyszłość okaże.

Rzut oka na mapę musi każdego przekonać, że Niemcy w Europie nie obejmującej Rosji zajmują pozycję centralną i dominującą. Czy będziemy mieli na kontynencie unię czy federację, czy Anglia przystąpi do wspólnego rynku czy nie przystąpi — Niemcom w zjednoczonej Europie zachodniej przypadnie rola jeżeli nie wręcz hegemoniczna, to w każdym razie czołowa.

Niemcy w oparciu o zjednoczoną Europę zachodnią — chcieliby odtworzyć zniweczoną równowagę sił pomiędzy Rosją, a mocarstwowymi Niemcami. Zapewniwszy sobie dominujące stanowisko w niemiecko-francuskiej Europie — Niemcy będą mogli podjąć rozmowy z Moskwą jak równy z równym.

Jeżeli Niemcy owo dominujące stanowisko zechcą wykorzystać do urzeczywistnienia swych postulatów rewizjonistycznych — doprowadzą do rozbicia jedności Europy zachodniej i utracą zaufanie, które słusznie tak wysoko sobie cenią. Bo Europa zachodnia — bez względu na stopień zjednoczenia — nie poprze terytorialnych pretensji niemieckich. Rozbicie jedności Europy zachodniej byłoby natychmiast wykorzystane przez Sowiety, które czekają tylko na taką okazję.

Jeżeli Niemcy istotnie dążą do zjednoczenia, nie mogą sobie pozwolić na utratę zaufania narodów zachodniej Europy — bo tylko w oparciu o Europę polityka zjednoczenia może nabrać cech realistycznego programu.

W zachodniej Europie nikt nie kwestionuje moralnego prawa Niemców do zjednoczenia — ale równocześnie nikt nie pragnie tego zjednoczenia. Narody zachodniej Europy mają zaufanie do podzielonych Niemiec i tylko do podzielonych Niemiec. Nikt nie ma zaufania do zjednoczonych Niemiec i ów kredyt zaufania trzeba by dopiero zbudować.

Niemcy zjednoczenie i rewizjonizm terytorialny traktują w jednej płaszczyźnie. Pragną nie tylko zjednoczenia dwóch republik niemieckich, ale i skomasowania wszystkich ziem, które kiedykolwiek wchodziły w skład Rzeszy niemieckiej.

Nawet tak światli Niemcy jak prof. Golo Mann czy Sebastian Haffner nie zdają sobie sprawy z faktu, że po obu stronach „żelaznej kurtyny” toczy się gorączkowa akcja, zmierzająca do asekuracji przed zjednoczonymi Niemcami.

Macmillan przemawiający w Llandudno i Gomułka przemawiający we wschodnim Berlinie w październiku br. — choć zabrzmi to paradoksalnie — jeżeli chodzi o Niemcy — kierowali się wspólną ideą przewodnią.

Dla Anglików — jak podkreślał to wielokrotnie „The Guardian” i „The Observer” — celem politycznej unii europejskiej byłoby: *preventing Germany from becoming warlike*. Dla Gomułki podpisanie oddzielnego traktatu pokojowego z NRD oznaczałoby przypieczętowanie podziału Niemiec przynajmniej przez Rosję. Po obu stronach „żelaznej kurtyny” dąży się różnymi metodami do maksymalnej asekuracji przed widmem zjednoczonych, *warlike* Niemiec.

Berlin przypomina światu, że kwestia niemiecka jest ciągle otwarta. Bezpośrednim celem polityki sowieckiej nie jest aneksja zachodniego Berlina, lecz oderwanie problemu Berlina od zagadnienia zjednoczenia Niemiec. Jeżeli status okupacyjny zastąpi się nowym statusem — to choćby ów nowy układ gwarantował swobodny dostęp do zachodniego Berlina — problem berliński straci swój dotychczasowy charakter. Wówczas Berlin zamiast symbolizować zjednoczenie Niemiec przypieczętuje podział Niemiec. I to stanowi bezpośrednio cel polityki sowieckiej.

Niemcy w swych dążeniach zjednoczeniowych są całkowicie osamotnieni. Amerykanie bynajmniej nie walczą o Berlin jako

symbol zjednoczenia Niemiec. Amerykanie walczą o Berlin jako o zachodnią placówkę NATO.

Był czas, że podział Polski ułatwiał utrzymanie równowagi pomiędzy Rosją a Prusami — co w dalszej perspektywie stabilizowało metternichowską Europę. Dziś podział Niemiec spełnia podobną rolę. Współpraca niemiecko-francuska, NATO, wspólny rynek — to wszystko funkcjonuje dopóki Niemcy są podzielone. Mówiąc o przyszłej unii czy federacji europejskiej Francuzi czy Anglicy mają na myśli podzielone Niemcy. Owe podzielone Niemcy zachodni Europejczycy pragnęliby włączyć w związek ponadpaństwowy w nadziei, że unia czy federacja uniemożliwi Bonn prowadzenie samoistnej, ściśle narodowej polityki i w konsekwencji pogłębi jeszcze istniejący podział Niemiec.

Po tamtej stronie „żelaznej kurtyny” sytuacja wygląda bardzo podobnie. Wszystkie inicjatywy i posunięcia zmierzają do utrwalenia podziału Niemiec. Ulbricht od wielu miesięcy zabiega w Pradze i w Warszawie o poparcie w tej sprawie. Chciał zorganizować kolektywny „nacisk” na Chruszczowa by w końcu — po tylu wahaniach — podpisał oddzielny układ pokojowy z NRD. Trudno dziwić się Gomułce, że mimo braku jakichkolwiek „braterskich” więzów pomiędzy Polską a wschodnio-niemiecką partią komunistyczną — udzielił pełnego poparcia Ulbrichtowi. Wobec odmowy ze strony Federalnej Republiki uznania granicy na Odrze i Nysie — podział Niemiec i wszystko co zmierza do utrwalenia tego podziału stanowi jedyną formę zabezpieczenia tej granicy.

Leżałoby w interesie Polski i Polaków sąsiedowanie ze zjednoczonymi, demokratycznymi Niemcami. Polska graniczyłaby wówczas bezpośrednio z wolnym światem, z zachodnią Europą — co z całą pewnością wywarłoby korzystny i różnorodny wpływ na rozwój sytuacji w naszym kraju. Ale z całą pewnością nie leży w polskim interesie sąsiedować bezpośrednio z potężnymi zjednoczonymi Niemcami, które nie uznawałyby granicy na Odrze i Nysie, zgłaszały pretensje do Śląska, Szczecina, Gdańska i kto wie czy nie do poznańskiego. Tego rodzaju sąsiedztwo paraliżowałoby rozwój, Polski, bo nie można pokoleniami żyć w cieniu września 1939 r.

W mojej ocenie — jeżeli nie dojdzie do zjednoczenia Niemiec — w kwestii berlińskiej zatriumfuje geografia nad polityką. Dziś, w razie zamachu sowieckiego, Amerykanie zdobyliby się na demonstrację siły. Ale ci sami Amerykanie wysuwali projekt komisji państw, która miałaby nadzorować komunikację zachodniego Berlina z wolnym światem. Kanclerz Adenauer — choć nie łatwo w to uwierzyć — nie jest wieczny. Jego następcy będą reprezentowali politykę bardziej elastyczną choćby z tej przyczyny, że nie będą dysponowali autorytetem na miarę Adenauera. Po serii kryzysów dojdzie w końcu do „umiędzynarodowienia” Berlina. Tego typu maszyna („wolne miasto” pod protektoratem ONZ, czy miasto „niczyje” pod opieką komisji państw neutralnych) — nie może funkcjonować. Berlin to nie

jest Kongo. Nastąpi proces powolnej erozji wpływów zachodnich i uwiąd miasta.

W Europie nie można mieć dziesiątkami lat „wyspy” na obszarze cudzego państwa. Jeżeli podział Niemiec zostanie utrwalony i usankcjonowany, jeżeli NRD z Ulbrichtem czy bez Ulbrichta zdobędzie międzynarodowe uznanie — wchłonięcie Berlina przez wschodnie Niemcy będzie już tylko kwestią czasu.

Do czego zmierzają te uwagi? Chciałem wykazać, że w gruncie rzeczy nie istnieje „kwestia berlińska”. Z punktu widzenia polityki zachodnio-niemieckiej Berlin nie istnieje jako zagadnienie oddzielne — ponieważ problem ten może być rozwiązany tylko i wyłącznie w ramach polityki zjednoczenia. Federalna Republika albo zjednoczy Niemcy i tym samym rozwiąże sprawę Berlina — albo nie zdoła zjednoczyć Niemiec i Berlin straci.

Niemcy swój program zjednoczeniowy musieliby rozpocząć od odbudowy zaufania. Podstawowym warunkiem tego typu polityki musiałyby być bezwzględne odcięcie się i potępienie rewizjonizmu. Niemcy muszą wybrać: albo rewizjonizm terytorialny — albo zjednoczenie dwóch republik niemieckich. Jeżeli Niemcy nie zdołają się na dokonanie owego wyboru — jeżeli oficjalnie domagać się będą zjednoczenia, a półoficjalnie granic sprzed drugiej wojny światowej — nie odbudują międzynarodowego zaufania dla swojej polityki, nie zjednoczą Niemiec, stracą Berlin i zagrożą jedności zachodniej Europy.

Niemcy jeżeli zechcą odbudować swoją „Ostpolitik”, bez czego zjednoczenie nie jest możliwe — musiałyby podjąć z Rosją rywalizację jako potencjalny organizator europejskiego Wschodu. Co Niemcy, potencjalny „organizator” wschodniej Europy, mają do zaoferowania Polakom czy Czechosłowakom? Nowy rozbiór, a może okupację. Jeżeli mamy być okupowani — to wolimy okupację rosyjską.

Nowoczesna „Ostpolitik” winna dla narodów wschodnio-europejskich stanowić *alternatywę* a nie *koszmar*. Dopóki Niemcy tego nie zrozumieją ich „Ostpolitik” będzie wykazywała opóźnienie o... dwa stulecia.

Gdyby w sytuacji Niemców był inny naród — uznałby granicę na Odrze i Nysie, nawiązał z krajami Europy wschodniej stosunki dyplomatyczne, gospodarcze i kulturalne — starałby się wywalczyć dla Polski, Czechosłowacji, Węgier status „członków nadzwyczajnych” europejskiej wspólnoty gospodarczej. Tego typu „Ostpolitik” z czasem rozluźniłaby Pakt Warszawski, obaliłaby mit zagrożenia niemieckiego — po latach odbudowałaby zaufanie do narodu niemieckiego, co z kolei, pozwoliłoby Polakom i Czechosłowakom dojrzeć ich wielkiego zachodniego sąsiada w nowej historycznej roli budowniczej europejskiej wspólnoty.

Federalna Republika ma nowoczesną politykę zachodnią. W stosunku do wschodu Europy całkowity brak polityki zastępuje anachronizmem i zbankrutowanym mitem.

Polakowi, wychowanemu w kręgu kultury niemieckiej — jak piszący te słowa, trudno jest pojąć, że Niemcy zachodni godzą się bez sprzeciwu, by w Warszawie, Budapeszcie, Pradze, Bukareszcie, Belgradzie jedynym reprezentantem Niemiec i historycznej treści, którą słowo to zawiera, był p. Ulbricht. To jest dosłownie koniec „Ostpolitik”.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

REFLEKSJE KUBAŃSKIE

Niedawno jeden z emigracyjnych publicystów wystąpił z tezą, że bronie nuklearne przekreśliły wszystkie teorie geopolityczne. Istotnie wydawać by się mogło, że sputniki, międzykontynentalne pociski balistyczne, supersoniczne samoloty — skurczyły powierzchnię ziemi sprowadzając ją niejako do wspólnego mianownika.

Lecz cały ów zdumiewający postęp — nie zachwiał podstawowymi tezami geopolityki. Dla narodu, jak my, żyjącego od stuleci pod presją racji geopolitycznych — to jest jedyna wprawdzie, ale bardzo istotna lekcja wypływająca z wydarzeń na Kubie.

Chruszczow skapitulował, bo dyspozycja geopolityczna nastęrczała dla Rosjan trudności nie do przewyciężenia. Miał do wyboru albo skapitulować albo podjąć światową wojnę atomową. Kuba nie jest warta tej stawki.

Dyspozycja geopolityczna grała w stu procentach na korzyść Amerykanów. Dzięki wyjątkowemu uprzywilejowaniu geograficznemu mogli każdej chwili dokonać błyskawicznej inwazji Kuby nie wprowadzając do akcji broni atomowych.

W Berlinie sprawy kształtują się nieco odmiennie. Rosjanie, a nie Amerykanie, znajdują się w sytuacji geopolitycznie uprzywilejowanej. Mogą zająć nie tylko Berlin, ale prawdopodobnie całe zachodnie Niemcy — operując wyłącznie konwencjonalnymi siłami. Gdyby Rosjanie podjęli tego typu akcję — Kennedy znalazłby się w sytuacji Chruszczowa i musiałby wybierać pomiędzy kapitulacją a użyciem broni atomowych.

Niewielki *deterrent* przyniósł Amerykanom zwycięstwo na Kubie. Laur zwycięstwa przypada piechocie morskiej, jednostkom desantowym, flocie i lotnictwu — które postawione w gotowości operacyjnej mogły zająć Kubę w jedno popołudnie. Chruszczow kapitulując uratował czasowo dr Castro i co ważniejsze rakiety sowieckie, które w ten sposób nie dostały się w ręce amerykańskich ekspertów.

Czy Chruszczow miał jakieś inne wyjście? Mógł oświadczyć, że choć nie ma zamiaru rozpętać światowej wojny atomowej — użyje taktycznych broni nuklearnych operowanych z baz kubańskich w celu odparcia desantu

inwazyjnego. Amerykanie odpowiedzieliby wówczas hermetyczną blokadą Kuby. W takiej sytuacji Rosjanie musieliby zorganizować „most lotniczy”. Nawet jeżeli się przyjmie, że lotnictwo sowieckie potrafiłoby podjąć operację w tak gigantycznej skali — to zasadnicze pytanie brzmi: na jak długo?

Chruszczow skapitulował ponieważ dosłownie nie miał innego wyjścia.

W sumie należy stwierdzić, że w epoce atomowej, w której nam żyć wypadło — geopolityka nie tylko nie utraciła swego dawnego znaczenia, lecz nabrała dodatkowej siły i mocy. Gdyby powstanie węgierskie mogło być zgniecione wyłącznie bombami atomowymi — nie zostałyby zgniecione. Zostało zgniecione bo można je było — dzięki pozycji geograficznej — skruszyć czołgami. Obronić powstańców można było tylko bronią atomowymi. Czołgi plus korzystna dyspozycja geograficzna w większej mierze wpłynąć mogą na los danego narodu niż wielki „deterrent”.

Wydarzenia na Kubie podobnie jak powstanie węgierskie — wykazały, że bombą atomową nie można obronić sojusznika czy państwa neutralnego odległego o tysiące mil.

Amerykanie w przeciwieństwie do Rosjan w okresie wydarzeń budapeszteńskich — nie dokonali inwazji i nie zgnetli rewolty siłą. Są tak uprzywilejowani geopolitycznie, że mogą skruszyć reżym, dr Castro zespołem innych środków. Zaden rząd na Kubie na dłuższą metę nie może być w stanie wojny z Waszyngtonem choćby miał poparcie Rosji i Chin.

Kardynalnym błędem Fidel Castro jako polityka było całkowite lekceważenie sytuacji geopolitycznej Kuby. Castro był i jest przede wszystkim antyamerykański. Drugiego stycznia 1959 dr Castro został premierem, ale dopiero 1 grudnia 1961 — zdeklarował się jako marksista-leninista. Wtedy dopiero spalił za sobą wszystkie mosty.

Gdyby Castro oświadczył na wstępie swej rewolucji, że szuka „amerykańskiej drogi do socjalizmu” — gdyby był zdecydowanie antysowiecki i antychiński — Amerykanie byliby wybaczyli mu znacjonalizowanie „Manaty Sugar Company” i wszystko inne. Lecz Castro nie był międzynarodowym rewolucjonistą tylko nacjonalistą szukającym wyzwolenia dla swego kraju spod przewagi a często i wyzysku Amerykanów. Amerykanie — co sami przyznają — popełnili wielkie błędy w swej polityce kubańskiej. Największe błędy popełnił jednak sam Fidel Castro.

Od bardzo dawna jestem przekonany, że wielu katastrof można by uniknąć, gdyby politycy częściej patrzyli na mapę. Proces historyczny można zrozumieć tylko w oparciu o gruntowną znajomość geografii. Większość mrzonek politycznych rodzi się z historii rozwiedzionej z geografii. Historia — jakże często — to są interpretacje i pobożne życzenia. Geografia to są fakty.

Gdyby Fidel Castro częściej studiował mapę musiałby dojść do wniosku że nacjonalista kubański może walczyć z *Amerykanami*, ale nie przeciwko *Ameryce*. Gdyby Castro znał nie tylko geografii, lecz również i historię amerykańską — przekonałby się, że w pewnych wypadkach zwycięskie rewolucje narodowe znalazły wspólny język z Waszyngtonem. Klasycznym przykładem jest Meksyk. Niemal po stu latach rewolucji i wojen, w roku 1941 został podpisany układ pomiędzy Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi regulujący ostatecznie sprawę pól naftowych i odszkodowań dla obywateli amerykańskich. Rewolucja meksykańska jest sukcesem bo została dopasowana do naturalnej sytuacji geopolitycznej, a rewolucja kubańska jest klęską,

bo neguje racje geopolityki. Nie ma powodu kapitulować przed geopolityką ale jest samobójstwem ją negować. Nikt tego nie wie lepiej niż Polacy.

Wartość wielkich kryzysów polega na tym, że bilansują sytuację. To tak jakby ktoś na maszynie do dodawania nacisnął guzik adiatora. Wszystkie cyfry były znane, ale dopiero podsumowanie uświadomiło ludziom ich istotny wymiar.

Wszyscy mówią — Polaków nie wyłączając — o suwerenności. Anglicy zastanawiają się od miesięcy czy można scedować część suwerenności wzamian za korzyści płynące z przystąpienia do EWG. Ale czy można scedować coś czego nie ma?

Inercja i bezwład pewnych idei jest czymś zdumiewającym. Teoretycznie wszyscy wiedzą, że prawdziwie suwerenne są tylko Rosja i Stany Zjednoczone. Lecz w praktyce uważamy, że nic się nie zmieniło od 1939 r. Co ciekawsze, postępujemy tak — jakby istotnie nic się nie zmieniło.

Nagle dwóch panów jeden w Waszyngtonie, a drugi w Moskwie zaczyna dyskutować z sobą przez radio i wymieniać listy, które do tej pory nie wszystkie są ujawnione. Panowie ci — o zgrozo! — nie przeprowadzają żadnych konsultacji ze swymi „suwerennymi” sprzymierzeńcami, a jeżeli kogoś się radzą to wyłącznie swoich własnych ekspertów. Przez kilkadziesiąt godzin losy wojny i pokoju ważyły się pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą i tylko między Waszyngtonem a Moskwą. Wielkie stolicy, jak Londyn czy Paryż zmalały w ciągu tych godzin do rangi prowincjonalnych miast. Nigdy w dziejach rasy ludzkiej dwóch ludzi nie dźrzyło losów świata w swoich rękach w równie dosłownym tych słów znaczeniu.

Prez. Kennedy w czasie kryzysu kubańskiego wykazał, że potrafi się militarną Ameryki rzucić na szale w rozgrywce „zimno-wojennej” — co do tej pory było wyłączną specjalnością i monopolem Sowietów. Odniósłszy zwycięstwo nie szukał upokorzenia Rosji i w tym okazał się prawdziwym mężem stanu.

W strategii zimno-wojennej Kuba stanowić może punkt zwrotny i przyczynić się do wykrystalizowania nowej koncepcji koegzystencji. Pokojowego współżycia z Sowietami nie możemy bowiem okupywać ustawicznymi porażkami i utratą wpływów. Koegzystancja nie może oznaczać kapitulacji „na raty”.

Do sprawy kubańskiej jeszcze powrócimy.

STRZĘPY EPOPEI

Owego dnia konwojowałem jeńców włoskich. Odprowadziłem ich do tzw. „klatek”, które w całości były w zarządzie angielskim, a sam wróciłem do naszego latruńskiego obozu. Wziąłem tusz i w stroju adamowym wyciągnąłem się na łóżku polowym. W namiocie nie było nikogo bo dochodziło dopiero południe. W pewnym momencie uchyliła się plachta i wyrosła przede mną znana wojskowa postać. Zerwałem się na równe nogi. stanąłem na baczność i zameldowałem się przepisowo choć w znakomicie nie przepisowym stroju. Gen. Sławoj Składkowski przyjął meldunek z niewzruszoną powagą.

Przypomniałem sobie powyższy epizod czytając w październikowym numerze „Kultury” wspomnienia Generała z Latrun.

Emigrację odczuwał gorzko — ale nikomu obczyzna nie była tak potrzebna jak jemu. Gdyby umarł w Rumunii odszedłby od nas zupełnie inny człowiek. Dał pełną miarę siebie dopiero wówczas, gdy przestał być premierem. Co więcej — dokonał dziwnej operacji, albowiem jako pisarz rozbroił opozycję przeciwko premierowi.

Był urodzonym gawędziarzem i pisał doskonałą, świeżą polszczyznę. Jego język wolny jest od obcych naleciałości i manieryzmu. Proza Sławoja jest czystsza — Bielatowicz powiedziałby bardziej „narodowa” — od prozy literackiej takich luminarzy, jak Józef Mackiewicz. Rusycyzmy Mackiewicza stanowią element jego bardzo oryginalnego stylu literackiego — niemniej jednak są rusycyzmami.

Język rosyjski wywarł wpływ na wszystkich niemal pisarzy pochodzących z b. zaboru rosyjskiego. Niemczyzna z byłych zaborów pruskiego i austriackiego nie może się pochwalić takim sukcesem. Nawet przez mikroskop nikt się nie dopatrywał germanizmów w prozie Kukiela czy Bielatowicza.

Proza Sławoja reprezentuje rdzenną, zachodnią polszczyznę. Młodzi ludzie na emigracji, jeżeli pragną utrzymać żywy kontakt z językiem — powinni do poduszki czytać gawędy Składkowskiego albowiem kulturowanie zachodniej polszczyzny jest dziś ważniejsze niż było w przeszłości.

Śmierć gen. Składkowskiego zamyka pewną epokę. W 1936 r. byłem na wielkich manewrach na Pomorzu. Z prasy warszawskiej byli m.in. Wierzyński i Bogusławski. W Bydgoszczy odbyła się defilada, która trwała 5 godzin. Lecz wszyscy stali i patrzyli. Widok wojska nigdy nie nudził Polaków. Pamiętam rewie pułków kawalerii w Krakowie przed Marszałkiem Piłsudskim — gigantyczny żywy obraz jakby malowany przez stu Kossaków.

Prasa polska w okresie dwudziestolecia była pełna wojska. Tego nikt nie musiał narzucać z góry. Zainteresowanie wojskiem było powszechne i autentyczne.

Dziś można czytać prasę krajową latami i w ogóle nie zauważyć, że istnieje armia Polski Ludowej. Nie ma fotografii, nie ma reportaży, nie ma zainteresowania.

Ktoś powie, że to nie nasza armia, że pod dowództwem rosyjskim itp. Za czasów Wielkiego Księcia Konstantego sytuacja nie była lepsza, a kult Wojska Polskiego trwał. Przyczyny są znacznie głębsze. Dobiegła kresu epoka wodzów, a tym samym zgasła romantyka wojska.

W myśl polskiej tradycji naczelny wódz musiał być hetmanem i mężem stanu. Ostatnim z tej tradycyjnej galerii wodzów był Piłsudski. Generałowie, którzy kolejno usiłowali wskoczyć w jego buty nie rozumieli podstawowej sprawy. Piłsudski z powołania i z pasji był politykiem. Został marszałkiem dlatego, że był politykiem, a nie dlatego został politykiem, że był marszałkiem. To jest totalna różnica pomiędzy Piłsudskim a jego następcami i pseudo-następcami.

Upolitycznienie armii w Polsce Ludowej jest w gruncie rzeczy pozorne. Wojsko nie ma nic wspólnego z polityką i nie ma żadnego wpływu na rządzący krajem. Naczelny wódz nie jest mężem stanu i nie mógłby nim być. Rządzi partia i tylko partia. W Polsce Ludowej wojsko zostało zepchnięte z najbardziej uprzywilejowanej pozycji na szary koniec. Przestało być dumą i benjaminkiem narodu.

Jestem jak najdalszy od bronienia rządów pułkownikowskich w okresie dwudziestolecia. Lecz wojsko, podobnie jak kościół, stoi i upada tradycją. Polska armia czerwona nie uważa się za dziedziczkę historycznej tradycji Wojska Polskiego — ani, co ważniejsze, naród nie uważa tej armii za kontynuatora historycznej tradycji Wojska Polskiego. A jakąż własną tradycję ma polska armia czerwona? Dosłownie żadną.

Wydaje mi się, że ostatnimi w owym historyczno-tradycyjnym sensie formacjami Wojska Polskiego — były nasze Siły Zbrojne na Zachodzie. Wydaje mi się również, że stanowiliśmy ślepią rotę pochodu. Nami ów cykl historyczny zamknie się i dokona.

Komunizm albo upadnie albo w znacznej mierze przetworzy się i zliberalizuje. Lecz nawet przy najbardziej sprzyjającej koniunkturze politycznej — Polskie Wojsko nigdy już nie będzie tym czym było — to jest źródłem i gwarantem całkowitej suwerenności Rzeczypospolitej. Już nigdy nie będziemy śpiewali wracając z ćwiczeń: „Nikt nam nie robi nic, nikt nam nie weźmie nic, bo z nami jest... marszałek taki czy inny”. W epoce atomowej takie piosenki mogą śpiewać tylko Rosjanie i Amerykanie, ale nikt poza nimi.

W Polsce jutrzejszej, w „czwartej Rzeczypospolitej” właśnie dlatego, że wojsko nie odzyska już w pełni roli stuprocentowego gwaranta suwerenności — koniecznością stanie się nawrót do tradycji. Przy nowoczesnym uzbrojeniu i nowoczesnych metodach szkolenia — misją wojska będzie przerzucić most wiążący historyczną tradycję z teraźniejszością. Komuniści nie rozumieją, że o 1000-letniej historii nie mogą mówić tylko kamienie. Muszą mówić żywe instytucje symbolizujące nieprzerwaną identyczność narodu „wśród wzawy stuleci”.

TEORIA KONFORMIZMU

Wyobraźmy sobie pokój, w którym zbudowano pięć budek telefonicznych. Cztery budki są zajęte, a jedna jest wolna.

Eksperymentator, w tym wypadku, prof. Milgram z Harvard — wprowadza do pokoju swoją „ofiara” i komunikuje jej co następuje: zajmie pan wolną budkę, zamknie drzwi i nałoży słuchawki na uszy. Po chwili nadane zostaną w krótkich odstępach dwa identyczne dźwięki — z tym, że jeden sygnał będzie trwał dłużej, a drugi krócej. Na zapytanie musi pan odpowiedzieć — który sygnał trwał dłużej: pierwszy czy drugi.

Milgram nadaje dwa sygnały, a następnie pyta kolejno telefonicznie swoje „ofiary” zamknięte w budkach. Cztery osoby są w zmwowie z eksperymentatorem, a tylko ostatnia, która zajęła wolną budkę telefoniczną jest doświadczalną „świnką morską”. Cztery gentlemani, którzy są w zmwowie z eksperymentatorem — dają wszyscy fałszywe odpowiedzi. Owe fałszywe odpowiedzi ludzka „świnka morska” słyszy w słuchawkach. Gdy przychodzi na nią kolej przyłącza się — wbrew oczywistym faktom — do zdania większości.

Tego typu doświadczenia wykazały, że w około 75% wypadków jednostka poddana naciskowi opinii większości — przyłącza się do zdania większości nawet wbrew oczywistym faktom.

Zgadzam się całkowicie z Max Hammertonem (Cambridge), który opisując i analizując powyższe doświadczenia nazwał je „alarmującymi”.

Doświadczenia, o których mówimy nie mają nic wspólnego z „praniem mózgow”. Wiadomo, że torturami, głodem, narkotykami, izolacją — można w człowieka wmówić dosłownie wszystko. Lecz w cytowanych doświadczeniach badana jednostka dysponuje całkowitą swobodą i co ważniejsze — przeciwstawienie się opinii większości nie grozi jej żadnymi konsekwencjami.

Mamy dwie kartki papieru. Na pierwszej wyrysowana jest jedna prosta linia. Na drugiej kartce papieru są trzy linie różnej długości. Z tych trzech linii tylko jedna jest identycznej długości co pojedyncza linia na pierwszej kartce.

Jeżeli panu X zaprezentujemy owe dwie kartki prosząc by na drugiej wskazał z pomiędzy trzech różnych linii — linie o identycznej długości co pojedyncza linia na pierwszej kartce — X robi to bez wahania i bez pudła, zakładając, że jest człowiekiem o przeciętnym wzroku i przeciętnej spostrzegawczości.

Lecz tego samego, normalnego i zdrowego na ciele i umyśle pana X można zmusić — bez uciekania się do „prania mózgu” do popelnienia oczywistego błędu. Wystarczy by pan X znalazł się w pokoju, w którym jest 6 osób w tajemnicy przed nim zmówionych z eksperymentatorem. Przewodzący doświadczenie prosi kolejno owych sześciu wtajemniczonych, by na kartce z trzema liniami wskazali linię odpowiadającą pojedynczej linii na kartce pierwszej. Owych sześciu zmówionych — wszyscy po kolei — w obecności Bogu ducha winnego pana X — wskazują fałszywą linię. W 75 wypadkach na 100 pan X w takiej sytuacji pod naciskiem opinii większości wskaże również fałszywą linię.

Ów dziwny „efekt większości” (*majority effect*) — tłumaczy prawdopodobnie wiele zjawisk socjalnych i politycznych. Oczywiście bez owego instynktu konformistycznego nie mogłoby powstać żadne społeczeństwo, żadna zorganizowana religia ani żaden masowy ruch ideologiczny.

Z drugiej jednak strony, jeżeli instynkt nie odróżniania się od większości — jak uczy doświadczenie — często bywa silniejszy od woli poznania prawdy — jakie są szanse prawdy?

Max Hammerton w artykule, który stanowi podstawę tej notatki twierdzi, że jeden głos nie-konformisty może w pewnym stopniu zmniejszyć nacisk „efektu większości”.

Jedno wydaje się pewne. Nie-konformista ma przeciw sobie nie tylko większość, ale również hypnotyczny wpływ „majority effect”.

Powiedzenie: „w jedności siła” może mieć bardziej ponury wydźwięk niż do tej pory sądziliśmy. Bo siła jedności czerpie swą moc z owego zagadkowego instynktu, który każe człowiekowi iść za stadem, głosować za stadem, — często wbrew logice, rozumowi i obiektywnej prawdzie. W furii z jaką zazwyczaj atakuje się nie-konformistów, heretyków, rewizjonistów — manifestuje się zagrożony instynkt stadnej jedności.

W jedności jest niewątpliwie siła — ale bardzo rzadko rozum, a nigdy wolność.

TEMATYKA KATOLICKA

Od czasu do czasu otrzymujemy listy od naszych Czytelników, których bardzo szanujemy — z zarzutem-pyaniem: dlaczego unikamy tematyki katolickiej? Otóż chciałbym stwierdzić z naciskiem, nie jako Londyńczyk, lecz jako rzecznik Redakcji „Kultury”, że to nie my unikamy tematyki katolickiej tylko, niestety, tematyka katolicka unika nas.

Łatwo jest powiedzieć, że protestanckie pisma brytyjskie mają wielostronnicowe reportaże z Soboru obradującego w Rzymie a w „Kulturze” głucho na ten temat. Pisma brytyjskie czy francuskie mogą sobie pozwolić na wysłanie dwóch, a czasem trzech korespondentów do Rzymu. Nas na to nie stać. Lecz nawet gdyby ktoś ofiarował nam na ten cel odpowiedni fundusz byłoby bardzo trudno znaleźć właściwego korespondenta.

Jesteśmy w 95% narodem katolickim co lubimy podkreślać przy każdej okazji. Lecz w kraju publicystów katolickich o pewnym kalibrze i znaczeniu policzyć można na palcach jednej ręki. Na emigracji jest jeszcze gorzej.

Jesteśmy narodem katolickim, ale nie produkujemy myślicieli katolickich, pisarzy katolickich, publicystów katolickich — i ten stan rzeczy odzwierciedla „Kultura”.

Na emigracji mamy katolickie pisma popularne mamy pisma religijne, ale wielka współczesna problematyka katolicka leży odłogiem. Można nad tym boleć — ale nie można winić za to „Kulturę”.

KSIĄŻKI CONTRA „CEGLY”

Trudno przesadzić w ocenie przewrotu jakiego dokonał J.M. Keynes w „klasycznej” ekonomii Zachodu. Był on bowiem nie tylko teoretykiem, lecz i krytykiem systemu kapitalistycznego i tym różnił się od innych krytyków kapitalizmu, że jego krytyka wywarła niezmiernie doniosły wpływ formatywny na współczesną ekonomię Zachodu.

Czego dowie się o Keynesie i o keynesizmie krajowy student ekonomii, który spojrzy do „Encyklopedii Ekonomicznej” wydanej pięknie przez Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne? Na stronie 281 czytamy m.in.: „Keynesizm był próbą ratowania kapitalistycznego systemu gospodarowania i próbą zastąpienia wiary w samoczynnie powracającą równowagę tego systemu, wiarą w moc interwencjonizmu państwowego. Obiektywnie keynesizm stanowi zmodernizowaną formę walki z marksizmem i tendencjami do przemian rewolucyjnych”.

Tego typu „cegły” jak cytowana encyklopedia należałoby oddać na przemiał i z całą pewnością kiedyś to się stanie. Lecz dopóki to się nie stanie, „cegłom” przeciwstawić należy autentyczne książki. Taką autentyczną książką jest „Wstęp do Teorii Ekonomicznej Johna Maynarda Keynesa. Wybór Pism” w opracowaniu i pod redakcją Jana Ostaszewskiego. Jest to wydawnictwo Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych w Londynie. Produkcja książki przynosi zaszczyt Oficynie Poetów i Malarzy.

Książka zawiera wybór pism siedmiu ekonomistów brytyjskich. Prace i szkice dobrane są w ten sposób by dać obraz całości systemu makroekonomiki J.M. Keynesa. W sumie, książka jest wstępem do studium keynesiz-

mu i wprowadzeniem do tej części dzisiejszej teorii ekonomicznej, która z jego systemu wyrosła.

Notatka niniejsza nie jest recenzją, która winna wyjść spod pióra specjalisty przedmiotu. Chciałem tylko zasygnalizować cenną emigracyjną pozycję wydawniczą, która oby trafiła do rąk tych, którzy skazani są na „cegły” w rodzaju cytowanej Encyklopedii Ekonomicznej.

Wymienić również warto dwa inne wydawnictwa. Szk. Nauk Politycznych — a mianowicie Janiny Miedzińskiej „Zagadnienia Ochrony Pracy w Polsce” oraz Jana Ostaszewskiego „Bibliografia Współczesnej Literatury Zachodniej z zakresu Nauk Społecznych”.

Janina Miedzińska — znana Czytelniczkom „Kultury”, przedstawiła w swej rozprawie całokształt zagadnienia ochrony pracy w Polsce Ludowej, a końcowy rozdział poświęciła mało znanej w Polsce gałęzi wiedzy zajmującej się problemem stosunków ludzkich w przemyśle (human relation in industry). Doktrynalny marksizm — jak wiemy — stoi na stanowisku, że ustrój socjalistyczny rozwiązuje automatycznie wszystkie tego typu zagadnienia i bolączki. Lecz wystarczy przerzucić jedną z prac wydawanych przez Zakład Badań Socjologicznych w Warszawie, by się przekonać, że tak nie jest.

Cytowana Bibliografia opracowana przez Jana Ostaszewskiego stanowi pierwszy tom większej całości. Część pierwsza obejmuje Ekonomię i Naukę o Państwie.

PO NAS — POTOP

W związku z moim artykułem pt. „Emigracja do Wzięcia” w październikowym numerze „Kultury” otrzymałem garść listów od ludzi, którzy choć reprezentują odmienne poglądy, cieszą się pełnią mojego szacunku.

Wszyscy moi oponenti zarzucają mi, że nie doceniłem sukcesu wyborów że 13 tysięcy w naszych warunkach to bardzo wiele itd.

Nie o to chodzi czy wybory były sukcesem czy nie były sukcesem. Nasz stosunek do tej imprezy byłby równie negatywny, gdyby głosowało nie 13 tysięcy, ale 60 tysięcy.

„Kultura” od wielu lat reprezentuje pogląd, że Polonia brytyjska winna być podobnie zorganizowana, jak Polonia amerykańska czy kanadyjska. Dlaczego? Ponieważ legalistyczną organizacją polityczną opartą na Akcie Zjednoczenia objąć można jedynie i wyłącznie wymierającą grupę starszego pokolenia na emigracji. Z każdym rokiem rośnie nie tylko cyfra Polaków przyjmujących obywatelstwo brytyjskie — lecz rośnie również procent wchodzących w życie Polaków urodzonych na tych wyspach. Jaki jest więc cel tworzyć organizację skazaną na wymarcie?

Istotą każdej polityki jest ciągłość działania. Pokolenie, które jest przy sterze winno położyć fundament pod organizację polityczną, która dopasowana do obecnej sytuacji i warunków mogłaby być przejęta przez pokolenie następne.

Przywódcy naszej emigracji dla pseudo-legalistycznych tytułów i fałszywie rozumianej ambicji — zaniedbują swego głównego zadania. Ich autorytet i mir ułatwiły bowiem budowę nowej organizacji, która dzięki

ich obecności i udziałowi stałaby się w oczach Polaków brytyjskich naturalną dziedziczką Rady Jedności Narodowej i Rady Trzech.

Wymagałoby to ofiary — bo tytuł prezesa Kongresu Polonii Brytyjskiej wydać się może mniej pociągający niż tytuł członka Rady Trzech „pełniającej zastępczo funkcje Prezydenta RP”. Kongres Polonii brytyjskiej byłby organizacją obliczoną nie na wymarcie, lecz na trwanie. Gdy nasze pokolenie zacznie schodzić ze sceny — mielibyśmy przeświadczenie, że zostawiliśmy po sobie nie tylko puste tytuły, ale nowoczesną organizację zbudowaną na trwałych fundamentach.

W tej całej sprawie nie chodzi nam o program polityczny tylko o ramy organizacyjne. Prezesem Prezydium Kongresu Polonii byłby z całą pewnością gen. Anders. Partie polityczne i przywódcy emigracyjni jak np. Ciołkosz czy Bielecki nadal odgrywałyby czołową rolę. Uległaby tylko zmianie forma organizacji.

W naszym głębokim przekonaniu historycznym obowiązkiem przywódców emigracyjnych jest zapewnić ciągłość polityce polskiej w Wielkiej Brytanii. W kraju gdy załamały się normalnie działania wojenne powstała armia podziemna, która w zmienionych warunkach i w zmienionej formie kontynuowała walkę. Stwierdzić należy, że na emigracji dosłownie z każdym dniem wygasają warunki, które umożliwiały prowadzenie akcji politycznej w oparciu o Akt Zjednoczenia. Obowiązkiem naszych przywódców jest wyciągnąć wnioski ze zmienionej sytuacji i już dziś powołać do życia organizację, która Polakom, obywatelom brytyjskim, pozwoliłaby odegrać pełną rolę w walce o te same cele, które nam przyświecały. Pamiętajmy bowiem, że za kilkanaście lat Polonia brytyjska w znakomitej większości składać się będzie z obywateli brytyjskich zarówno z naturalizacji, jak i z urodzenia.

Jeżeli nasi przywódcy wybiorą politykę „po nas — potop” — Historia ich potępi.

LONDYŃCZYK

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

**CENTRALA WYSYŁKOWA
HASKOBA LTD**

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Sąsiedzi

Przegląd niemiecki

„DER SPIEGEL”

W ostatnich dniach października rozpętano w Bonn awanturę, która zdołała w Niemczech zaćmić wydarzenia kubańskie, działania wojenne chińsko-hinduskie i referendum we Francji, wywołując poważny wstrząs w całym społeczeństwie. Przyczyna pozornie drugorzędna: wystąpienie Prokuratury Związkowej przeciw tygodnikowi „Der Spiegel”, z powodu rzekomej zdrady stanu. Jednakże sposób działania, pozwalający domyślać się raczej próby zniszczenia niewygodnego komuś pisma, niż ukarania zdrady tajemnic państwowych, ukazuje w niekorzystnym świetle młodzieńczą demokrację niemiecką, a sensacyjną może sprawę karno-sądową — przekształca w groźną aferę państwową.

Stan faktyczny. W trzy tygodnie po ukazaniu się artykułu, rzekomo upoważniającego do podejrzeń o zdradę stanu, Prokuratura Związkowa wydała nakaz aresztowania wydawcy „Der Spiegel” — Rudolfa Augsteina — i kilku redaktorów pisma, oraz zarządziła rewizję i opieczętowanie biur redakcyjnych centrali pisma w Hamburgu i oddziału w Bonn. O zarządzeniach prokuratury był powiadomiony wiceminister Sprawiedliwości — Walter Strauss — w prasie nazywany „Małym Straussem”, dla odróżnienia od „Wielkiego” Franz-Josepha Straussa, ministra Obrony.

Rzekomo z namowy wiceministra Obrony — Hopfa — „Mały Strauss” o wydanych zarządzeniach nie zawiadomił swego szefa, ministra Sprawiedliwości, Stammbergera. Poza tym, aresztowania i rewizje przeprowadzono po nocy, przy udziale przesadnie licznej personelu policyjnego i podobno nazbyt gorliwie. Wszystko razem niemile przypomina przedwojenne praktyki. Pikanterii dodaje sprawa fakt, że „Wielki Strauss” żywi zadawnioną urazę do „Der Spiegel”, z powodu wywleczenia i rozmazania głośnej sprawy firmy „Fibag” o oszustwa, a swego ministerialnego kolegi — Stammbergera — także w sercu nie nosi, z powodu stanowiska, jakie Stammberger zajął w aferze Fibagu.

W takim stanie rzeczy minister Stammberger podał się do dymisji, a jego partia (Liberale FDP) zagroziła wycofaniem z rządu swych pięciu

ministrów, jeżeli sprawcy niedopuszczalnych konstytucyjnie poczynań nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności. W całej prasie zawrzało. Posypały się protesty zbiorowe i indywidualne. W wielu miastach studenci zorganizowali demonstracje w obronie wolności prasy. Sprawa „Der Spiegel” zeszyła na drugi plan. Pierwsze miejsca zajęły: zagadnienia demokratycznej praworządności, wolność prasy i — kryzys koalicji rządzącej. Opozycyjni socjaliści oświadczyli, że, w wypadku zerwania spółki Chadeków z Liberalami, nie wejdą do ewentualnej koalicji z Chadekami. Po kilku dobach gorączkowych rozmów i targów, 5 listopada „wobec napiętej sytuacji międzynarodowej”, kryzys koalicyjny załatano. „Mały” Strauss ma być zwolniony z urzędu, Hopf otrzyma bezterminowy urlop, a Stammberger pozostanie na swym stanowisku. Kryzys jednak trwa i pogłębia się.

W dalszym rozwoju tej awantury wyjaśni się zapewne czy i w jakim stopniu wydawca i redaktorzy „Der Spiegel” rozmijali się z prawem. Być może wyjaśni się także, czy i w jakim stopniu wysocy dygnitarze nazbyt autorytatywnie pojmują posiadaną władzę. Niezależnie jednak od ewentualnych wyjaśnień pozostanie wrażenie, że na wyższych stanowiskach w administracji państwowej i w wymiarze sprawiedliwości, możliwe są jeszcze niespodzianki, podważające zaufanie do niemieckiej demokracji. Najważniejszym przeto pozostaje zagadnienie, jak długiego trzeba jeszcze czasu, by obyczaje polityczne w Niemczech dorównały i dopasowały się ostatecznie do zachodnich wzorów demokratycznych.

POLSKIE AUDYCJE RADIOWE W NIEMCZECH

Pisaliśmy już, że Niemiecka Republika Związkowa konstytucyjnie pozabawiona jest centralnego Ministerstwa Oświaty. Każdy z krajów związkowych ma własnego ministra Oświaty i gorliwie pilnuje w tym resorcie swej niezależności od Bonn. W podobny sposób zorganizowano radiofonie niemiecką. Wszystkie radiostacje są instytucjami użyteczności publicznej poszczególnych krajów. Rząd Związkowy posiada jednak własną radiostację w Kolonii, nazwaną „Deutsche Welle”, przeznaczoną wyłącznie dla słuchaczy poza granicami Republiki Związkowej. Oprócz audycji niemieckich — głównie dla Niemiec Wschodnich — „Deutsche Welle” nadaje audycje w wielu językach Bliskiego Wschodu i Afryki, a od niedawna w kilku językach słowiańskich. Między nimi, od sierpnia r.b., po polsku, codziennie od godziny 15,40 do 16,10 czasu warszawskiego, na megacyklach 7290, 9735 i 11715.

Szef Wydziału Europy Wschodniej w „Deutsche Welle”, I. Kirchner lat 60, zawodowy dziennikarz — oraz kierowniczka polskiej sekcji — Margitta Weber — w rozmowie z korespondentem „Kultury” udzielili (24.X.62) następujących informacji:

I. Kirchner. Pochodzę z Pragi. Mówię po czesku, rozumiem polskie teksty. Obecne stanowisko w „Deutsche Welle” objąłem przed kilku miesiącami, nie przerywając pracy dziennikarskiej. Do mojego resortu należą wszystkie audycje w językach Europy Wschodniej, włącznie z niemieckim dla sowieckiej strefy okupacyjnej. Dla każdego języka mamy osobną

sekcję, złożoną z kierownika i odpowiedniej ilości redaktorów, autorów i tłumaczy. Audycje są dwójakie: ogólne, dostarczane wszystkim sekcjom przez naczelną redakcję „Deutsche Welle” i w sekcjach tłumaczone na poszczególne języki oraz indywidualne, redagowane przez same sekcje. W tym wypadku sekcje są obowiązane przedstawiać władzom do zatwierdzenia teksty, gdyż polityka w „Deutsche Welle” z natury rzeczy musi być kierowana centralnie. Zadaniem naszym jest informowanie narodów zakurtyncowych i poza-europejskich, oraz przeciwdziałanie propagandzie sowieckiej, tłumaczącej, że Republika Związkowa jest wielkim obozem iwanżystów i militarystów, dążących do hegemonii w Europie.

Korespondent „Kultury”. Audycje polskie sprawiają chyba wiele trudności centralnemu kierownictwu. „Deutsche Welle” — organ Republiki Związkowej — ma przemawiać do narodu, którego państwowości rząd niemiecki nie uznaje, żąda natomiast rewizji obecnej granicy i domaga się rewindykacji trzeciej części terenów obecnego państwa. Poza brakiem stosunków dyplomatycznych, wszelkie kontakty Niemców z Polakami są bardzo nikle. Jakich przeto wyników spodziewają się Panowie aranżując polskie audycje?

I. Kirchner. Przed polską sekcją „Deutsche Welle” stoją rzeczywiście bardzo trudne zadania. Miejmy nadzieję, że z czasem wiele trudności poważnie zmaleje. Naszym celem nie jest obrona, lub propaganda jakichkolwiek tez naszego rządu. Zadaniem naszym jest obiektywna informacja o Niemczech Zachodnich i przeciwdziałanie kłamliwej propagandzie sowieckiej, zwłaszcza w strefie okupacji sowieckiej. Bliższych informacji o działalności polskiej sekcji udzieli pani Weber.

Korespondent „Kultury”. Czy mogę dowiedzieć się skąd Pani zna polski język?

M. Weber. Pochodzę z Białegostoku, gdzie ojciec mój był urzędnikiem Banku Gospodarstwa Krajowego, a ja — uczennicą polskiego gimnazjum. Po zajęciu Białegostoku przez Rosjan, przesiedlono nas, jako Niemców, do Bydgoszczy, a później do Saksonii. Po ukończeniu gimnazjum studiowałam filologię słowiańską w Lipsku. Podczas okupacji rosyjskiej uzyskałam u prof. Olesch'a stopień magistra. Gdy prof. Olesch przesiedlił się do Niemiec Zachodnich, poszłam w jego ślady i obecnie przygotowuję u niego pracę doktorską na tutejszym uniwersytecie. Poprzednio pracowałam w krajowym radiu w Kolonii i stamtąd trafiłam do polskiej sekcji w „Deutsche Welle”.

Korespondent „Kultury”. Jak liczny jest zespół sekcji polskiej i jak przedstawiają się przeciętne programy audycji?

M. Weber. Obecnie pracuje w sekcji osiem osób. Wszyscy muszą dobrze znać oba języki, gdyż zasadniczo nie posiadamy speakerów i każdy przeważnie sam recytuje swoje teksty, lub przekłady. Seniorem naszym jest dawny członek lwowskiej „Wesołej Fali”, obecnie obywatel Izraela. Beniaminkiem jest dwudziestoletnia Ślązaczka.

Do normalnego programu należy: „Dziennik popołudniowy” trwający około 8 do 10 minut. Następuje „Komentarz dnia”, około 5 minut, w którym podajemy różne aktualności, jak na przykład ostatnio reportaż z procesu Staszynskiego w Karlsruhe. Wreszcie 10 do 15 minut przeznaczamy na kilkuosobową dyskusję tyżącą zagadnień kulturalnych, spraw gospodarczych, wychowawczych, szkicujemy sylwetki literackie, omawiamy imprezy artystyczne i sportowe. Organizujemy także reportaże specjalne. Na przykład wysłałiśmy na Zjazd SPK w Paryżu naszego reportera. Całość audycji przeplatana jest muzyką, którą także wypełniamy wolne minuty.

I. Kirchner. Do tych wyjaśnień pragnę dodać, że polskie audycje, tak niedawno zainicjowane, z pewnością wymagają jeszcze wielu poprawek i uzupełnień. Za rzeczową krytykę polskiej prasy emigracyjnej będziemy przeto bardzo wdzięczni. Może w ten sposób powstanie choć na tym wąskim odcinku pewien kontakt polsko-niemiecki, którego brak — jak mi się wydaje — odczuwają obie strony. „Deutsche Welle” i jego polska sekcja będą zawsze mile widziały każdą próbę nawiązania z nimi kontaktu.

Redaktor Kirchner inspirowane nam rzeczową krytykę, natomiast nie wyjaśnia czego spodziewa się po polskich audycjach. Nie wyjaśnia, bo nie może — będąc urzędnikiem rządu Republiki Związkowej. Nie może, bo jego rząd w stosunku do Europy Środkowo-Wschodniej nie posiada żadnej polityki.

Jeśli idzie o Zachód to Republika Związkowa ma politykę wyraźną, zdecydowaną i długofalową. Wydaje się, że i następcy Adenauera — bez względu na przynależność partyjną — będą zmuszeni kontynuować podstawowe jej elementy, gdyż zbyt głęboko zakorzeniły się one w społeczeństwie zachodnio-niemieckim. Elementy tej polityki są następujące: — francusko-niemiecka „Entente cordiale”; europejska integracja (z włączeniem Anglii); atlantycka wspólnota obronna; przyjaźń niemiecko-amerykańska.

Na wschodzie natomiast Republika Związkowa kieruje się elementami pasywnej i kontrowersyjnej natury: — zjednoczenie Niemiec pokojowymi działaniami; — odpowiedzialność czterech mocarstw (Anglii, Francji, USA i Rosji) za całość Niemiec; — doktryna Hallsteina (uznanie wschodniej Niemieckiej Republiki Demokratycznej jest aktem wrożej działalności). Jeżeli dodamy, że Republika Związkowa nigdy oficjalnie nie sprecyzowała swego stosunku do wschodnich sąsiadów — na wypadek częściowego, lub pełnego „zjednoczenia” — trzeba stwierdzić, że podstawą polityki wschodniej w Republice Związkowej jest brak koncepcji wschodniej.

Ale wróćmy do „rzeczowej krytyki” polskich audycji z Kolonii. Z wieloletnich doświadczeń BBC, Głosu Ameryki, Radia Wolnej Europy, Radia Francuskiego, Madryckiego i w Ankarze — nadających po polsku — wynika, że podstawą ich powodzenia jest zatrudnianie w dziale redakcyjnym niemal wyłącznie polskiego personelu. Ale tej trudności „Deutsche Welle” nie zdoła zaradzić, gdyż przy obecnych stosunkach niemiecko-polskich jest bardzo wątpliwe, aby znaleźli się polscy emigranci skłonni do pracy w „Deutsche Welle”. Zaś Polakom z kraju nie można nawet proponować podobnej działalności. Pozostaje zatem tylko życzyć, aby „Deutsche Welle”, nadając polskie audycje, nie spowodowała nowych zadrzań

w niezwykle skomplikowanych stosunkach niemiecko-polskich. Jeśli uniknie takich zadrzań — będzie to już poważnym sukcesem.

XXV KONGRES HISTORYKÓW NIEMIECKICH

Towarzystwo Historyków Niemieckich, założone jeszcze za czasów Bismarcka, zorganizowało w dniach 17-21 października rb. swój dwudziesty piąty Kongres, wybierając jako miejsce obrad Duisburg nad Renem — miasto najnowocześniejszych hut, stalowni, kopalń węgla i ciężkiego przemysłu Zagłębia Ruhry, miasto największego portu rzeczowego w Europie.

Wyboru Duisburga dokonano celowo, by zadokumentować że dla rozwoju techniki i uprzemysłowienia historia ma nie mniejsze znaczenie od ekonomii i socjologii. Kongres obradował wspólnie ze Zjazdem Związku Niemieckich Nauczycieli Historii. Łącznie z zaproszonymi gośćmi — zagranicznymi historykami i przedstawicielami prasy — uczestniczyło ponad sześćset osób. Obradom przewodniczył prof. Hans Rothfels, sekretarzem Kongresu zarządzał prof. Werner Markert — obaj z Tybingi.

Tematykę Kongresu będzie można przestudiować dopiero po ukazaniu się sprawozdania, jakie Towarzystwo Historyczne publikuje po każdym kongresie, podając pełne teksty wszystkich referatów, koreferatów i dyskusji.

Z objętych programem tematów — trzy dotyczyły bezpośrednio historii Polski: na sekcji „Absolutyzm i Stany” (*Ständewesen und Absolutismus*) prof. Rhode z Moguncji mówił o ustroju stanowym w przedrozbiorowej Polsce; na sekcji „Zagadnienia ustroju prezydenckiego” (*Probleme des Präsidialstaats*) prof. Rhode, w zastępstwie chorego profesora Roosa, charakteryzował rząd Piłsudskiego; na sekcji „Zagadnienia średniowiecznego Zachodniego Cesarstwa” (*Probleme des Abendländischen Kaisertums*) prof. Ludat z Giessen mówił o stosunku Polski do Cesarstwa w późnym średniowieczu.

Pośrednio dotyczyły spraw polskich wykłady: prof. Gejera z Frankfurtu „Wiek XIX w sowieckim zrozumieniu historii”, i dra Neubauera, zastępcy dyrektora monachijskiego Osteuropa-Institutu, „Sowieckie pojmowanie historii świata”. Dwa tematy, choć nie dotyczyły naszych spraw, bardzo interesowały Polaków. A mianowicie referat prof. Conze z Heidelbergu: „Państwo a społeczeństwo” oraz zagadnienie: „Przyszłość jako dział historii”, omawiane przez profesorów — Erdmanna z Kilonii, Engela z Tybingi, Kamla z Erlangen i Golo Manna ze Sztutgartu.

Profesora Erdmanna wybrano w Duisburgu na prezesa Towarzystwa Historycznego, na okres do następnego kongresu.

Najistotniejszymi cechami Kongresu było stwierdzenie, że „świadomy swej odpowiedzialności członek nowoczesnego społeczeństwa winien pojmować historię jako podstawę politycznego myślenia” oraz fakt, że w kongresie brała udział duża ilość uczonych poniżej, lub około czterdziestki. Poza tym nawet sceptyczny obserwator musiał stwierdzić rzetelny obiektywizm naukowy nowoczesnych historyków niemieckich, ujawniający się także i w zagadnieniach dla nich przykrych.

Jak zwykle, w czasie takich masowych zjazdów, mają miejsce również interesujące, nieoficjalne spotkania. Takim było gościnne przyjęcie, urządzone

obecnie przez profesora Markerta i jego małżonkę dla uczestników spotkania niemiecko-polskiego w Tybindze sprzed sześciu laty. Spotkanie w Tybindze w 1956 r. było w okresie powojennym jedyną pomyślną imprezą na terenie wzajemnych stosunków polsko-niemieckich. Co prawda w maleńkiej skali i niejako na uboczu ogólnych wydarzeń, ale jednak nie zostało zapomniane.

S. W. KOZŁOWSKI

"DOKUMENTY CHWILI"

Zeszyt I wyszedł spod prasy. 290 stron druku,

Cena 22 sh., \$ 3, NF 15 — wraz z przesyłką

Dwadzieścia starannie zebranych dokumentów daje czytelnikowi wgląd w istotę zatargów, wstrząsających jednością bloku komunistycznego. W zatargach tych Mao Tse-tung przemawia głosem komunistów albańskich, Chruszczow — głosem komunistów włoskich, a do polemik tych dołącza się postronny komentarz jugosłowiański. Pełne teksty przemówień i artykułów prasowych chińskich, albańskich, włoskich i jugosłowiańskich po raz pierwszy wprowadzają czytelnika polskiego w gąszcz sporów ideologicznych, dzielących różne odmiany komunizmu współczesnego. Na dnie tych sporów kryją się sprzeczne interesy, dążenia i ambicje rywalizujących ośrodków. Zamiast słowa wstępnego — wnikliwy komentarz „Od Marksa do Chruszczowa”, pióra Adama Ciołkasa.

Do nabycia w spółce wydawniczej „GRYF”,

171 Battersea Church Road, London, S.W.11

Najnowsza historia Polski

Garść wspomnień o Baziu

Jesteśmy po trosze jak cienie nieśmiertelnej koncepcji „Czyśćca” obowiązani do wnikania w samych siebie i do mówienia prawdy w miarę możliwości. Nasze wczoraj nie może być błędne, ale istnieje. Publikacje w rodzaju obecnej (1), zwłaszcza tak bezpretensjonalne i ludzkie, nie dążą do jakichś wyznań ani rewolucji, ale mają przede wszystkim za zadanie informację, uświadomienie i rozumienie, tj. te wszystkie dążenia, które są podstawą historycznych dyscyplin. Cała postawa autora jest syntezą poczucia obowiązku i potrzeby obiektywności. Wykazuje on najdalej idącą choć życzliwą trzeźwość i nie wybiela nigdzie swego bohatera, zwłaszcza w sprawach takich jak zagadnienie dyktatury, Ozonu itp. Jak wskazuje strona 85, przedstawia Rydza Śmigłego szczerze i skromnie. Taka np. uwaga Rydza-Śmigłego o samobiczowaniu jest zupełnie słuszna, trzeźwa i zasługuje na zastanowienie się. Dobrze się stało, że pierwszą relację o nim napisał człowiek tak mocny, rzetelny a wierny, który nikomu nigdy nie pochlebiał, zwłaszcza jeśli przypomnimy sobie takich czy innych bohaterów koniunktury i sukcesu. Decydując się na wydanie tych wspomnień, jako wyrazu naocznego i niczym nie podejrzanego świadka, Wydawnictwo wybrało słuszną drogę.

Nie wiadomo mi czy prócz powyższej książki istnieją jakieś inne wspomnienia o ostatnich latach Rydza-Śmigłego. To co dotarło do mojej wiadomości zawdzięczam wyłącznie ustnym wspomnieniom autora, z którym byłem w koleżeńskim przyjaźni

(1) *Wspomnienia o Marszałku Śmigłym* — „Zeszyty Historyczne” — Zeszyt Drugi — Instytut Literacki — Paryż, 1962.

Materiały zamieszczone w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

od wielu lat. Nazywaliśmy go wszyscy Baziem. Wydaje mi się, że wspomnienia o nim w pewnej mierze przyczynią się do uwydatnienia jego książki.

Poznałem Rogowskiego na wiosnę 1919 r., po zakończeniu wojny polsko-ukraińskiej, w Galicji. Była to stosowna chwila dla naszego porozumienia. Winienem bowiem zaznaczyć, mimo że byłem od lat zdecydowanym Ukrainofilem, nie byłem zachwycony „faktem dokonany”, jakim było zajęcie Lwowa przez wyłonione z pułków austriackich ukraińskie wojska i od początku uważałem ten konflikt za wojnę domową. Nie było to moje odosobnione zdanie. Oprócz samych Lwowian większość Polaków wschodnio-galicyjnych zdawała sobie doskonale sprawę, że Galicja wschodnia to kraj mieszany, nawet jeśli byli świadomi, że większość ukraińska w niektórych połaciach kraju była przeważająca. To też wrażenie wojny domowej było powszechne, zarówno u Polaków jak i u Ukraińców. Apetyt przychodzi w miarę jedzenia, przeto w miarę sukcesów jednej albo drugiej strony, a niewątpliwie także w miarę różnych niewłaściwych pociągnięć, zarówno w politycznym jak i ludzkim sensie, obóz który można by nazwać neutralnym tj. szeregi tych, którzy dotąd wzruszali ramionami, albo nawet byli przeciwni tej wojnie, zaczęły maleć. Ale w ten sposób wojna domowa rozciągnęła się na dalsze lata i powoli jedna i druga strona przyjęła ją za podstawę stałego konfliktu. Jako żołnierz legionowy przystany z Warszawy, jak mi się zdaje celem wywiadu wojskowego i politycznego, Bazio został ujęty przez Ukraińców, prawdopodobnie w Stryju i skazany na śmierć w Stanisławowie. Przebywał w więzieniu aż do zwolnienia go przez polskich robotników naftowych z Borysławia, którzy znajdowali się dość licznie w tym samym więzieniu. Zrozumiałe jest, że w owym czasie zajmował postawę żołnierza, przeto antyukraińską, chociaż tylko w ramach ówczesnego konfliktu wojennego. Wszakże gdy spotkaliśmy się, wojna była ukończona. Odsłonił się zupełnie nowy horyzont. Oto Piłsudski wszczął rokowania z atamanem Semenem Petlurą, reprezentantem ukraińskiej Republiki Ludowej. Rokowania te zakończyły się jak wiadomo wspólną wyprawą polskich i ukraińskich sił zbrojnych przeciw bolszewikom. Gdy spotkałem Bazia, o miejscowych konfliktach galicyjnych nie było między nami mowy. Jako czujny i oddany zwolennik Piłsudskiego, przyjął bez zastrzeżeń jego stanowisko. Przeto w rozmowach naszych nie potrzebowaliśmy go przekonywać o słuszności mych poglądów, sam bowiem wyrażał podobne opinie. Mianowicie, że pochopny konflikt był w zasadzie szkodliwy dla obu stron, dla polskiej i dla ukraińskiej.

Pamiętam z jaką ulgą przyjęliśmy obaj odezwę Ignacego Daszyńskiego do Polaków wschodnio-galicyjnych, po zajęciu kraju przez wojska polskie. Daszyński przypominał Polakom, że są w mniejszości i że jednorazowy sukces wojenny nie może być podstawą trwałego stosunku między bratnimi narodami, zwłaszcza w kraju tak pomieszanym językowo, narodowo i wyznaniowo. Bazio nie oddzielał opinii Daszyńskiego od stanowiska

Piłsudskiego i nie wiem czy w ogóle ktoś wówczas rozdzielał te opinie, jako że długo jeszcze uważano Piłsudskiego za socjalistę.

Mówi się, że Piłsudski wystrzegał się doktryn, a także że wystrzegał się enuncjacji zbyt abstrakcyjnych albo teoretycznych. To niewątpliwie, że wystrzegał się ich o tyle, o ile mogły być zbyt wiążące dla jego praktycznych posunięć, zwłaszcza w polityce wewnętrznej. Na razie w układach z Petlurą rozgraniczono terytoria Polski od Ukrainy w ten sposób, że granicą nie był Zbrucz tj. dawna granica austriacka — jak przyjęto później w pokoju ryskim — lecz nieco dowolna granica Podola. Należy dodać, że na ogół biorąc uświadomiona politycznie ludność ukraińska, zwłaszcza na terenie Galicji i Lwowa, nie uznawała tych postulatów, uważając raczej, że Galicja jako kraj mieszany (i tak wówczas pisało lwowskie „Diło”) powinna posłużyć jako pomost między oboma narodami, a nie być od razu wchłonięta przez dopiero powstającą na nowo Rzeczpospolitą, i to po niedawnej wojnie domowej, której wspomnienia ciągle jeszcze zadrażniały uczucia jednej i drugiej strony. Nie ulega wątpliwości, że Bazio przyjmował punkt widzenia Piłsudskiego i w rezultacie w jego postawie od tego czasu nie było żadnych antyukraińskich akcentów. Widziałem to nieraz okazyjnie u niego na przykład w stosunku do rozpowszechnianej podówczas fotografii Rydza-Śmigłego, gdy meldował się wojskowo atamanowi Petlurze (co nie wszyscy doceniali właściwie). Albo nieco później, po schronieniu się rządu Petlury naprzód do Stanisławowa, następnie na stałe do Tarnowa. Należy podkreślić, że Bazio wytrwał do końca na swoim stanowisku, a niejednokrotnie żywo i twardo stawał w obronie niezaprzeczalnych praw ukraińskich na terenie Galicji i Wołynia.

Nie brak mu było pewnej giętkości praktyczno-politycznej, lecz zasadniczo cechowała go wierność nieugięta, toteż prawdę mówiąc z całej spuścizny Piłsudskiego, jako że Piłsudski właściwie nie zostawił programu politycznego, Bazio zachował tę jedną postawę: niepodległość Rzeczypospolitej. Niewątpliwie miała ona u niego pewien akcent antyrosyjski, lecz niekoniecznie antykomunistyczny, zwłaszcza że później nie odrzucał współpracy z komunistami polskimi pod warunkiem, że stali na stanowisku niepodległości. Nie należy zapominać, że w r. 1939 jako wicewojewoda nie był zmobilizowany i oddalił się od zagadnień wojskowych, ale przecież, jako żołnierz od lat chłopiących, przeniósł swoją lojalność na nowego naczelnego wodza, uważając go za następcę Piłsudskiego, chociaż przezornie milczał o kulisach tej sprawy, uważając, że im mniej się gada, tym lepiej. Tak należy tłumaczyć wierność Bazia wobec Rydza-Śmigłego. Ale nie zupełnie. Bo na pewno przeważało w tym wypadku współczucie i mięka wytrwałość wobec zmian losu: oto niedawno wynoszono Rydza-Śmigłego pod niebiosa we wszelakich przejawach propagandy, a obecnie doszło do tego, że nie zostawiano na nim suchej nitki. Taka uległość na przemian, to wobec sukcesu, to wobec

kłęski, musiała oburzać trzeźwość Bazia niemniej niż jego wierność. Bo przecież nie należy zapominać o postawie zasadniczej jego charakteru: o wierności, zarówno wobec przełożonych jak i podwładnych, wobec kolegów, wobec znajomych a nawet wobec różnych przeciwników. Był jednym z najbardziej koleżeńskich ludzi jakich znałem. Pamiętam dobrze jak wyciągnął rękę do redaktora „Więści Polskich” w Budapeszcie Zbigniewa Kościuszki po uprzedniej scysji połączonej z ostrą wymianą słów na temat sanacji itp.

Stanowisko Bazia wobec zagadnień tzw. mniejszościowych w Polsce było uczciwe i otwarte, przeciwstawiał się ostro i twardo zarówno tromtadracji szowinistycznej i temu co z niej wynikało, ekscesom nielegalnym lub pseudo-legalnym. Uważał że wszyscy Polacy, tzn. obywatele polscy, są kolegami i towarzyszami we wspólnych dążeniach. Przypominając niedawne konspiracje P.O.W., w których brał udział, zajmował pobłażliwe stanowisko wobec ukraińskich konspiracji, uważając, że jeśli z kim, to z nimi powinniśmy się dogadać. Ostatecznie ulegając optymizmowi wyrażał zadowolenie, że z całego programu ukraińskiego w Polsce uratowano przynajmniej tyle, że w sejmie znalazła się grupa ukraińska, a z zastanawiającą w owych czasach wiarą twierdził stanowczo, że tylko patrzeć, a powstanie we Lwowie państwowy uniwersytet ukraiński, powstanie bo „powstać musi”, dodawał to całkiem twardo.

Na uchodźstwie przyznawał ze smutkiem, że w tych sprawach o wiele za mało pozytywnego zrobiono, ale i tak było zanadto smutno, aby to rozpamiętywać. Bazio jednak nie żywił obaw że kiedyś wszystko naprawimy. Nie był to optymizm co lubi zamazywać, lecz ufność człowieka aktywnego, zdecydowanego, który wierzy bez wahań w słuszność swoich przekonań.

O roli Bazia na węgierskim uchodźstwie w latach 1939-1945. nie da się wiele powiedzieć. Właściwie nie brał udziału w wewnętrznym życiu uchodźstwa i tylko raz uczestniczył w uroczystości obchodu imienin Piłsudskiego w Budapeszcie, którą zainicjował Komitet Polski z prezesem Stawikiem, członkiem PPS, na czele po to, aby — jak łatwo się domyśleć — podkreślić zgodę, współdziałanie wszystkich ugrupowań politycznych w obliczu ciężkiej, groźnej rzeczywistości. Toteż w obchodzie pominięto wszystko co mogło dzielić lub drażnić, a podkreślono to co łączyło.

W tym miejscu chciałbym wspomnieć rozmowę z Edwardem Janusem, znanym pod pseudonimem Andrzeja Stawara, który w latach 1942-1944 był redaktorem czasopisma literacko-politycznego „Tygodnik Polski”, wydawanego przez Komitet obok „Więści Polskich” ukazujących się w miarę możliwości co drugi dzień. We wspomnianej rozmowie Stawar z racji lekceważącej tak jak to podówczas było w modzie, uwagi o Rydzu-Śmigłym, zareagował żywo. Był on właściwie nieśmiały i jak gdyby zrezygnowany, ale tam gdzie wyrażał swoje przekonania, czynił to bardzo czupurnie a przede wszystkim wyrażał się jasno. Także i wówczas wyraził się, że podobne odezwania się o Rydzu-Śmi-

głym nie są sprawiedliwe ani nawet ładne. Błędy Rydza-Śmigłego, zwłaszcza w polityce zagranicznej, której przedtem nigdy zbyt nie krytykowano szeroko czy otwarcie, były bowiem wyrazem błędów wszystkich, stąd też nie należy go obciążać ani jakąś specjalną odpowiedzialnością, ani tym mniej poniżać. Był raczej ofiarą, twierdził Stawar, ofiarą ówczesnej sytuacji i tego, że wierzył w to, w co wierzyli inni, a obecnie gdy wycofali się ze swych stanowisk, nieraz bardzo głośno wyrażanych, wołą wszystko zwalić na Rydza-Śmigłego. Rozprawa Rydza-Śmigłego przechowana przez Bazia, a teraz ogłoszona jako załącznik, potwierdza opinię Stawara. Z powodu dość powszechnego oszołomienia, a ponadto braku orientacji i przenikliwości politycznej, opinie ogółu emigracji ścierały się podówczas, ale na pewno także wyrabiały się w takich właśnie niezliczonych rozmowach i dyskusjach.

Powróćmy do Bazia. Praca jego w czasie pobytu na Węgrzech była wyłącznie konspiracyjna. Utrzymywał nieustanny kontakt kurierski z krajem, a także z Londynem. Od niego pierwszego dowiedziałem się o wszczęciu bezwzględnej eksterminacji Żydów w kraju, i on dał mi do czytania memoriał przysłany z kraju o Tremblince, który z kolei przesłał polskiemu poselstwu. Sytuacja bowiem była taka, że niektórzy Anglicy nieskłonni byli z początku wierzyć tym i podobnym informacjom, do tego stopnia, że przypisywali Polakom oczernianie Niemców i Niemiec. Bazio uważał, że należy postarać się o materiały jak najbardziej rzeczowe, precyzyjne i potwierdzone przez naocznych świadków. I taki był referat o Tremblince, sporządzony na podstawie zeznań kolejarzy, którzy dojeżdżali do Tremblinki albo w pobliżu, przeto widzieli niejedno na własne oczy, a co najmniej słyszeli rzeczy niewątpliwe. Dzięki wytrwałości a nawet uporowi Bazia, te sprawy odślonięto dość wcześniej i w sposób udokumentowany.

Z książki Bazia dowiadujemy się o ostatnich miesiącach życia Rydza-Śmigłego i o tym jak wrócił do Polski. Oczywiście podczas obecności Rydza-Śmigłego na Węgrzech, autor „Wspomnień” i uczestnik perypetii, nikomu o tym nie opowiadał, chyba osobom niezbędnym dla realizacji. Zdarzyło się jednak tak, że on pierwszy z nas znalazł się poza Węgrami, a mianowicie w Słowacji, tuż po zajęciu Węgier przez „sprzymierzeńców” niemieckich w marcu 1944. Polonia węgierska była tym napadem zaskoczona w równej mierze, jak społeczeństwo i rząd węgierski. Dość powiedzieć, że premier Kalay musiał się przez jakiś czas ukrywać, naprzód w poselstwie tureckim, a potem u prywatnych Polaków, jako że Niemcy mieli mu wiele do zarzucenia, gdyż szukał kontaktu z Londynem właśnie przez Polaków. Gestapo uprowadziło do Dachau ministra spraw wewnętrznych, generała Kőresztes-Fiszera, który wykazał tak twardą rękę wobec węgierskich faszystów i ideowych współpracowników Hitlera na Węgrzech. Innych i to nawet wysokich urzędników węgierskich, o ile mieli coś wspólnego z Polakami, albo nawet im pomagali, Gestapo „przesłuchiwało” swoimi metodami. Później jeszcze zresztą naczelnik państwa Horthy, do którego Niemcy nie mieli śmiałości,

gdyż nawet wobec Hitlera zachował się raz i drugi opornie i z lekceważeniem, ukrywał u siebie na zamku Polaków londyńskich.

Nagły ten napad zaskoczył także Bazia na Węgrzech i to w chwili niezwykle krytycznej, omal nie fatalnej. Właśnie niósł ulicami Budapesztu kuferek pełen broni, która miała być dostarczona do kraju, gdy nagle auto z oficerami niemieckimi zatrzymało się przed nim, pytając czy rozumie po niemiecku i z kolei prosząc o wskazanie jakiejś ulicy. Bazio wykazał równowagę pełną humoru, proponując, że chętnie wskaże im ulicę o ile go zabiorą wraz z kuferkami, bo właśnie w tamtą stronę podąża. W ten sposób dostarczył bez trudu swój transporcik i przechował go u przyjaciół węgierskich. Niestety zdarzyło się tak, że ci przyjaciele zostali niebawem aresztowani, a mieszkanie ich opieczętowane. Z kolei przeto należało się biedzić jakim to fantazyjnym sposobem urządzić włamanie do mieszkania, aby wykraść ten niebezpieczny ładunek. Bazio nie „zartował” już więcej i dość rychło znalazł się na terenie Słowacji. Tam to spotkaliśmy się po odwróceniu Niemców i tam niejedno mi opowiadał o swoich perypetiach z dostawą Rydza-Śmigłego do Polski. Pokazywał mi też prace malarskie Rydza-Śmigłego i sporo wspólnych fotografii. W ten sposób, nieco wcześniej niż wielu innych, byłem poinformowany o tej przygodzie, która mimo niezaprzeczalnej dzielności i dobrych zamiarów, skończyła się prędko i bezowocnie, gdyż Rydz-Śmigły wkrótce zmarł w Warszawie i nie spełnił swoich zamiarów walki z okupantami.

Pamiętam, że z tych ustnych wspomnień Rydz-Śmigły ukazywał się jako człowiek wielkiej delikatności i artysta. Bazio nie wspominał wcale o jego kwalifikacjach wojskowych, ale raz i drugi przyszło mi do głowy, że nie był to zdaje się tak zwany „żołnierz urodzony” i że niewątpliwie urok Piłsudskiego pociągnął go na tę drogę, na której pragnął zostać do końca. Bazio słusznie sądził, że doradzanie Rydzowi, niejako na schodach, gdyśmy zostali wyrzuceni z kraju przez przeważającą przemoc dwu najpotężniejszych armii na świecie, że jako naczelny wódz „powinien być zginąć” nie należy do dobrego tonu. Czysto samobójcze decyzje w rodzaju Hitlera lub doktora Göbbelsa nie były stosowne dla tej postaci. A rzeczywistości nie należy przemocą wtłaczać w sztance.

Bazio pochodził z drobnoszlacheckiej rodziny z terenu Podhala i miał bezsprzecznie świadomie odziedziczoną tradycję zarówno wojowników z zaścianków podkarpackich, jakoteż poetycką fantazję ludowych herosów podhalańskich. Nie darmo przybrał pseudonim Surowiec od postaci bohatera zbrojnika spod Tatr. I rzeczywiście mimo koleżeństwa był właściwie surowy. Zarówno w wykonywaniu rozkazów, a można powiedzieć nawet w ich zgadywaniu był bojownikiem i współbojownikiem niezawodnym. W chwilach odprężenia ukazywała się jego łączność z Podhalem. Był świetnym gawędziarzem i jak mało kto potrafił oddawać w góralskim narzeczu zarówno legendy jak i pełne humoru przygody podhalańskie, z przeszłości i z bliższych czasów. To

mi specjalnie było w nim miłe i bliskie i obawiam się, że nawet dość bliscy mu koledzy nie doceniali tej strony jego umysłu, może dlatego, że był tak skromny, aż do samoograniczenia, i tak cddany czynom.

Zegnął się z Baziem chcę wspomnieć dwie sprzeczki, w których najechaliśmy na siebie prawie zasadniczo, lecz bez śladu najmniejszego żalu lub jakiegokolwiek pamiętliwości. Tak się zdarzyło, że otarli się one o sprawy wysokie. Bazio uczył się ze mną po angielsku i dla wprawy czytaliśmy Ewangelię w przepięknym przekładzie, należącym jeśli się nie mylę do najlepszych, bo łączący organicznie zarówno autentyczny archaizm języka i filologiczną ścisłość tłumaczeń. Bazio był katolikiem praktykującym przeto niektóre ewangeliczne prawdy, rady i wyrażenia dziwiły go, gdyż Ewangelię znał prawdopodobnie tylko z Mszy świętej. Tym tłumaczyłem sobie, że rada Pana Jezusa, aby nadstawić drugi policzek, podziała nań, szczerze mówiąc, odpychająco. Nie pamiętam, abym ja sam kiedyś miał skłonności do postępowania podług tych rad, ale w danej chwili niemal zobowiązany poczułem się ich bronić. Może wyrażały się w tym dwie różne reakcje na szalejącą wokół wojnę i wrogość? Odpowiedziałem mu, jak gdyby z Gandhiego, że przecież kiedyś trzeba rozprawić się z wojną i że postawa ewangeliczna jest na pewno odważniejsza od wojowniczej. Bazio rozeźlił się po prostu, jak gdyby Ewangelia namawiała do poddania się Niemcom i Hitlerowi. Zdaje mi się, że nie mógł uwierzyć, aby właśnie Jezus Chrystus coś podobnego doradzał. Moje nieco teoretyczne dopypywania się, gdyż koniec końców chciałem wiedzieć jak godzi takie reakcje z katolicyzmem, do niczego nie doprowadziły. Co najwyżej wietrzył w moich pytaniach jakąś profesorską pajęczynę. Czytaliśmy przeto nadal Ewangelię raczej dla angielszczyzny niż dla jej treści. Ta treść, jego zdaniem, była dostatecznie wykorzystana przez Kościół i nie czekała na nasze rozważania. W rodzinie mojej matki miałem jeszcze bardziej paradoksalne scysje i byłem do tego przyzwyczajony.

Jednak następna scysja z Baziem chociaż nieoczekiwana wypadła bardzo pozytywnie. Jak zawsze przyszedł raz z hiobowymi wieściami z kraju, że Niemcy niszczą pomniki historyczne, wymieniał jeden po drugim przykłady niewiarogodnego wandalizmu, na koniec zapamiętał się zawzięcie: „Czekajcie, jak tylko wkroczymy do Prus wschodnich, to wszystko puścimy z dymem i wysadzimy dynamitem, popamiętają nas”. Mimowoli pomyślałem o samotnym pomniku Emanuela Kanta w Królewcu. Zazartowałem raczej, niż abym argumentował. „Ale starego Kanta chyba nie ruszycie?”. Bazio odpowiadał nadal zawzięcie: „Żaden Kant, żadne szwabskie kanty, pójdzie wszystko do diabła”. „Ale czy wiecie co to znaczy Kant?”. „Taki sam Prusak, Szwab i szkop jak każdy inny”. „Ale czy nie myślicie że Prusacy byli dobrymi żołnierzami?”. „Tak. Ale to wrogowie”.

Rozpędziłem się jak gdyby dla zdobycia duszy Bazia, zwłaszcza że byłem siebie pewny. „Kant powiada: niebo gwiazdźdiste

nad nami, prawo moralne w nas. Słuchaj tego prawa, jak gdyby ta decyzja miała się stać podstawą wszystkich praw". Bazio pytał mruklawie: „Co to ma znaczyć?”. Tłumaczyłem po swojemu tak, a nie inaczej: „Widzicie, nie każdy musi wierzyć w Boga, w szczególności nie każdy wierzy, że Bóg rządzi światem albo że troszczy się o ten świat. Ale troszczy czy nie troszczy, jednak gdy masz spełnić apel moralny, spełń go jak gdybyś był sam jeden na świecie, jakbyś miał zastąpić Boga i jego przykazania. Tyś sam jeden odpowiedzialny, choćby tylko sam jeden”. Bazio popatrzył na mnie głębiej, tak jak Surowiec i jak żołnierz legionowy w najlepszym wydaniu i odpowiedział: „Nie wierzyłbym komu innemu, ale wam wierzę, bo myślałem sobie, że ten cały Kant, to jakiś belfer niemiecki, na którego oni ciągle się powołują w swoich łajdactwach”. „Nie potrzeba wierzyć, odpowiedziałem, nic łatwiejszego jak przeczytać i przekonać się”. „Nie, ja czytać nie będę, to mi wystarczy”. Miałem nieoczekiwane wrażenie, że Bazio był wzruszony i że „pruski” imperatyw kategoryczny odpowiadał jego twardej a przecie ciepłej wierności.

Po wojnie Bazio wrócił do kraju i z właściwą mu energią i trzeźwością zabrał się do pracy nad odbudową. Początkowo jako dyrektor przedsiębiorstwa, następnie wyrzucony za polityczną przeszłość, pracował jak się dało, aby przeżyć. Pozostał dla mnie i dla tych, co go znali prawdziwym rycerzem bez lęku i bez skazy.

Po latach wyszukałem w Grenoble widokówkę z pomnikiem rycerza Bayarda. Posłałem kartkę Surowcowi ze wspomnieniem naszej rozmowy o Kancie.

La Combe, 8.X.1962.

Stanisław VINCENZ

Polsko-szkocki Hotel

"STRATHCONA COURT"

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 szylingów

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Kronika kulturalna

W sprawie autorstwa "The Polish Peasant..."

W SPRAWIE AUTORSTWA
THE POLISH PEASANT IN EUROPE AND AMERICA

Poniższe uwagi mają charakter listu otwartego do socjologów w kraju i do Polskiego Towarzystwa Socjologicznego. Ponieważ dotyczą dobra publicznego, ich przekazanie w publicznej formie jest najwłaściwszą rzeczą.

Wydawać się może, że sprawa autorstwa *The Polish Peasant in Europe and America* nie wymaga wyjaśnienia. Rozstrzyga ją karta tytułowa tego dzieła, gdzie obok nazwiska Williama J. Thomasa (1863-1947) widnieje nazwisko Floriana Znanięckiego (1882-1958). Równorzędne uprawnienia obu uczonych do autorstwa nie kwestionują autorytatywne dzieła poświęcone w części lub w całości historii socjologii, np. *Twentieth Century Sociology*, książka zbiorowa wydana pod redakcją G. Gurvitcha i W.E. Moore'a (1945), *Social thought from lore to science* H. Barnes'a i H. Beckera (1952) i *The nature and types of sociological theory* Don Martindale (1961). W żadnej z tych publikacji nie ma jednego zdania, które by implikowało, iż Florian Znanięcki nie był pełnoprawnym współautorem *The Polish Peasant*.

Ale można znaleźć również inne wypowiedzi, które uważnemu czytelnikowi każą domyślać się czegoś zupełnie innego (jeśli tylko implikowane sugestie nie są wynikiem wieloznacznego i zwodniczego sformułowania). Tak np. czytając przedmowę E.H. Volkarta do książki *Social Behavior and Personality. Contributions of W.J. Thomas to Theory and Social Research*, wydanej w 1951 roku pod auspicjami Social Science Research Council odnieść można wrażenie, iż zdaniem Volkarta cała aparatura pojęciowa i metodologiczna w *The Polish Peasant* jest wkładem Thomasa. Gdyby zaś tak było, rola Znanięckiego sprowadziłaby się do roli tłumacza dokumentów osobistych przytoczonych *verbatim* w tej 5-tomowej publikacji. Podobne wrażenie może nasunąć lektura rozdziału XIV książki marburskiego socjologa Heinza Mause *A Short History of Sociology* (London, Routledge and Kegan Paul, 1962). W tym ostatnim wypadku wrażenie o jakim mowa jest tym silniejsze, iż omawiając wkład Znanięckiego do nauk społecznych Maus

upatruje największą zasługę Znanickiego we wprowadzeniu do socjologii amerykańskiej i światowej teorii nauki Windelbanda i Rickerta (l.c. str. 71 i 121, 158).

Jak się zdaje, odrzucić należy podejrzenie, iż sposób odczytania wspomnianej przedmowy Volkarta lub uwag Mause jest wynikiem nadmiernego uczulenia polskiego czytelnika. Albowiem wersja stosownie do której Znanicki nie był pełnoprawnym współautorem *The Polish Peasant* musiała być rozpowszechniona w Stanach Zjednoczonych, jeżeli Kimball Young, bodaj w 1953 roku, zwrócił się pisemnie do Znanickiego formalnie prosząc o wyjaśnienie tej sprawy (Kimball Young był wówczas przewodniczącym *American Sociological Association*). Ponieważ wspomniane pogłoski nadal kursują po świecie, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale również w Europie, wydaje się rzeczą wskazaną, by wymiana listów między Youngiem i Znanickim była opublikowana jako ważny dokument dotyczący autorstwa *The Polish Peasant*.

Z oczywistych względów ciałem powołanym do tego, by podjąć odnośne starania, jest Polskie Towarzystwo Socjologiczne, którego Florian Znanicki był założycielem. Również Polskie Towarzystwo Socjologiczne jest właściwym ciałem, by zająć się całokształtem spraw związanych z należytych ustaleniem faktów dotyczących autorstwa *The Polish Peasant*. Inicjatywa ta wymaga szybkiej realizacji, dopóki żyją osoby, które znają historię powstania *The Polish Peasant* oraz mogą udzielić miarodajnych i im tylko dostępnych informacji. Biorąc pod uwagę fakt, iż *The Polish Peasant* jest dziełem, które odegrało ważną rolę w rozwoju socjologii i ma trwałe miejsce w jej historii, wyjaśnienie wszystkich okoliczności jego powstania jest ze względów zrozumiałych rzeczą pierwszorzędnej wagi.

Zbigniew JORDAN

Uwagi do uwag Gombrowicza

*Sukieneczka wachu wachu
Czy nie czujesz panna strachu?*

(ballada gminna z okolic Kiejdan)

1. Naturalnie, że ilość nas przydusza i że każdy z nas coraz mniej wie w proporcji do tego co należałoby wiedzieć, żeby zabrać głos z jaką taką przyzwoitością. „Opanować przedmiot”, jak kiedyś się mówiło, kto to dziś potrafi? Wykroisz sobie zakres, niby w nim masz być mądry, ale zaraz musisz z tego wykroić mniejszy i tak dalej. Nawet gdyby zużywać na gromadzenie wiedzy cały czas poza godzinami snu i posiłków, techniczna

niemożliwość. Pomijam nauki ścisłe, gdzie książki sprzed 3 lat są już przestarzałe. Zajmiesz się literaturą, no, jednym pisarzem, ale zaraz stąd wynika konieczność studiowania historii, filozofii et tutti quanti. Cała humanistyka przez to jest dziś w opałach, bo znawcy przeczytać tego co powinni nie mogą i prześladują ich wyrzuty sumienia: że tog i birety są jak na ich rozmiar za obszerne.

Zresztą dla mnie zawsze w marksizmie np. tkwił pewien wstydliwy sekret, i nie bez wpływu jest tu „niestrudzona praca kobiecego łona”, jak to nazywa Gombrowicz. Jeżeli przeczytają moje słowa marksści na katedrach w Polsce, zrozumieją. Gdyby nie kilka zasad porządkujących, które powtarza się za panią matką, niejeden z nich nie zrobiłby żadnej kariery, bo zgębiłoby go onieśmienie tj. zasób jego wiedzy wystarczałby tylko na chude, z rzadka publikowane przyczynki. Dzięki marksizmowi są zdolni płodzić z dużą pewnością siebie całe tomy, bo ich formuły spalają las — po co przedzierać się przez las jeżeli można go spalić? (zostawiając, owszem, parę drzew). Potem jadą na Zachód i odnoszą tam sukcesy, przy tym stosunek ich zachodnich kolegów do takich przybyszów zawiera w sobie dwa elementy: 1) Kangur a śpiewa. Kto by to pomyślał? 2) Zazdrość wobec kogoś kto ma zasady porządkujące tj. wyzwajające od nadmiaru. Problem jest poważny, nie kpię, co będzie jeżeli sama ilość da się poskromić, wypalić, przetrzebić tylko przez monotonię, przez bryki, skrót?

Jakkolwiek jest, musimy robić w tej sytuacji co można tj. w mnóstwie dziedzin pokrewnych z naszą, ale wymykających się nam z powodu krótkości życia, posługiwać się tylko ogólną ich znajomością, czy intuicją wyrabianą też ćwiczeniem. Proklamować, że ponieważ nie możemy wiedzieć wszystkiego, lepiej jest nie wiedzieć nic, byłoby złym wyjściem.

2. Nie jestem aż takim „intelektualistą” za jakiego chce mnie podać Gombrowicz. Dotyka się drzewa albo je się biskopit umaczany w herbacie, a spróbuj to opisać — trzeba całych stron. Jest nędza terminów, nędza intelektu w zestawieniu z drzewem, z kształtem kamienia, czy, jak w teologii, z doświadczeniem religijnym. Tylko kto o tym nie pamięta, kto traci niezbędną dozę common sensu i staje się więźniem swojej własnej akrobatyki, zapominając, że co chwila powinniśmy powracać do pieca tj. do rzeczywistości, nazwijmy to, elementarnej, jest przedstawicielem tego rozpasanego intelektu, który przeraża Gombrowicza. Jestem bardzo zadowolony, że wyjechałem z Paryża. Tamtejsze widowisko intelektualne, odgrzany heglizm, miotania się Sartre'a, zdolnego nawet zafałszować dzieje hitleryzmu w swoich „Les Séquestrés d'Altona” — wszystko to nie było na moje nerwy, obrażało mój zdrowy rozsądek. Nie ma żadnego jednego „intelektualizmu”, jest ich wiele. We Francji, gdzie jak wiadomo i najlepsze i najgorsze rodzi się zwykle równocześnie, najgorsze ma teraz moc obowiazującą, mody, snobizmu, i jeżeli ten właśnie

„intelektualizm” (czy jego krewniacy w Ameryce Łacińskiej) drażni Gombrowicza, chętnie z nim się zgodzę.

3. „Miłosz jest po stronie Brzozowskiego. Miłosz chce, aby inteligencja polska dogoniła Zachód. Jest wyrazicielem powojennego polskiego zrywu w kierunku „europejskości” i „nowoczesności”.

Nic podobnego. Nieporozumienie. U samego Brzozowskiego rzecz nie jest tak prosta — właśnie jego krytycy, np. Stawar, próbowali mu wmówić „padanie na kolana przed Zachodem”. Co do mnie, to Gombrowicz przypisuje mi chęci jakich wcale nie mam. Wyciąganie wniosków — artystycznych, literackich, filozoficznych — z własnych doświadczeń jest czymś zasadniczo innym niż „doganianie”. Przecistawiając Zachodowi swoje, specyficzne, wzięte z jednego kraju, byłem chyba konsekwentny. I w swojej poezji i w prozie i tłumacząc młodych polskich poetów na angielski, z wyraźnym celem — żeby pokazać: patrzcie, taka też może być nowoczesna poezja, zupełnie inna niż u was. Z wynikami. Listy od czytelników po ogłoszeniu wierszy Białoszewskiego, niedawno londyński krytyk Al Alvarez podał Zbigniewa Herberta za przykład, za wzór młodym poetom angielskim.

4. Zawsze podziwiałem i podziwiam u Gombrowicza jego władczość, jego wyniosłą wolność od polityki. Mądrzejszy w tym ode mnie, uchronił się od wielu głupstw. Ale i obce mu pozostały niektóre sprawy przyziemne. Gdyby było inaczej, nie napisałby że trzeba wzmocnić w nas hreczkosieja i zwiariowany intelekt poskromić hreczkosiejską letniością. Poczciwy hreczkosiej nie był wcale tak łagodny jak można by przypuścić dzisiaj, kiedy nadaje się do idealizacji. Odwołać się tutaj można do tego, co pamięta skóra. On to w dekle i z laską dopadał żydowskiego studenta-garbuska w przedsiionku uniwersytetu i ciął go żyłką. On to zamykał białoruskie szkoły i przeprowadzał pacyfikację ukraińskich wsi. On to później, na emigracji, przeprowadzał wieloletnie obławy na podejrzanych o nieprawowierność osobników, zarazem zewnętrznie cywilizując się coraz bardziej, tak żeby nikt pod demokratycznymi pozorami nie mógł w nim odkryć dzierzymordy. I hreczkosiej siedzący w środku zniszczył wielu ludzi utalentowanych. Andrzej Bobkowski po napisaniu „Szkiców piórkiem” wyemigrował z Francji do Gwatemali, cnota w nim zwyciężyła, sam, własnymi rękami stworzył sobie warunki egzystencji, żeby nie zależeć od komitetów, stypendiów, jałmużny. I ta cnota, dziwnie idąca zwykle w parze z pogardą dla, panie dziej, różnych intelektualnych figlasów, zepsuła jego pisarstwo, zawróciła go na tor swojski, jakże znany: wrzaskliwych sarmackich napaści na cokolwiek, co wymaga myślowej pracy, dumnego z siebie obskurantyzmu, maskowanego odczytaniem i cytowaniami w obcych językach. Mówię to nie tylko dlatego, że w listach opublikowanych pośmiertnie przez przyjaciół (zastanówcie się zanim wybieriecie przyjaciół, bo mogą was pogrzebać już na

zawsze) Bobkowski nieładnie odzywa się o mnie. Listy te czytalem ze zgrozą, ponieważ hreczkosiej jest w każdym z nas, ten zdrowy rozsądek, który usposabia mnie niechętnie do paryskich intelektualnych kontorsji, na pewno i ze szlachcica na zagrodzie równego wojewodzie coś wzięł. Więc Bobkowski zagrażał mnie, ani spodziewał się jak, niepokoił: a co jeżeli jestem z nim jakoś duchowo skuzynowany?

Że czasy Brzozowskiego to był okres triumfalny intelektu a dzisiaj rozczarowanie? Spójrzmy przyziemnie. Chodziło wtedy o walkę z mentalnością endecką. Na czym ona polega, to tutaj byłoby za długo. Może dzisiaj ta mentalność należy do przeszłości? Albo może nie wypada, kiedy przebywamy w międzynarodowych regionach, zwręcać się do narodowego podwórka? Cóż począć, rozmawiamy o Brzozowskim, pisarzu jednego kraju.

„Człowiek wśród skorpionów” jest szkicem historyczno-literackim i jasne, że nasza problematyka nie jest ta sama co za życia Brzozowskiego. A jednak, jeżeli Modernę Przybyszewskiego nazywano pogardliwie „intelektualistami”, jeżeli w kilka dekad później na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie boje z hreczkosiejem w dekle toczył K.I. — Klub Intelektualistów, jeżeli jeszcze później „Polish intellectuals” znaleźli się na łamach światowej prasy jako siła wroga stalinowskiej drętwości — co w tym jest.

5. Raczej odgaduję niż wiem, do czego zmierza Gombrowicz popierając starszlachecką nieufność do teorii „nieżyjących”. Owszem, inteligencja polska była przez to bardziej odporna na „abstrakcyjny prometeizm” niż inteligencja rosyjska i taka trzeźwość ma swoje zalety. Znaleźć właściwą miarę jest jednak trudno. Kiepsko wiedzie się intelektualistom, „są rozsadzani treściami których sobie nie przyswoili”, choć w owym rzekomym złotym wieku nie wiodło się im lepiej, taki właśnie był Brzozowski. Tym niemniej, hreczkosiej jest tak długo tylko użyteczny, jak długo jest nieco zażenowany czy sterroryzowany. Podbijanie mu bębena, począwszy od naszej Kontrreformacji, prowadziło niezmiennie do smętnych wyników, bo w ufności do swojego cnotliwego sądu, nie potrzebującego żadnej tam filozofii, nie umie zachować granic. Jak Gombrowicz, autor „Pornografii”, mógłby mu dodać otuchy, nie bardzo co prawda widzę.

Czesław MIŁOSZ

Komunikaty

POLSKIE NAGRODY LITERACKIE

Na posiedzeniu odbytym we wrześniu br. w Genewie Rada Fundacji im. Kościelskich postanowiła przyznać na inaugurację swej działalności

cztery nagrody literackie: dwie pierwsze po 3000 franków szwajcarskich każda, *Sławomirowi Mrożkowi* i *Janowi Rostworowskiemu*, dwie drugie po 2000 franków szwajcarskich *Andrzejowi Brychtowi* i *Andrzejowi Buszy*.

Fundacja im. Kościelskich, ukonstytuowana w Genewie wedle prawa szwajcarskiego, powstała z zapisu śp. Moniki z Krystyńskich Władysławowej Kościelskiej, która pragnęła w ten sposób uczcić pamięć męża, znanego mecenasa sztuki, poety i tłumacza „Fausta” oraz przedwcześnie zmarłego syna Wojciecha, autora wydanych staraniem matki wierszy wojennych.

Celem Fundacji jest popieranie młodych pisarzy polskich, zamieszkałych tak w kraju jak zagranicą. Wręczenie nagród Rostworowskiemu i Buszy odbyło się 2 listopada z okazji ich wieczoru autorskiego w Genewie. Mrozek i Brycht przybyć mają do Genewy po załatwieniu formalności paszportowych i wizowych w późniejszym terminie.

W przyszłości zamierza Fundacja udzielać po dwie nagrody rocznie, traktując zgodnie z wolą spadkodawczyni i w poszanowaniu jedności piśmiennictwa polskiego porównywalnych młodych pisarzy krajowych i emigracyjnych.

Prezesem Fundacji jest Kajetan Morawski, wiceprezesem wykonawcy testamentu śp. Władysławowej Kościelskiej Henryk Ferrier, skarbnikiem Zygmunt Kallenbach, sekretarzem Tadeusz Szmitkowski, referentem nagród literackich prof. Zygmunt Estreicher z Neufchatel.

Obok nich wchodzi do Rady Fundacji również wyznaczeni przez spadkodawczynię Aleksander Bobkowski i Antoni Lanckoroński.



7 listopada br. odbyło się w Paryżu w mieszkaniu amb. Kajetana Morawskiego zebranie jury nagrody literackiej ufundowanej przez amb. Raczynskiego.

Po ożywionej dyskusji jury przyznało jednogłośnie nagrodę gen. Marianowi Kukielowi za „Dzieje Polski porzobiorowe”. Uroczystość wręczenia nagrody odbędzie się w terminie późniejszym w Londynie.

WALNY ZJAZD PISARZY

W sobotę 3 listopada br. odbyło się w londyńskim Ognisku doroczne Walne Zebranie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, poprzedzone nabożeństwem za dusze zmarłych kolegów, w Brompton Oratory. Obrady prowadził Juliusz Sakowski (przewodniczący Walnego Zjazdu) w towarzystwie dwóch asesorów w osobach Zygmunta Bohusza Szyszki i Michała Sambora.

Po sprawozdaniach zarządu i komisji rewizyjnej, Zjazd udzielił ustępującym władzom absolutorium i po obszernej dyskusji wybrał ponownie przez aklamację prezesem Związku Wiesława Wahnouta (po raz piąty!), a do zarządu Zygmunta Bohusza Szyszki, Czesława Dobka, Władysława Günthera, Mieczysława Lisiewicza, Teodozję Lisiewicz, Martę Reszczyńską-Stypińską, Napoleona Śadka i Józefa Żywinę.

Do komisji rewizyjnej weszli: Józef Bujnowski, Stefan Legeżyński i Tymon Terlecki.

Do sądu koleżeńkiego: Zofia Kozarynowa, Marian Kukiel, Zygmunt Nowakowski, Adam Pragier, Wit Tarnawski.

Delegatami zagranicznymi Związku pozostali: Józef Wittlin (USA), Tadeusz Nowakowski (Niemcy Zach.), Z.L. Zaleski (Francja) i J. Woszczyńska (Ameryka Południowa).

Książki

Zegadłowicz-dramatopisarz

Firmowana przez Opolskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, wydana przez Ossolineum we Wrocławiu książka Władysława Studenckiego: „Twórczość dramatyczna Emila Zegadłowicza” (1) jest książką polonistyczną, ale ma też sens doraźny, aktualny. Stanowi głos w dosyć szczególnej, burzliwej, zawiłej historii odbioru tego pisarza. Obala już ostatnią podstawę, na której wspierała się jego sława.

W pierwszym dziesiątku niepodległości przebrzmiał rozgłos Zegadłowicza jako poety, twórcy „Powsinogów beskidzkich” i „Dziewann”. Drugie dziesięciolecie odpisało go na straty jako prozaika, autora „Zmór” i „Motorów”. Teraz pod uderzeniem krytycznym pada jego dramatopisarstwo. A trzeba pamiętać, że na krakowskiej premierze „Lampki oliwnej” (1924) sam Karol Hubert Rostworowski publicznie przekazał mu bardon poetycki. Po śmierci Zegadłowicza (1941) i po ostatniej wojnie ze względów pozaliterackich usiłowano w niektórych dramatach upatrywać jego tytuł do historycznej ważności.

Tej końcowej fazie kariery pisarskiej Zegadłowicza Studencki nie przeciwstawia się otwarcie, a wobec co najbardziej jaskrawych praktyk zdradca nawet brak odwagi cywilnej. Praca ma charakter naukowy, i jej wartość polega na tym, że ukazuje cały dorobek Zegadłowicza w dziedzinie dramatu, że wiąże go z liryką czy swoistą liryzowaną epiką i prozą beletrystyczną, a nadto wyprowadza go z „podłoża lekturowego”, z podglebia rodzimej epoki — Młodej Polski.

Ten ostatni zakres, kontekst bardzo rozległy, czyni z książki Studenckiego jakby kliniczny pokaz epigonizmu. Monografista

(1) Władysław Studencki: *Twórczość dramatyczna Emila Zegadłowicza*. Prace Opolskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Wydział Języka i Literatury. Wrocław — Warszawa — Kraków. Zakład Narodowy imienia Ossolińskich, 1962. Str. 196.

kilka razy określa Zegadłowicza jako „naturę bluszczową”. Mówi o „rezonansowym charakterze jego wyobraźni, przejmowaniu gotowych klisz poetyckich od innych pisarzy”, o „inkrustowaniu (swoich utworów) motywami przypomnianymi z lektury”, stwierdzając, że „pamięć utrudniała Zegadłowiczowi krystalizację koncepcji własnej”. W świetle materiału zgromadzonego w książce Zegadłowicz, jako typ organizacji twórczej, wydaje się — prawie karykaturą Słowackiego.

Studencki rozważa szczegółowo i wszechstronnie, w chronologicznej kolejności powstawania — wszystkie dramaty Zegadłowicza, wystawione na scenie i ogłoszone drukiem, znajdujące się jeszcze w rękopisie i zaginione (marginesową uwagę poświęca tylko głośnej kiedyś przeróbce „Turandot” Gozziego). Jest tego około piętnaście pozycji, a nie ma wśród nich ani jednej, która wytrzymałaby próbę krytycznego sprawdzenia, ani jednej, która by świadczyła o wybitniejszej indywidualności lub choćby o zdolności do nowej, twórczej syntezy elementów zapożyczonych od innych.

„Głaz graniczny” np., opierający się na pseudoromantycznym pomysły przemiany bandy cygańskiej w szlachetnych zbrojników, wszystkie elementy treściowe zawdzięcza Kasprowiczowi, Tetmajerowi, Orkanowi i Wyspiańskiemu; nie brakuje w nim modelowania bohaterki na wzór postaci Przybyszewskiego. Podobnie „Alcesta”, na przekór twierdzeniu Zegadłowicza, że jakoby „nie czytał” Eurypidesa i Hoffmannsthal, ukazuje się w świetle rozbioru Studenckiego jako pchnięcie hoffmannsthalowskiej trawestacji na samą krawędź sztuczności psychologicznej. Nie mniej znamieny jest przykład „Betsaby”. Biblijną historię kochanki i żony Dawida Zegadłowicz przeobraził w efekciarski, niespoisty galimatias: „Liryzm, przewaga żywiołu muzycznego, aintelektualizm, anachroniczne zestrojenie wątku biblijnego z wizją ewangeliczną, a psalmów z kołędą — dało w efekcie melodramat pokrewny operze mechanicznym łączeniem i zespalaniem elementów heterogenicznych”.

„Bluszczowość”, „rezonansowość” Zegadłowicza pociągała za sobą jeszcze inny skutek: brak zrównoważenia nie tylko pojedynczych jego utworów, ale i całej twórczości dramatycznej. Studencki wskazuje u niego dwa sprzeczne wyobrażenia dramatu. Jedno góruje w pierwszym dziesięcioleciu niepodległości, by w drugim ustąpić miejsca wyobrażeniu całkiem przeciwnemu. Jedno Studencki wyprowadza z ballady i określa jako „balladowy dramat liryczny”. Drugie wiąże z prozą opowiadającą Zegadłowicza, ze „Zmorami”, „Motorami” i „Martwym morzem”, z jego odwrotem od sentymentalnego chrześcijaństwa do równie sentymentalnego radykalizmu. Pierwsze wyobrażenie dramatu znaczą dążności romantyczne i religijno-mistyczne, drugie — dążności społeczne i naturalistyczne.

Z tego drugiego okresu przypadły w odmęcie wojny co najmniej dwa dramaty: „Wasz korespondent donosi” i „Sind Sie Jude?”. Ocalały: „Gra w zielone”, arystofanejska satyra obczy-

jowo-polityczna, napisana do spółki z wybitnym hispanistą Stefanem Essmanowskim, który padł z rąk hitlerowców, „Pokój dziecienny”, udratyzowana dyskusja o „Zmorach”, pozbawiona większej wartości literackiej i sensu teatralnego, wreszcie dramat polityczny obrazujący klęskę wrześniową i jej przyczyny pt. „Domek z kart”.

Ten ostatni utwór, wystawiony w r. 1953, posłużył za odskocznik do budowania pośmiertnej reputacji Zegadłowicza. Studencki poddaje go wnikliwej analizie, krytycznie ocenia jego pamfletową jaskrawość i prymitywizm argumentacji, ale właśnie w tej części wykazuje niedostatek rzetelności naukowej. „Autorski maszynopis „Domku z kart” został do wydania drukiem przerobiony przez Adama Ważyka, który dokonał w nim wielu skreśleń i zmian” — stwierdza to bez jednego drgnięcia powieki, z takim spokojem, jakby chodziło o najwycyżniejszą praktykę, o dwie redakcje jednego utworu dokonane przez jego twórcę. Ważyk ściągnął cztery akty w trzy, usunął wiele postaci, poprzestawiał akcenty. Historyk literatury nie zdobywa się na słowo potępienia tego zabiegu, przyjmuje go za rzecz naturalną, pośrednio udziela mu nawet swej aprobaty. Pisze np.: „Pięciu Literatów z maszynopisu, Ważyk przekształcił w trzech Literatów, nadając im wyrazistsze sylwetki ideowe” albo: „Przez likwidację znacznej części figur drugorzędnych uwydatnił znaczenie wystąpień Bruna (bohatera sztuki)”. Słowem traktuje osobliwego „wydawcę” jako uprawnionego współautora. Nawet jeśliby Ważyk ulepszył sztukę Zegadłowicza, nie miałby do tego prawa, a Studencki nie ma łaski rozgrzeszania go z uzurpacji — chyba bez precedensu w literaturze współczesnej.

Warto stwierdzić, że zgrzeszywszy ciężko w tym przypadku, Studencki zachował wzorową bezstronność w przedstawieniu przemian postawy ideowej i pisarskiego warsztatu Zegadłowicza. Przed wojną historycznie przesadzono jego akces do komunizmu, gdy po rozejściu się z Poznaniem, „polską Wandę” (w ciągu kilku lat zdołał tam skupić w swoim ręku władzę dyktatora kulturalnego: był jednocześnie kierownikiem literackim teatru, dyrektorem programowym radia, redaktorem „Tęczy”, doradcą księgarni św. Wojciecha) zaczął prowokować opinię ekshibicjonistyczną pornografią „Zmór” i wziął udział w lwowskim Zjeździe Pracowników Kultury. Po wojnie obłudnie eksploatowano jego wyznawstwo komunistyczne dla koniunkturalnych celów. Odrzucając w zambul całą Młodą Polskę, skreślając Wyspiańskiego z listy żywych pisarzy, usiłowano windować na cokół najbardziej zapóźnionego epigona Młodej Polski i wyspiańszczyzny.

Z dystansu widać — i książka Studenckiego w tym spojrzeniu walnie pomaga — że przez całe życie Zegadłowicz był nastrojowcem o bardzo nikłym intelekcie, człowiekiem miotającym się między sprzecznościami i skrajnościami, niezdolnym do wytworzenia jako tako logicznej, spójnej postawy wobec zjawisk. Jeśli jakie określenie do niego przystaje to — uczuciowy anarcho-socjalista. „Wierzę w anarchistyczną wolność uczciwego czło-

wieka" — wyznawał, a gdzie indziej romantycznie wieszczyl: „Powiem wam treść dziejów przyszłych: anarchizm zdyscyplinowany etyką”. Jeszcze ściślej określił siebie Zegadłowicz na krótko przed śmiercią: „Życie moje ani dobre, ani piękne, ani harmonijne. Brak mi charakteru”. Brakło charakteru, naprawdę własnego znamienia, także i jego twórczości. To było jego tragedią jako człowieka i jako artysty.

Odsłaniająca jedną stronę tej tragedii książka Studenckiego jest nierówna. Chwilami wznosi się na znaczny poziom przenikliwości i precyzji analitycznej, chwilami grzęźnie na mieliznach. Zgromadziwszy bardzo duży materiał porównawczy, Studencki nie zawsze umie przeprowadzić granicę między tym co jest zależnością literacką a co tylko analogią. Dziwacznym miesza analizę językową, stylistyczną i wersyfikacyjną. Popisuje się erudycją w przypisach zaczynających się od formuły: „warto zacytować” gdy przeważnie i nie warto i nie ma po temu żadnego powodu. Zaskakuje niezrozumiałą terminologią (np. „idealistyczny liryzm”). Drażni niekiedy aż nieporadnym stylem (arcypróbką: „należy do złożonych zjawisk literackich, może nawet nieco skomplikowanych”).

Ale z tym wszystkim „Twórczość dramatyczna Emila Zegadłowicza” jest książką wartościową jako wkład do obrachunku literatury międzywojennego dwudziestolecia. Dodatkową sympatię dla niej budzi środowisko, które ją wydało czy udzieliło jej swego patronatu.

Tymon TERLECKI

Sprawa St. Brzozowskiego

Wydaną niedawno książkę Czesława Miłozza (1) o Stanisławie Brzozowskim nazwano już „piękną, pasjonującą, szlachetną apologią”. Słusznie. Dodałbym, że jest to w ogóle studium pod wieloma względami znakomite. Mimo to mam garść zastrzeżeń — mam wrażenie że nawet dość ważkich — ograniczonych zresztą, w tym wypadku celowo, do tej tylko części, w której Miłozz mówi o „sprawie Brzozowskiego”, o ciążyącym na nim do dziś zarzucie współpracy poufnej, a oplotanej, z rosyjską Ochroną w Warszawie.

We wstępnym punkcie swoich rozważań Miłozz mówi, że Brzozowski, choć upłynęło już pół wieku od chwili jego zgonu,

(1) *Człowiek wśród skorpionów*, Instytut Literacki w Paryżu, 1962, str. 128.

„jest ciągle nam współczesny”, że „ciągle, kto o nim pisze, już przez to, że bierze pióro, wypowiada się za albo przeciw”... No — niekoniecznie! Biorę właśnie do ręki pióro, i nie myślę ani stawać po stronie oskarżycieli Brzozowskiego, ani w jego obronie.

Nie ukrywam swoich osobistych sentymentów dla Brzozowskiego przez zrozumienie jego sytuacji na odcinku pisarstwa; znam zbyt dobrze tę wieczną w Polsce prawdę: kto ma odwagę iść przeciw tzw. „opinii większości” — ten musi poznać bardzo gorzki smak polskiej — tchórzliwej przeważnie — nikkczemności. Znam też i drugą polską prawdę, wyrażoną kiedyś tak drastycznie przez Brzozowskiego w rozprawie o Mochnackim: „W Polsce szlachcic zupiorzały bije się na barkach pracującego, twórczego człowieka ze szlachcicem zeświniąłym”...

Mimo takich dla Brzozowskiego sentymentów chcę przytoczyć kilka szczegółów, które uszły uwadze Miłozza, chyba dlatego, że w emigracyjnych warunkach nie zdołał do nich dobrać.

Przede wszystkim źródło, o którym Miłozz na pewno nie wiedział i wiedzieć nie mógł. Mam na myśli pamiętnik pułkownika Walerego Sławka (2), który aż do szóstej klasy chodził z Brzozowskim do gimnazjum w Niemirowie. Fragment pamiętnika Sławka nie daje wprawdzie szczegółów zbyt wiele, ale w ostatecznym wniosku jest dostatecznie wymowny:

„W kwietniu r. 1908 — pisze Sławek — otrzymałem list od Ksawerego Praussa, który mieszkał w Paryżu, z wezwaniem, abym koniecznie dla pewnych, bardzo ważnych spraw natury bezpieczeństwa organizacji, natychmiast tam przyjechał. Ton listu był tak alarmujący, że zaraz, omijając Niemcy, wyjechałem przez Wiedeń-Zürich do Paryża. Prauss opowiedział mi o Bakaju i jego zeznaniach, złożonych Burcewowi. Sprawa wyglądała tak: stary rewolucjonista rosyjski Burcew rozumiał, w jakim stopniu szerząca się w Rosji prowokacja i szpiegostwo demoralizuje ruch, dlatego też postawił sobie za cel walkę z prowokatorami, nasyłanymi przez Ochronę i żandarmów rosyjskich na organizacje rewolucyjne. W jaki sposób Burcew i żandarmów rosyjskich, czy też Bakaj Burcewa, tego nie wiem. Bakaj był szpiegiem Ochrony, a następnie tajemnicę Ochrony zdradził Burcewowi. Był on jakiś czas szpiegiem Ochrony warszawskiej, a później został przeniesiony do Petersburga. Miał więc informacje o ruchu w Polsce i Rosji. Burcew miał już spisane całe zeszyty zeznań Bakaja”... „Bakaj wskazał, że Azef, główny kierownik partii rosyjskich socjalistów-rewolucjonistów i organizator różnych zamachów, jest prowokatorem, że to właśnie było powodem, iż olbrzymia większość projektowanych w Rosji zamachów wysypywała się przed wykonaniem. Tu się wyjaśniła tajemnica wielu nieudanych akcji rosyjskich. Ja osobiście z Azefem poznałem się w Petersburgu przez Władysława Dehnela w sierpniu 1905 r.”... „Innych nazwisk rosyjskich albo mi nie powtarzano, albo nie pamiętam. W każdym razie roszpirowanie roli Azefa nadawało zeznaniom Bakaja pewną wagę. Z osób, które wskazał Bakaj w związku z ruchem polskim przytoczę niektóre: „Stanisław Brzozowski; wiadomą było rzeczą, że Stanisław Brzozowski, arestowany jeszcze jako student przed 1900 r., napisał, siedząc w wię-

(2) Pamiętnik ten, mnie osobiście przez plk. W. Sławka dyktowany w ciągu kilku lat, jest w moim posiadaniu; przygotowałem go już do druku i oddałem w ręce wydawcy.

zieniu, dla żandarmerii rosyjskiej cały referat o organizacji oświaty ludowej, że wyspał wówczas kilku ludzi. Wprawdzie sami poszkodowani uznali postępek Brzozowskiego jako dość nieobliczalny czyn 'filozofa', i winę mu przebaczyli, to jednak Brzozowski do żadnej roboty nielegalnej dopuszczony już nie był'... „Bakaj twierdził, że Brzozowski w okresie rewolucji 1905-1906 r. pisywał dla Ochrony raporty o ogólnej sytuacji politycznej. Nazwisk, zdaje się, nie wskazywał. Otrzymywał podobno 100 rb miesięcznie. Przypuszczam, że słuszną tu będzie hipoteza, iż Brzozowski, szantażowany przez Ochronę groźbą ogłoszenia jego pierwszych zeznań, zgodził się pójść na służbę i redagował referaty, które Ochrona włączała w swoje raporty służbowe”...

Tyle płk. Sławek.

Drugim źródłem, które znajduje się w zbiorach Biblioteki Polskiej w Paryżu — jest prawie pełny komplet wydawanego przez Wilama Horzycę miesięcznika warszawskiego „Droga”. Bardzo dobrze pamiętam, jak to — może jesienią r. 1933, może wczesną wiosną r. 1934 przyszedł do Instytutu Badania Najnowszej Historii w Warszawie Emil Bobrowski ze swoją „ciężką sprawą” — i jak wiozłem go autem do chorego generała Juliana Stachiewicza do Otwocka. Bobrowski przechowywał u siebie od lat akta sądu obywatelskiego, zwołanego do Krakowa na żądanie Brzozowskiego. Horzyca namawiał go usilnie do publikacji, Bobrowski jednak wahał się, namyślał, aż wreszcie — by rozstrzygnąć swoje wątpliwości — postanowił zwrócić się do gen. Stachiewicza z pytaniem: czy ma jakieś zastrzeżenia przeciw publikowaniu tego bogatego zbioru dokumentów. Generał żądanych zastrzeżeń nie podniósł. Nie miał ich także i Jędrzej Moraczewski, do którego — jako jednego z „mężów zaufania” Brzozowskiego — Bobrowski również się zwracał, nie pamiętam tylko: przed czy raczej po otwockiej rozmowie z gen. Stachiewiczem. Po rozstrzygnięciu tą drogą swoich wątpliwości Bobrowski oddał posiadane *dossier* Horzycy, ten zaś drukował je w swej „Drodze” przez cały niemal rok 1935, bo od lutego do grudnia, z jedyną przerwą w maju, kiedy cały zeszyt „Drogi” był poświęcony Marszałkowi Piłsudskiemu, po jego śmierci.

Zadałem sobie trud i podliczyłem: drukowana przez Emila Bobrowskiego „Sprawa Stanisława Brzozowskiego — akta sądu obywatelskiego” liczy około 140 stron „Drogi”, o formacie nieco większym od strony „Kultury”. Cóż tam znaleźć można? Bardzo dużo!... Bo: protokoły jawnych i poufnych posiedzeń sądu, zeznania tzw. „stron” i „świadców”, protesty Brzozowskiego i jego przyjaciół, oświadczenie Frakcji Rewolucyjnej P.P.S., zeznania Bakaja i Burcewa, dr. Nelkena, Ludwika Kulczyckiego, Wilhelma Feldmana, adwokata Śmiarowskiego i in. — oraz listy, w pełnym ich brzmieniu, Bakaja do Burcewa, Burcewa do Daszyńskiego, Łopatina do Burcewa, poza tym listy: Izy Moszczeńskiej, Wiery Fiegner, M. Feldmanowej, Bernarda Połonieckiego, Leona Belmonta, Adama Skwarczyńskiego, Jadwigi Szczawińskiej-Dawidowej, Stanisława Przybyszewskiego, Gustawa Daniłowskiego, Hermana Diamanda, Ksawerego Praussa, wreszcie list kra-

kowskiej Akademii Umiejętności. Chociaż nie wymieniłem wstyckiego — widać chyba, do jak bogatego źródła Miłosz nie sięgnął.

Jednostronnością jest u Miłosza dążenie do przedstawienia Bakaja, jako kłamcy, Burcewa zaś jako zbyt łatwowiernego „łapacza sensacji”. Nie mam ani zamiaru, ani najmniejszych powodów do kruszenia kopii w obronie „moralności” Bakaja — zdradził Ochronę i policję po wielu latach gorliwej dla nich służby, i to już wystarczy dla oceny jego „moralności”. Stwierdzić jednak muszę, iż Bakaj Burcewa informował rzetelnie, podał mu kilkadziesiąt nazwisk i wypadków zdrady ruchu rewolucyjnego czy podwójnej nawet służby — dla rewolucji i Ochrony. Wszystkie te wypadki uznane być musiały, po gruntownych dochodzeniach, za całkowicie uzasadnione. Kwestionowany był i jest jeden jedyny wypadek — Brzozowskiego, i to z polskiej tylko strony. Burcew zaś wcale nie był tak łatwowierny, jak się Miłoszowi zdaje — informacje od Bakaja przyjmował nieufnie, najdokładniej je badał, szukał innych dowodów, śladów, potwierdzeń, i upłynęło chyba ze dwa lata, zanim zdecydował się na ogłoszenie tej straszliwej prawdy. Zdecydował o tym zresztą nie Bakaj, tylko Łopuchin, były dyrektor Departamentu Politycznego w Petersburgu; dramatyczna — nocna — rozmowa Burcewa z Łopuchinem w postaci rozstrzygnięta wszelkie wątpliwości. Jeśli Miłosz nie mógł sięgnąć do takich źródeł, jak pisma i relacje Burcewa czy samego Bakaja (3), to miał przecież, w Ameryce, pod ręką, dwie książki, wydane w Nowym Jorku przez rosyjskich emigrantów: Romana Gula o „Azefie” i Wiktora Czernowa „Pieried buriej”. W obu tych książkach sprawy Bakaja, Burcewa, Łopuchina przedstawione są szczegółowo i prawdziwie w sensie historycznym.

Drugim moim zarzutem jest całkowite przeoczenie przez Miłosza postaci pułkownika Zawarżina. Znałem go dobrze — nie osobiście, rzecz jasna; był on w okresie rewolucji 1905-1908 r. rotmistrzem żandarmerii w Warszawie i następcą płk. Szewiako-wa w warszawskiej Ochronie — jest on też autorem dwutomowych wspomnień („Rabota tajnoj policii”), wydanych w Paryżu w r. 1924, w okresie zaś służby swej w Ochronie warszawskiej był niechybnie jednym z głównych źródeł informacyjnych dla nader cennych dla każdego badacza tej epoki, wydawanych jako „druki poufne”, corocznych, opracowywanych przez prokuratora Żyżyna „Obzorów polskawo riwolucionnawo dwiżenija” w latach 1905-1908. Pułkownik Zawarżin w r. 1917, już po wybuchu wielkiej rewolucji rosyjskiej, ale jeszcze za Kierieńszczyzny, zgłosił się w Moskwie do Burcewa — który wtedy wznowił tam wydawanie swego słynnego miesięcznika „Byłoje” — z pretensjami i

(3) Zob. „Byłoje” — „Sbornik po istorii russkawo oswoboditielnawo dwiżenija”, nr. 9-10, maj-czerwiec 1909, Paryż, art. „Iz zapisok M. Bakaja. Prawitielstwo i prowokacija”, str. 191-201, nr. 11-12, lipiec-sierpień 1909, art. „Iz wospominanij M. Bakaja. Jeszczo o prowokacii i prowokatorach”, str. 162-167.

załami o „niesłuszne (jakoby) oczernianie” go przez Burcewa w swoim czasie; w spotkaniu tym w Moskwie udzielał wyjaśnień, domagał się sprostowań; w trakcie tej rozmowy z Burcewem zahaczył o Brzozowskiego, twierdząc: „Brzozowski nie był szpiegiem, nie był prowokatorem”, był tylko „oswiadomicielem” — czyli informatorem, dostarczającym warszawskiej Ochronie materiałów o nastrojach w społeczeństwie polskim i w istniejących wtedy polskich ugrupowaniach ideowych i politycznych. I znowu — jeśli w warunkach emigracyjnych trudno o dostęp do źródeł rosyjskich, to przecież są na emigracji, takie książki, jak wydane w Warszawie przed paru laty trytomowe „Wspomnienia” Ludwika Krzywickiego. Burcew umarł, jak wiadomo, w r. 1936. Ale na kilka lat przed śmiercią był w Warszawie; odwiedził wtedy, wraz z Filozofem, Stanisława Stempowskiego, u którego spotkał się też z Henrykiem Drzewieckim i Karolem Irzykowskim — obaj byli nieprzejednanymi, zaciętymi obrońcami Brzozowskiego, toteż od razu „wsiedli” na Burcewa, zasypując go pytaniami, pretensjami, zarzutami. O wyniku tego spotkania świadczyć mogą wymownie słowa Drzewieckiego: po tej rozmowie z Burcewem pozostało mu „dużo wątpliwości co do Brzozowskiego”. Opisał to szczegółowo Ludwik Krzywicki w drugim tomie swoich „Wspomnień” na str. 576-578. Potwierdził to i Stanisław Stempowski, który — jak wiadomo — żył bardzo blisko z Krzywickim i w ostatnich latach jego życia pomagał mu porządkować uzupełniając napisane dawniej notatki i fragmenty wspomnień.

Przeoczonym także przez Miłosza, a bardzo ważkim według mnie szczegółem jest pewien fragment z młodości Brzozowskiego. O tej młodości niemirowskiej opowiadał mi niejedno pułkownik Walery Sławek, ale sięgnę tu po źródło, do którego na emigracji każdy może zajrzeć: otóż Brzozowski, będąc chłopcem gimnazjalnym, postanowił „uciec gdzieś w świat”; w związku z tym pewnego dnia, z tornistrem szkolnym na plecach, przyszedł do pewnych ludzi w Niemirowie, opowiedział im płacząc o „śmierci ojca”, nazwał siebie „sierotą” i prosił o pieniądze „wsparcie”. Opowieść o ojcu była od początku do końca kłamstwem, umiał jednak, choć był dzieciakiem jeszcze, przedstawić ją tak „szczerze”, iż głęboko wzruszyła słuchających. Szczegół ten przytacza, powołując się na St. Stempowskiego, prawdomówny i jak najbardziej rzetelny Krzywicki, który z tej „historii” z udawaną czy nieudaną próbą Brzozowskiego „ucieczki w świat”, wyciąga wręcz druzgoczący wniosek: „Takie wzruszenie (u słuchających) może wywołać człowiek czy dzieciak, który całkowicie wżył się w swoją rolę i utracił poczucie tego, co jest rzeczywistością, a co zmyśleniem”... „Były to — pisze dalej Krzywicki — początkowe fazy przyszłego życia podwójnego”... Henryk Sienkiewicz zaś, w rozmowie z Grzymałą-Siedleckim (4), na wiadomość o śmierci

(4) Zob. jego „Niepospolici ludzie w dniu swoim powszednim”, Kraków, 1962, na str. 32-33.

Brzozowskiego we Florencji: „drgnął, ręka z trzymaną w niej gazetą z wolna osunęła się na poręcz fotela, popatrzył na mnie, zapadł w milczenie”... „Może to i najlepiej dla niego! — przemówił wreszcie”... Od osób zaś bliskich Sienkiewiczowi słyszał Grzymała-Siedlecki, że twórca „Trylogii” miał po śmierci Brzozowskiego powiedzieć o nim: „Natura ludzka jest tak urządzona, że w niej dość się znajdzie miejsca na najszczytniejszą świętość i na najstraszniejszy upadek moralny!”...

„Dzisiejszemu pokoleniu — pisze od siebie Grzymała-Siedlecki — trudno może sobie wyobrazić, jakim „wstrząsem” była wiadomość o możliwych powiązaniach Brzozowskiego z Ochroną: „gwiazda literatury, niewątpliwie najbardziej dynamiczny w ówczesnej krytyce literackiej pisarz, wyrocznia intelektualna dla obozu postępowego” — „agentem tajnej policji carskiej?”... „Ohyda tak obrzydliwa — odpowiada Grzymała-Siedlecki — że wcale nieznikoma część społeczeństwa nie uwierzyła w winę Brzozowskiego”... Mówiono: „Omyłka, niewątpliwie jakaś potworna omyłka!”...

Grzymała-Siedlecki ogranicza się tylko do tej uwagi, komentarzy dalszych nie dając. I zdaje mi się, że największą pomyłką Miłosza w jego pięknym studium jest zbyt surowe osądzenie jeśli już nie całego, to przytaczającej większości społeczeństwa polskiego. Czytając Miłosza, odnosi się wrażenie, iż całe właściwie społeczeństwo było przeciw Brzozowskiemu. O, bynajmniej!... I to nie tylko dlatego, że widziano w nim pisarza, który — jak mówi w „Drodze” Emil Bobrowski — „tak wybitną odgrywał rolę w życiu umysłowym Polski”. Był jeszcze powód inny — niedostrzeżony przez nikogo jeszcze, w każdym razie dotąd niepodnoszony, a w istocie swej — najgłębszy. Pisząc bowiem czy mówiąc o Brzozowskim — trzeba wiedzieć, trzeba pamiętać, o dwóch głębokich, kardynalnych różnicach między rewolucyjnym ruchem rosyjskim a wyzwoleniczym polskim. Przede wszystkim: postawa w walce. Wszystkie organizowane wtedy w Rosji przez Rosjan zamachy połączone były z momentem samoofiary: rewolucjonista szedł na akcję najczęściej sam jeden, rzucał bombę i albo ginął wskutek wybuchu, albo nie próbował nawet bronić się czy uciekać, choć na pewno wiedział, iż zostanie skazany na śmierć i stracony. Taki np. Iwan Kalajew, choć z policyjnej rodziny, ale urodzony i wychowany w Warszawie, spolonizowany tak, iż po rosyjsku mówił z polskim akcentem, a przez współtowarzyszy, nie tylko przez Borysa Sawinkowa, także warszawianina, nazywany był nie po rosyjsku „Wanią”, tylko z polską „Jankiem”; Kalajew właśnie, mimo tak głębokich wpływów polskich, po wykonaniu zamachu na w. księcia Sergiusza w Moskwie, lekko tylko ranny przy wybuchu bomby, ani myśli korzystać z powstałego zamieszania, nie usuwa się ludziom z oczu, przeciwnie — daje się schwytać, skępować, i ogranicza się do entuzjastycznych okrzyków: „Niech żyje rewolucja!”... Takich przykładów z ruchu rosyjskiego mógłbym przytoczyć mnóstwo. Natomiast: rewolucjonista-zamachowiec polski *nigdy* nie działał

w pojedynkę, tylko zawsze w grupie. Skłonność do samoofiary w rosyjskim typie jest zbyt obca duchowi polskiemu. Polak zdobyć się może na największe ryzyko, łatwo porwać się może na czyn, gdzie szans wyniesienia cało głowy jest mniej niż mała — zawsze jednak i wszędzie, w każdej walce, chce być nie ofiarą, lecz zwycięzcą, chce z każdej walki wyjść zwycięsko, w ostateczności broniąc się do upadłego.

Drugą — jeszcze głębszą — różnicą widzimy w etyce rewolucyjnej. W Rosji tylko jednostki wyjątkowo mocne, w konspiracji i w walce zahartowane, nie załamywały się w kleszczach metod śledczych; olbrzymia większość już we wstępnej fazie badań i dochodzeń zaczynała „czystoserdecznie” — „śpiewać”. Poza tym i to jest o wiele istotniejsze — dzieje rewolucyjnego ruchu w Rosji to w dużej mierze dzieje prowokacji i zdrady na najwyższych szczeblach organizacji, i nawet w samym jej ośrodku kierowniczym. Jewno Azeff — jako kierownik Organizacji Bojowej „es-erów” rosyjskich, był jednocześnie, i to przez długi szereg lat, suto opłacanym przez Departament Policji agentem; organizując zamachy, przy pomocy Borysa Sawinkowa, pozwalał bojowcom na wykonanie jednych, nie dopuszczał zaś do realizacji innych, przygotowywanych, zawiadamiając policję tajną o nich i wskazując jej, kogo, gdzie i kiedy ma aresztować. W tej podwójnej roli był tak znakomicie, wręcz genialnie zakonspirowany, że po zdemaskowaniu go przez Burcewa w r. 1908, nikt w partii „es-erów” wierzyć w to nie chciał, a na Burcewa długo padały gromy protestów, zarzutów, oburzenia!... Azeff nie był wszakże wyjątkiem. Dzieje bohaterskiej „Narodnej Woli” mają swego Diegajewa, który — tkwiąc w ośrodku kierowniczym organizacji — był jednocześnie narzędziem w ręku szefa żandarmów Sudejkina. W latach 1905-1907 w tejże partii „es-erów” w podwójnej roli działał Mikołaj Tatarow. Swoistym wyjątkiem wśród tych zdrajców był Lew Tichomirow, jeden z czołowych działaczy „Narodnej Woli”, który, po pewnym czasie wyrzekłszy się działalności rewolucyjnej, napisał i ogłosił broszurę „Dlaczego przestałem być rewolucjonistą?” — pozwolono mu wrócić z zagranicy do Rosji i był przynajmniej chyba jedynym wśród Rosjan wyjątkiem, który — zrywając z ruchem — po „czystoserdecznej” spowiedzi wobec carskich władz — nikogo z towarzyszy nie zdradził, kto to zresztą wie, czy nie dlatego, iż „Narodnaja Wola”, wtedy rozbita, właściwie już nie istniała.

Dzieje polskich ruchów wyzwoleniczych — i to na całej ich przestrzeni, od Kościuszki do Piłsudskiego — tego nie znają. Nie podważa tej prawdy Oskar Awejde, bo zaczął składać swe zeznania już po upadku ruchu powstańczego r. 1863, Aleksander Zwierzchowski zaś, którego ofiarą był m.in. ławowierny i naiwny Władysław Daniłowski, ojciec Gustawa — i który później, w r. 1877, weszły dla Rosji wśród emigracji polskiej w Turcji, był figurą podrzędną i działającą na peryferyjach ruchu. W latach 1907-1908 z szeregów Organizacji Bojowej PPS wyszło kilku zdrajców-prowokatorów: Wolgemut, Harewicz, Skarżyński, Taranto-

wicz, ale byli to ludzie z najniższych czy, w wypadku Tarantowicza, ze średnich szczebli organizacyjnych, pojawili się też dopiero w okresie załamywania się ruchu, a nawet wynaturzania się, w zwyczajny bandytyzm, wreszcie — zdradzali wskutek straszliwych metod śledczych; dość dla przykładu stwierdzić, że Tarantowicz został już w pierwszym „przesłuchaniu” tak straszliwie skatowany, iż po przyniesieniu go przez żandarmów do celi naliczono na jego ciele aż 75 ran i mniejszych okaleczeń. To były jednak wyjątki. Zresztą, na szczeblach wyższych, nie mówiąc już o ośrodku kierowniczym, wypadków zdrady nie było nigdy. O tym wysokim poziomie etyki wiedziano nie tylko w sferach konspiracji. Wiedziało o tym i uważało to za „rzecz zupełnie naturalną” całe społeczeństwo polskie. Mogło ono w pewnych swych odłamach rewolucjonistów-konspiratorów zwalczać, ale nigdy nie posądzało ich, bo przy swoim polskim rozumieniu tych spraw — nigdy nikogo, nawet przeciwnika ideowego, nie mogło posądzać o zdradę. Słusznie tedy i szkoda, że tak mało i tylko tak bardzo ogólnikowo, pisał Grzymała-Siedlecki, iż posądzenie i oskarżenie Brzozowskiego społeczeństwo polskie uważało za „jakąś potworną omyłkę”. Myli się więc Miłosz, widząc obrońców Brzozowskiego tylko w kilku jednostkach.

WŁ. POBÓG-MALINOWSKI

Jeszcze o „ Dokumentach... ”

(WYJAŚNIENIA PŁK. ST. BIEGAŃSKIEGO*)

1. Podstawa źródłowa i dobór dokumentów

Prof. Sukiennicki uznaje wprawdzie za słuszne cele historyczno-archiwalne określone przez Komitet Redakcyjny, lecz realizację ich uważa za zbyt powierzchowną i jednostronną. Na poparcie swego krytycznego stanowiska przytacza pominięcie przez redaktorów „Documents” kilku wydawnictw sowieckich. Otóż wszystkie wymienione przez niego publikacje były znane Komitetowi, lecz nie zostały uwzględnione, ponieważ albo nie dotyczą okresu objętego zbiorem („Krasnaja Kniga” i „Dokumenty wniezionej polityki SSSR”), albo też nie zawierają istotnych elementów dla polityki zagranicznej („Wniesnija polityka Sowietskogo Sojuza” i

(*) List niniejszy stanowi znaczny skrót (1/4) odpowiedzi Komitetu Redakcyjnego, która została nadesłana w maju br. do red. „Kultury”. Stąd też liczne wywody rzeczowe musiały być skrócone do minimum, a nawet całe ustępy pominięte, jak np. dotyczące przypisów.

„Soviet War Documents”). Ponadto wstęp do omawianego zbioru stwierdza wyraźnie, że ilość akt z okresu sprzed 1939 r. została ograniczona do minimum niezbędnego do zrozumienia dalszych części. Należy również pamiętać o warunkach pracy Komitetu Redakcyjnego. Nie rozporządzał on ani odpowiednimi funduszami na badania archiwalne, ani też dostateczną ilością personelu. Wreszcie zestawienie źródeł odbywało się w trakcie napływu ciągle nowych dokumentów do archiwum Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, który to fakt wymagał równoczesnej rejestracji archiwalnej i kwalifikowania ich do wydawnictwa. Mimo tych niedogodności ilość stwierdzonych dotychczas luk w wydawnictwie sięga zaledwie kilkunastu dokumentów, co należy uznać za sprawdzian poszukiwań źródłowych. Selekcja akt była dyktowana tylko oceną ich wartości historycznej z usilnym uchyleciem elementów personalnych, propagandowych i sensacyjnych.

Zarzuty recenzenta dotyczące pominięcia pewnych dokumentów czy też podania innych — w skrótach, wymagają choćby najkrótszych wyjaśnień. Tak więc nie znalazły się w zbiorze: a) depeza gratulacyjna min. Ribbentropa do prem. Stalina z okazji jego 60-lecia, ponieważ ma znaczenie tylko dla stosunków niemiecko-sowieckich! b) rozmowa dra Retingera z wicemin. Wyszyńskim z 28 sierpnia 1941, gdyż nie dotyczy ówczesnych stosunków polsko-sowieckich; c) sprawa Piwowarczyka, bo przekracza zakres polityki państwowej, nabierając cech prowokacji N.K.W.D.; d) nota amb. Kota do Komis. Spraw Zagr. z 27 września 1941, albowiem nie dochowała się w zbiorach w żadnej postaci.

Prof. Sukiennicki wytyka redakcji nie tylko pominięcie konkretnych dokumentów, ale również zneglizowanie całych grup materiałów, które mają dowieść, że „istotna polityka Kremla, jego plany, cele i zamiary znajdowały swój wcale niedwuznaczny wyraz” w odezwach dowódców sowieckich i w ogłoszeniach oficjalnej prasy. (Kul. 126-7). Powyższa opinia nie bierze pod uwagę, że w wydawnictwach polityczno-archiwalnych wszystkie takie materiały mogą być tylko dopełnieniem dokumentów polityki zagranicznej, a ponadto wymagają specjalnej krytyki i metody. Natomiast stanowią one bardzo cenny i nieraz podstawowy element dla opracowań historycznych.

Redakcja zastosowała metodę wyciągów lub streszczeń pewnych dokumentów z następujących powodów: a) traktat ryski z 1921 r. dotyczy stosunków polsko-sowieckich w latach 1939-1945 tylko w ustępach mówiących o granicy, stosunkach z sąsiadami i per analogiam o amnestii; b) wyświetlenie „nominacji” dra Retingera na chargé d'affaires zostało ograniczone do zakresu nadanej mu funkcji; c) notatka p. Arletta z jego rozmowy z amb. Crippsem w dniu 8 sierpnia 1941 określa dostatecznie wpływ brytyjski na tekst układu z 30 lipca 1941; ponadto aide-mémoire Crippsa z 3 listopada 1941 wyjaśnia rodowód klauzuli o amnestii, czego prof. Sukiennicki nie chciał zauważyć; d) opuszczenie wykazów osób poszukiwanych, załączonych do not ambasady polskiej i odpowiedzi sowieckiej z maja względnie lipca 1942 jest uzasadnione ich długością i drobiazgowością personalii, przy czym wyjaśnienia redakcji charakteryzują kategorie społeczne tych obywateli.

2. Obliczenia podstawy źródłowej wydawnictwa

Prof. Sukiennicki zestawia dokładnie na 3 i pół stronach wykaz źródeł drukowanych z wykazem skrótów użytych przez redakcję, a następnie analizuje pochodzenie dokumentów pod względem zespołów archiwalnych i charakteru przedruku. W porównaniach tych trzeba stwierdzić nieporozumienie co do podstawowych zasad historyczno-archiwalnych przede wszystkim wy-

kaz źródeł drukowanych jest spisem wydawnictw uznanych przez redakcję za wiarygodne i użyteczne dla celów wydawnictwa (stąd też umieszczono „Sprawozdania parlamentarne” W. Jędrzejewicza). Natomiast wykaz skrótów źródeł drukowanych i opracowań obejmuje spis symboli wydawnictw, których użycie ma na celu ekonomię miejsca. Obu tych wykazów nie można zestawiać wspólnie.

Prof. Sukiennicki chciałby obciążyć sumę 245 dokumentów, zawartych w zbiorze, a zaczerpniętych z polskich archiwów w Londynie, o 60 akt, ponieważ te były drukowane w różnych wydawnictwach. Możemy zapewnić prof. Sukiennickiego, że posuwając się po tej drodze mógłby jeszcze zgłównać nawet 100 dokumentów, ponieważ były drukowane w różnych pismach.

Trzeba podkreślić, że w wydawnictwach historyczno-archiwalnych podaje się tylko miejsce przechowywania wybranych dokumentów, bez adnotacji które z nich są pierwodrukami, a które przedrukami, ponieważ w zbiorach takich chodzi głównie o podanie źródeł w brzmieniu zgodnym z najlepszym przekazem rękopisu, maszynopisu czy też druku. Istotą takiej pracy jest poszukiwanie prawdy, której punktem wyjściowym staje się pierwotne źródło. Tylko w razie dokonania skomplikowanej analizy różnych tekstów podaje się jej wyniki z wywodem genetycznym.

Ponadto należy wyjaśnić, że dwu członków Komitetu Redakcyjnego (dr. T. Jankowski i mgr. E. Weese) było w okresie rozpatrywanym urzędnikami M.S.Z. (w dziale sowieckim) i po zakończeniu wojny sporządziło zwód dobrze sobie znanych dokumentów pt. „Polish-Soviet Relations, 1919-1943”. Następnie, jeden członek redakcji (mgr E. Weese) zestawiał w latach 1945-1946 na zlecenie M.S.Z. i w oparciu o oryginały — całość działalności tego resortu pt. „Stosunki polsko-sowieckie, 1939-1945” (540 dokumentów), a wreszcie w r. 1954 dokonał wyboru akt dla specjalnej komisji 83 Kongresu Stanów Zjednoczonych. W ten sposób została zachowana ciągłość i odpowiedzialność urzędowa za autentyczność i wiarygodność kopii zaczerpniętych z wymienionych wydawnictw (razem 6 dokumentów), których oryginałów czy przebitek nie udało się odnaleźć redakcji. W tym znaczeniu akta te posiadają wartość kopii oryginalnych.

Wreszcie trzeba nadmienić, że prof. Sukiennicki używa określeń już nie tylko odbiegających od terminów przyjętych w kołach archiwalnych, ale wręcz błędnych lub dwuznacznych, jak np.: „pierwsze źródła”, czy też „podstawowe” zamiast „źródła bezpośrednie” lub „pierwotne”; dalej „źródła materiałowe” zamiast „źródła archiwalne i drukowane”; następnie „odpisy bezpośrednio przez kalkę dokonane” zamiast „przebitki”; wreszcie — przeciwstawia pojęciu dokumentu oryginalnego określenie przedruku. W ten sposób stwarza zamęt w ustalaniu charakteru źródeł.

3. Wyjaśnienia faktów w wydawnictwach archiwalno-historycznych

Prof. Sukiennicki zarzuca redakcji, że nie określiła decydująco czy w latach 1939-1941 istniał stan wojny między Polską a Związkiem Sowieckim oraz jaki był przebieg tzw. „wyborów” w październiku 1939. Obiekcje powyższe byłyby zapewne słuszne, gdyby chodziło o opracowanie historyczne, lecz w żadnym wypadku nie mogą dotyczyć publikacji archiwalnej. Podstawową zasadą redakcji przy doborze dokumentów była dążność, aby same akta przemówiły do czytelnika swą wielostronną treścią, a w wypadkach ich wyraźnej niepełności, aby dać tylko niezbędne informacje w przypisach. W myśl tych wytycznych recenzent mógł znaleźć elementy do określenia stosunków politycznych między Związkiem Sowieckim a Polską w takich

dokumentach jak: rozmowa amb. Grzybowskiego z wicemin. Potiemkinem w nocy 16-17 września 1939, dalej protest rządu polskiego z 21 i 27 października 1939 przeciw agresji i okupacji ziem polskich, następnie wymiana listów i rozmowa min. Zaleskiego z lordem Halifaxem 27 października i 14 grudnia 1940, wreszcie okólnik gen. Sikorskiego do placówek zagranicznych z 19 listopada 1942. (Doc., str. 88, 64, 97-100, 575 i 455/6).

Drugie „niewyjaśnione” zagadnienie stanowią tzw. „wybory” i deportacje ludności do ZSSR. Współczesna ich dokumentacja była bardzo szczupła i niedokładna. Stan ten potwierdza w pełni opracowanie M.S.Z. pt. „L'Occupation allemande et soviétique de la Pologne”, które zostało rozesłane 3 maja 1941 do placówek dyplomatycznych w celach propagandowo-humanitarnych. Dopiero pobyt ambasady polskiej w ZSSR i formowanie tam wojska dostarczyły wiele materiału historycznego do lat 1939-1940, lecz uniemożliwiały wypominania zbrodniczej działalności gospodarzy w korespondencji dyplomatycznej. Poruszenie tej sprawy na tym miejscu wynika z metody polemiki prof. Sukiennickiego. Oto bowiem ambasada polska w Moskwie w końcowym etapie swych prac (początek 1943) sporządziła zestaw urzędowych odpisów dokumentów i wyciągów prasowych, obejmujących zarządzenia sowieckie o „wyborach”, wcieleniu polskich ziem wschodnich do ZSSR i sprawy obywatelstwa. Z kopii tych akt i materiałów korzystał m.in. właśnie prof. Sukiennicki przy pisaniu swego zestawienia o tzw. „wyborach” i aneksji ziem wschodnich przez Związek Sowiecki (relacja mgra E. Weesego). Min. Spraw Kongresowych wydało powyższe opracowanie w kilku wersjach na powielaczu w ciągu jesieni 1943 r. Obecnie prof. Sukiennicki stwierdza, że pracował „w oparciu wyłącznie niemal o dokumenty i oficjalne materiały sowieckie”, lecz redakcję „Documents” korzystającą z pierwotnych tekstów tych samych akt posiada o „cytowanie z drugiej czy trzeciej ręki”. Argumentację taką pozostawiamy ocenie czytelników pod względem moralnym, a co do strony źródłowej stwierdzamy w całej rozciągłości, że jest gołosłowna.

W dalszych rozważaniach prof. Sukiennicki wypomina redakcji, że we wstępie swym nie zaliczyła sprawy „sowiecko-polskiego sporu terytorialnego” do kluczowych problemów badań. Ponieważ zastrzeżenie krytyka dotyczy tylko wstępu o charakterze wywodów historycznych, a nie całości zbioru, przeto (pozwolimy sobie na wielki skrót myślowy), powołamy się na dowody zawarte w następujących dokumentach: nr 178, 186, 222, przypis do nr. 228 i 295. Wszystkie one świadczą, że dysputy dyplomatyczne nad rozszerzeniem ZSSR do ziem wschodnich Rzpltej zostały zawieszony w początku lutego 1942 i stan ten trwał do stycznia 1943. W tym czasie dążenia agresji sowieckiej przesunęły się na pole przynależności państwowej mieszkańców ziem wschodnich i na kierownictwo systemem opieki społecznej nad wygnancami, które to sprawy są potraktowane w zbiorze jako zagadnienia kluczowe. Dopiero od połowy stycznia 1943 wypłynęły z powrotem na jaw zagadnienia terytorialne jako czołowe problemy polityki polskiej, o czym będzie mowa w II tomie wydawnictwa.

Drugi zarzut zasadniczy prof. Sukiennickiego dotyczy pominięcia przez redakcję zmian w konstytucji sowieckiej, „zatwierdzających” przynależność ziem wschodnich Rzpltej do ZSSR. Odpowiedź na to brzmi: W zbiorze umieszczono wszelkie akta o znaczeniu międzynarodowym od zaboru wschodniej części Polski aż do planów dalszej agresji krajów sąsiednich. Ogłoszenie przez władze sowieckie dwu — a nawet trzykrotnych zmian w ciągu półroczu 1940 w konstytucji ZSSR nie stworzyło casusu w polityce międzynarodowej, a w życiu wewnętrznym Związku odegrało rolę tylko prawno-administracyjną. Odbicie tego stanu rzeczy na obszarze „Litwy” mogłoby znaleźć wyraz co najwyżej w aneksji.

4. Oprawa wydawnictwa i wnioski

Pozostaje do wyjaśnienia oprawa wydawnictwa, a więc indeks osób, rzeczy i nazw geograficznych (lecz tych ostatnich tylko o tyle, o ile łączą się z problematyką polityczną). Przy tytułach delegatów opieki społecznej trzeba pamiętać, że redakcja określiła je wedle rzeczywiście spełnianych wówczas funkcji, a nie nominalnych stopni i schematyzmów służbowych. Postulat recenzenta, aby wymieniać przynależność służbową czy sytuację rodzinną personae dramatis mógłby być właściwy w stosunku do encyklopedii lub almanachów poszczególnych zawodów, lecz nie w zwykłym indeksie dokumentów. Wśród wyliczania domniemyanych błędów krytyk dochodzi do śmieszności, zaprzeczając np. jakoby p. Puszkina nie występował wówczas w charakterze tłumacza, kiedy jest tak wymieniony w wiarygodnym dokumencie. W sumie, należałoby życzyć sobie, aby wszystkie poważne wydawnictwa polskie miały wykazy osób i rzeczy na tym poziomie co zbiór „Documents”. Krytyce prof. Sukiennickiego należy przeciwstawić 30 recenzji dodatnio oceniających publikację, a wśród nich takie, jak np. P.A. Reynolds'a w „Slavonic and East European Review” (grudzień 1961) czy też R. Morgana w „Tribune” (w marcu 1961), którzy szczególnie podnoszą wysoki poziom aparatu naukowego wydawnictwa. Tylko p. Sukiennicki dopatrywał się w książce samych niedopatrzeń i kluczeń po manowcach.

Przy ogólnym spojrzeniu na recenzję rzuca się w oczy sposób podejścia jej autora do sprawy. Jest to skłonność do hiperkrytycyzmu formalnego, który przejawia się w zastosowaniu oderwanych pojęć rozumowych do zmienionych treści dziejowych, bez przyswojenia sobie niezbędnych zasobu faktów i metody historycznej. W ten sposób rzeczywistość życia społecznego ściera się ciągle z oszłą doktryną i podejrzliwością śledczą. W sumie recenzent daje o publikacji wyobrażenie całkowicie opaczne.

Stanisław BIEGAŃSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

POGGIOLI (Renato). *Rozanov*. w Serii Studies in Modern European Literature and Thought. Str. 104. Praca obejmuje noty bibliograficzne i biograficzne. (Wyd. Boves & Boves, London, 1962, cena 10/6).

Św. TOMASZ Z AKWINU. *Suma Teologiczna*. T. 24. Tajemnica wcielenia słowa Bożego. (3

qu. 1-15). Przeł. X. St. Piotrowicz. Str. 300. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, wrzesień, 1962. Londyn).

MARSHALL (Bruce). *Proboszcz z Ars*. Opowieść. Przeł. z ang. T. Borowicz. Biblioteka „Gazety Niedzielnej”. Str. 92. (Nakł. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, sierpień, 1962, Londyn, cena 6/6).

- DEBICKI (Roman). *Foreign Policy of Poland 1919-1939. From the Rebirth of the Polish Republic to World War II.* Przedmowa Oskara Haleckiego. Str. 192. Praca zawiera noty, bibliografię wykorzystanych prac oraz indeks. (Wyd. Frederick A. Praeger, New York, Nov. 1962, cena dol. 5,50).
- PEERY (Rezső). *Réforme et révolution en Pannonie.* Str. 89. Etudes sur la révolution hongroise. Vol. I. (Wyd. Institut Imre Nagy de Sciences Politiques, Bruksela, 1962. Cena 50 fr.b.).
- Dissonant Voices in Soviet Literature.* A new selection of stories, essays and poems showing the other face of post-revolutionary Russian writing. Edited by Patricia BLAKE and Max HAYWARD. Obejmuje przekłady z Pasternaka, Zamiatina, Szklowskiego, Jesienina, Arzaka, Pausowskiego, Babla, Grina, Pilniaka, Erenburga, Neimana, Zoszczenki, Kassila, Czukowskiego, Karanarowa, Kozakowa, Tendriakowa, Jewtuszenki i Poliakowa. Str. 308. (Wyd. Pantheon Books, New York, listopad, 1962, cena dol. 5,95).
- ROSTWOROWSKI (Jan). *Opatowa Anna.* Trzy ballady. Str. 43 i 3 nlb. Tłoczono w Oficynie Stanisława Gliwy. (Nakł. „Wiadomości”, Londyn, październik, 1962).
- History and Hope.* Progress in Freedom. The Berlin Conference of 1960. Editet by K.A. Jeleński with a Postscript by Michael Polanyi. Str. 208. Praca zawiera Noty biograficzne i Indeks. (Wyd. Routledge & Kegan Paul, London, 1962, cena 25 sh.).
- SUBOTIN (Stojan). *Dwa romana Teodora Tomasza Jeza iz srbske prošlosti.* Resumé. Extrait du „Recueil des Travaux de l'histoire de la Literature” (Beograd, 1962).
- TERTZ (Abram). *The trial begins.* Tłumaczenie na język Marathi. (Wyd. Parchure Prakash, Bombay, czerwiec, 1962).
- SAKOWSKI (Juliusz). *Asy i Damy.* Portrety z pamięci. Str. 324 i 4 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu (1962).
- BUCZEWSKI Zenon. *Harcerskie Wspomnienia — Szwecja — 1948-1952.* Str. 67 i VIII. Powielacz. (Wyd. w Kitimat, Kanada, 1962).
- Assassinés par Moscou — Petlura, Konovaletz — Bandera.* Str. 77 i 3 nlb. (Wyd. Editions Ukrainiennes, Monachium, 1962).
- WINOWSKA (Maria). *Kto mi lzy powróci?* Wyd. nowe przejrane. Str. 137 i 9 nlb. Fotografie. Tom 16 Serii Niebieskiej „Biblioteki Polskiej”. (Wyd. Kat. Ośr. Wyd. „Veritas”, Londyn, październik 1962, cena 18/-).
- Polska Prasa Podziemna (1931-1945)* w zbiorach londyńskich. Zestawienie pozycji, których nie obejmuje „Katalog Polskiej Prasy Konspiracyjnej 1939-1945” wydany w kraju w 1962 r. w opr. Dobroszyckiego. Opr. Józef Garliński. Str. 9. Powielacz. (Wyd. Biblioteka Polska, Londyn, 1962, cena 1/-).
- MORAWSKI (Kajetan). *Wspólna droga.* Wspomnienia. Str. 210 i 5 nlb. (Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu (1962).
- POBÓG-MALINOWSKI (Władysław). *Najnowsza Historia Polityczna Polski.* Drugie wydanie przejrane, poprawione i uzupełnione. T.I-szy 1864-1918. Zeszyt 4-5. Str. 289-480. (Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1962).
- L'avant-projet de la Constitution de la République Socialiste Federative de Yougoslavie.* Str. 60. (Wyd. Union des Associations de Juristes de Yougoslavie, Beograd, 1962).
- Gömöri (György). *Les pays d'Asie et le Socialisme.* (Extrait de „Etudes” N° 4/1962, Bruxelles).

Listy do Redakcji

Londyn, dn. 15 października 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę powiadomić Czytelników „Kultury”, że Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie przygotowuje wydanie moich opowiadań, które drukowane były swego czasu w „Kontynentach”, „Kulturze” i „Twórczości”. Zbiór który poprzedza przedmowa Witolda Gombrowicza, nosi tytuł „Części mniejszej całości”.

Książka ukaże się na początku przyszłego roku i kosztować będzie 5,25 NF (\$ 1,75 lub 9/6 d.). Do 1 stycznia 1963 trwać jednak będzie przedpłata, kiedy książkę zamawiać można w cenie 3,50 NF (\$ 1,00 lub 5/6 d.). Koszta przesyłki pokryte będą przeze mnie. Zainteresowani Czytelnicy proszeni są o kierowanie zamówień wraz z należnością na mój adres: 55 Sandringham Road, London N.W. 11, England,

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Adam CZERNIAWSKI

Ottawa, 10 listopada 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Zgadzam się z zasadniczymi tezami artykułu p. W.A. Zbyszewskiego („Wiadomości” z 28 paźdz. 1962) o konieczności ścisłej współpracy Francji i Niemiec, dla przyszłości Europy, a tym samym i Polski.

Nie zgadzam się natomiast z jego oceną paktu o nieagresji zawartego w styczniu 1934 r. przez Polskę z Niemcami i nazwanie go „gierką” polityczną min. Becka.

Marszałek Piłsudski był inicjatorem i motorem działania na rzecz porozumienia polsko-niemieckiego, nie tylko wbrew rodzinnej opozycji (w tym dość licznych generałów WP) ale i opinii Francji i Wielkiej Brytanii.

Wiem z ust premiera J. Jędrzejewicza (na emigracji w Jerozolimie) i min. J. Becka, natychmiast po jego rozmowie z Marszałkiem (w Belwedrze), o wiele miesięcy trwającej, mozolnej pracy Piłsudskiego, badającego sytuację wewnętrzną Niemiec pod względem wojskowym, politycznym i gospodarczym. (Sądzę że p. Pobóg Malinowski mógłby wiele na temat ten powiedzieć).

Jako przyczynek do zamierzeń znormalizowania stosunków polsko-niemieckich przytaczam wypowiedź Marszałka Piłsudskiego, która w różnym czasie powiedziana była do, kończącego swoje urzędowanie jako premiera, p. J. Jędrzejewicza i do ówczesnego ministra spraw zagr. J. Becka:

„...chcą wojny z Niemcami i to nawet ci głupi niedouczeni i leniwi generałowie. Nic nie rozumieją. Gdzie mam tę wojnę prowadzić, na Saskim placu?“. Ciągłe powracał do tego: „generałowie. Nie ucą się, nie umieją nic, a wojny się im zachciewa“.

Tak, Marszałek Piłsudski był już dotknięty śmiertelną chorobą, ale to nie miało najmniejszego wpływu na jego śmiałe i realnie pomyślane plany. Nie zabrakło mu ani sił ani woli, by plany te zrealizować. Min. Beck był idealnym i wiernym wykonawcą zamierzeń swego Mistrza“.

Łączę wyrazy szacunku.

W. T. DRYMMER

Toronto, 28.10.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie miałem zamiaru prowadzenia polemiki na temat związany z moim listem do Pana w sprawie wstępu do książki p. J. Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi“, pewne okoliczności zmuszają mnie jednak do tego. W liście wyraziłem jedynie moje osobiste (tak zresztą jak wielu innych) poglądy i zdanie na temat zbyt wylewnej miłości do Rosjan, nie wdając się w żadne wywody polityczne co do wzajemnego stosunku obu narodów obecnie, czy na przyszłość. Z tego też powodu listy panów Pawlikowskiego i Wędziagolskiego przysłowiowo „trafiają kulą w plot“, muszę jednak dodać do nich parę komentarzy z mojej strony.

Obydwa ci panowie w swoich listach odsądzają mnie od wszelkiego prawa wyrażania opinii, czy krytyki w sprawie którą oni widocznie uważają za „tabu“ o ile się nie jest ich zdania, określając moje wywody jako „nawne“, „nacjonalistyczne“ i odsądzając w ogóle niemal od „czci i wiary“. Otóż nie byłem nigdy czynnym politykiem, nie zabierałem głosu w sprawach dotyczących się polityki zagranicznej naszego narodu, pozostawiając to ludziom bardziej ode mnie w tych sprawach kompetentnym (jak widocznie obaj powyżej wymienieni panowie). Dlatego też bardzo żałuję pana Wędziagolskiego że z takim mozolem szukał jakichś głębszych motywów politycznych w moim liście, a których tam nie ma, gdyż jego celem było jedynie stwierdzenie, że „miłość“ do narodu rosyjskiego wyrażona przez p. Czapskiego była według mnie i innych mnie podobnych „nawniaków“, czy też „nacjonalistów“ posunięta zbyt daleko. Ale do tego mamy prawo, choć to bardzo nie w smak p. Wędziagolskiemu, który określa tę krytykę jako „dziwaczne sentymenty“, bez „krzty jakiegokolwiek myśli społecznej

i intelektualnej“, stanowiące bardzo szkodliwe „wysiaki czy wypociny“ tej kategorii co ja Polaków.

Konieczności natury politycznej w tym wypadku nie mają nic wspólnego z sympatiami, czy miłością bliźniego. Nieszczęśliwe położenie geograficzne Polski zmusza nas niestety do tego, żeby ułożyć jakoś sposób współżycia pokojowego z jednym z dwóch silniejszych od nas sąsiadów. Jest to konieczność polityczna, której nigdy nie negowałem. Protestowałem jedynie i nadal protestuję przeciwko temu aby Rosjan natychmiast uznawać za naszych „braci“ i rzucać im się w objęcia z entuzjazmem. Czy to ma być może praktyczne zastosowanie powiedzenia że *sljutsia wsie slawianskije riekı w Russkom morie*? Widocznie powiedzenie to jest dla p. Wędziagolskiego miłsze i łatwiejsze do przelknięcia niż wiersz Puszkina „Oszczercom Rosji“. Bo przecież do rozpatrzenia jeszcze i otwarta pozostaje kwestia komu mamy narzucać się z braterskimi uczuciami: Rosjanom czy Niemcom?

Z racji swojego położenia geograficznego Polska miała zawsze dwie orientacje: prorosyjską i proniemiecką. Ja osobiście jako 100-procentowy „Koroniarz“ mam wyłącznie orientację „propolską“, ale rozumiem, iż panowie Pawlikowski i Wędziagolski, jeden chodząc do szkół w Petersburgu, a drugi poświęciwszy kilkadziesiąt lat dla idei pokojowego współżycia z Rosją, mogą mieć orientację prorosyjską. Ale tak, jak wiemy, było już i za króla Stasia i byłoby dobrze, aby obaj ci panowie zechcieli przyjąć do wiadomości że inni Polacy mogą mieć różne od nich zdanie, a tych, jak sam p. Czapski powiada, może być „znaczna ilość“.

Polityka może wymagać, iż będziemy musieli współżyć z Rosjanami na stopie dobrosąsiedzkiej, ale to nie znaczy że musimy od razu ich „kochać“. Można mieć dobre stosunki sąsiedzkie bez miłosnego rzucania się w ramiona owego sąsiada. Pan Pawlikowski zarzuca mi że wypominając Rosjanom różne ich zbrodnie w stosunku do narodu polskiego zapominam o zbrodniach polskich do innych narodów. Zapytam, co tu ma komin do wiatraka? Czy ewentualne przez Polaków popełnione zbrodnie mają uniewinnić i wytłumaczyć zbrodnie rosyjskie? To już zbyt daleko posunięte uczucie braterstwa w stosunku do rosyjskiego narodu.

Pan Wędziagolski (o którym nie wiem kto zacz) pisząc o „szarzy bez rozpoznania“ i o „strzelaniu w łeb pod ujeżdżalnią“, modyfikując przytoczoną w moim liście starą piosnkę z 1831 roku, stara się w sposób złośliwy i niewyszukany insynuować moją niekompetencję w sprawach natury politycznej. Nie kryje się bynajmniej z tym że jestem polskim nacjonalistą (widocznie w oczach p. Wędziagolskiego jest to grzech à la „nazi“ czy „faszysta“) i że kiedyś przed laty byłem ulanem czy szwoleżerem, ale to nie ma nic wspólnego z tym, że mam prawo aby wyrazić moje osobiste zdanie (które jak p. Wędziagolski pisze jakoby „nikogo nic nie obchodzi“) co do stosunku uczuciowego do Rosjan. Miłość jest uczuciem, którego nie można narzucić, czy też wymusić. Nawet w małżeństwie można wymagać lojalności, ale nie można małżonków zmusić do wzajemnej miłości, o ile jej nie mają. Tym bardziej nie można narzucać miłości z powodu „racji politycznej“, która jest zmienna i wciąż podlega fluktuacji.

Podkreślam jeszcze raz, że choć uznaję politycznie ewentualną konieczność naszego dobrowolnego współżycia sąsiedzkiego z Rosjanami, to żadne wywody natury politycznej nie przekonają mnie, tak jak i wielu innych o konieczności „miłości“ do nich dlatego tylko, że znalazło się na emigracji kilku „dobrych“ Rosjan. Osobiście zbyt blisko otarłem się o lasek Katyński, aby z wylewnym uczuciem braterskiej miłości ścisnąć ich rękę, jak do tego namawiają nas wyżej wspomniani panowie. Możliwe, iż jest to „pozbawione politycznej myśli twórczej“ lub też „nacjonalistycznym dziwacznym sentymentalizmem“...

Można, gdy tego wymaga polska racja stanu, dążyć do zgody sąsiedzkiej. Jest to słuszne i mądre. Ale nigdy nie zgodzę się z narzuconą mi „miłością” do kogoś, kogo jako naród nie lubimy od wielu już wieków. To małżeństwo może być tylko z rozsądku, a na pewno nigdy z miłości.

Tak zresztą mówi KRAJ, który jest pod tym względem najbardziej miarodajnym i najlepszym tej myśli wyrazicielem.

Interes interesem, ale miłość?... Przesada moi panowie.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Jerzy GROBICKI

New York, 10 listopada 1962 r.

Drogi Redaktorze, a właściwie Drodzy Czytelnicy „Kultury”!

W listach do redakcji chyba nigdy dotychczas nie widziałam listów pochwalnych — może więc ten, skierowany do Czytelników, nie pójdzie do kosza, a zostanie ogłoszony. Chciałbym bowiem zwrócić się do wszystkich, byśmy z wdzięczności dla wydawnictwa za świetny miesięcznik, „Zeszyty Historyczne” i wielką ilość ciekawych książek, pozyskali nowych prenumeratorów.

Każdy z nas z pewnością może wśród swych przyjaciół pozyskać przynajmniej jednego nowego prenumeratora w 1963 r. — na 15-lecie „Kultury”.

Będzie to na pewno miły prezent i najlepszy dowód uznania dla pracy redakcji.

Serdeczne pozdrowienia łączę.

Aniela MIECZYŚLAWSKA

Londyn, 13 listopada 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W niezwykle ciekawych „Notatkach z czasów wojny” („Kultura” nr 181) p. Zbigniew Grabowski napisał m.in.:

„...Potem przy radio na Gower Street, gdzie z Czarnomskim mamy wspólne biuro — ja dla „IKC”, on dla agencji Kępcicza z Warszawy...”.

Była przed wojną w Warszawie agencja Kwiatkowskiego, natomiast nie było agencji Kępcicza. Pan Bauer-Czarnomski był w Londynie korespondentem „Kurieru Warszawskiego” i Agencji Telegraficznej Express (ATE). Ta ostatnia należała do naszego MSZ-tu. Pan Klemens Dunin-Kępcicz, współpracownik „IKC”, bodajże pod koniec 1937 r. został upatrzony przez Wydział Prasowy MSZ-tu na naczelnego redaktora ATE.

Pozwalam sobie zabierać Pański cenny czas i miejsce w „Kulturze” prostowaniem tej drobnej nieścisłości p. Grabowskiego jedynie dlatego, że

w tymże numerze Pańskiego miesięcznika inny autor, p. XYZ w artykule pt. „Od Kępcicza do Jaszńskiego” przedstawia p. Kępcicza jako nie-malże komunistę-stalinowca.

Nieuświadomiony czytelnik, kojarząc to co napisał p. XYZ z wspominkami p. Grabowskiego może sobie postawić pytanie, co też znaczny Bauer-Czarnomski robił w agencji stalinowca-Kępcicza? Nb., jako paroletni członek redakcji ATE, korzystam z okazji aby zapewnić p. XYZ, że przedwojenny p. Klemens Dunin-Kępcicz był ujmującym wzorowym sanatorium. Nikt z jego ówczesnych protektorów w najkoszmarniejszej malignie alkoholowej nie był w stanie przewidzieć, że sympatyczny pupil z „IKC”, a następnie z ATE wylądował w komunistycznej ambasadzie warszawskiej w New Delhi (gdzie go zresztą już nie ma).

Wracając do pasjonujących „Notatek” p. Grabowskiego, wzruszył mnie taki fragment:

„...Ale są i tacy, co jak Ksawery Pruszyński są zdania, że tam (w kraju, dop. mój) jest nasze miejsce. Szczuje się na niego i uprawia przeciwko niemu niską kampanię. Obrzydzenie...”.

Tuż przed omawianą „Kulturą” przeczytałem nr warszawskiego kwartalnika „Z pola walki” (dla niewtajemniczonych: organ Zakładu Historii Partii przy KC PZPR). W numerze tym jest artykuł pt. „Rozgłoszenia im. T. Kościuszki”. Autor p. Józef Kowalski, dzisiaj warszawski dygnitarz partyjny, a podczas minionej wojny pracownik kominternowskiej radiostacji im. T. Kościuszki pisze tak:

„...Zresztą wystarczyło przyjrzeć się niektórym oficerom armii Andersa, spacerującym wówczas w eleganckich mundurach, nieraz z „damami” po ulicach Kujbyszewa, i posłuchać ich pogardliwych uwag o wszystkim, co radzieckie, by odczuć swoistego ducha sanacyjnej kasty oficerskiej, którą tchnęła niemała część tej publiczki. Pruszyński (autor spotykał go w zimie 1942 r. w kujbyszewskim mieszkaniu komunistki polskiej Haliny Koszutskiej, dop. mój) był zupełnie inny. Był ujmujący nie tylko przez swój takt i kulturę, ale mówił z wyraźną sympatią o walce Armii Czerwonej i wyczuwało się w nim szczerego zwolennika przyjaźni polsko-radzieckiej...”.

Czyż nie jest wzruszająca ta sympatyczna zbieżność dwu autorów piszących o Ksawerym Pruszyńskim? Pana Zbigniewa Grabowskiego z sekcji polskiej BBC i pana Józefa Kowalskiego, również z radiowej sekcji polskiej Kominternu.

Proszę przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, życzliwe pozdrowienia.

Włodzimierz POPLAWSKI

Melbourne, 15.X.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nawiązując do listów pp. Ciołkosza i Gniatczyńskiego odnośnie znanej w historii Oświęcimia masowej rozwalki w jesieni 1943 r. — w związku ze „sprawą Gilewicza” — pragnę dodać słów kilka.

Chodzi o osobę Jana Mosdorfa znanego działacza społeczno-politycznego z okresu przedwojennego z Warszawy. Z Mosdorffem zetknąłem się na terenie szpitala oświęcimskiego, w którym obaj pracowaliśmy.

Razu pewnego w trakcie rozmowy powiedział mi Mosdorf, że krótko przed aresztowaniem wróżyła mu cyganka, że będzie żyć w odosobnieniu i, że się już więcej nie będzie zajmować pracą społeczną. W tym miejscu Mosdorf się zadumał i dodał, że o ile wyjdzie z obozu to postanowił skończyć z pracą społeczną i poświęcić się pracy naukowej.

W jakieś trzy tygodnie po powyższej rozmowie spotkał mnie na terenie szpitala osławiony renegat Olpiński znany z okresu sprzed wojny jako prowadzący audycje w języku polskim pt. „Czy to nie jest dziwne” w radiostacji wrocławskiej — a w Oświęcimiu szpicel oddziału politycznego Gestapo, i bez jakichkolwiek wstępnych słów zaczął mnie wypytywać co sądzę, między innymi o Mosdorfie. Przyznam się, że zimno mi się zrobiło po tego rodzaju pytaniu, nie rokującym nic dobrego.

W kilka dni potem aresztowano (!) w obozie około 80 więźniów (w tym Mosdorfa) i odprowadzono ich do bunkra. Przesłuchiwania trwały około trzech tygodni po czym około dwudziestu więźniów zwolniono na obóz resztę zaś (w tym Mosdorfa) rozstrzelano.

Cyganka prawdę powiedziała.

Olpiński w niedługi czas potem zmarł w szpitalu na tyfus plamisty... niestety trochę późno.

W dniu rozwalki wieczorem, władze obozowe otwały dla uciechy więźniów (Niemcy i Polacy wyłącznie) — dom publiczny.

Z wyrazami szacunku i poważania.

Tadeusz STANKO

**REDAKCJA „KULTURY” SKŁADA SWOIM
PRENUMERATOROM I CZYTELNIKOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA ŚWIĄTECZNE
I NOWOROCZNE.**

Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1962

Spis autorów

A. C., ARŻAK Mikołaj, AXEL Marian. — BANACH Kazimierz, BAYBUZ Józef, BERLIŃCZYK, BIEGAŃSKI Stanisław, BIENKOWSKA Danuta Irena, BOBKOWSKI Andrzej, BOCHENSKI I.M., O.P., BORNHOLTZ Tadeusz, BÓBR-TYLINGO Stanisław. — CHABROWSKI Waław, CHCIUK Andrzej, CIOŁKOSZ Adam, CZAPSKA Maria, CZAPSKI Józef, CZAYKOWSKI Bogdan, CZUCHNOWSKI Marian. — DĄBROWA A.A., DRYMMER W.T. — ERDMAN Marta. — FALK Wanda, FISCHLOWITZ Stanisław, FURATYK Leon. — GAMARNIKOW Michał, GIEŁCZYŃSKI Stefan, GNIATCZYŃSKI Wojciech, GOMBROWICZ Witold, GORLICH Joachim Georg, GRABOWSKI Zbigniew, GRASS Günter, GROBICKI Jerzy, GRODEK Bogusław, GROSS Feliks. — HAUPT Zygmunt, HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw, HERTZ Aleksander, HERTZ Zofia, HEYDENKORN Benedykt, HŁASKO Marek, HOFFMAN Jakub, HOLCMAN Jan, HORAK Stefan, HOSTOWIEC Paweł. — IWANIUK Waław, IWAŃSKA ALICJA. — JANKOWSKI Paweł, JEDLICKI Witold, JELEŃSKI K.A., JENNE Józef, J.Ł., JORDAN Zbigniew, JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga. — KALINOWSKI Franciszek, KALINOWSKI Piotr, KAMIŃSKI Szymon, KAWAŁKOWSKI Aleksander, KISIELEWSKI Stefan, KOMARNICKI Tytus, KORBONSKI Stefan, KOWALCZEWSKI Ignacy, KOZŁOWSKI S.W., KREM., KRYSZYŃSKI M.A., KUKIEL Marian, KUNCE Stefan. — LANGNAS Izaak A., LASKY Melvin J., LEDNICKI Waław, LEŚNIEWICZ J.S., LEWARTOWSKI Jan, LEWICKYJ Borys, LONDYŃCZYK. — ŁĄBĘDŹ Leopold, ŁOBODOWSKI Józef. — MACKIEWICZ Józef, MARKIEWICZ Zygmunt, MERTON Thomas, MIECZKOWSKI Bogdan, MIECZYŚLAWSKA Aniela, MIEROSZEWSKI Juliusz, MIŁOSZ Czesław, MORAWSKI Maciej, MOSTWIN Danuta. — NASIELSKI Adam, NIEMOJOWSKI Jerzy, NOWAK Jan, NOWA-

KOWSKI Tadeusz. — OKULICZ Kazimierz, ORZESZKOWSKA Maria, OŚMIAŁOWSKI Marian. — PASZKOWSKI Lech, PAWLICKOWSKI Michał K., PIŁSUDSKI Rowmund, POBÓG-MALINOWSKI Władysław, POLAKIEWICZ Adam, POPLAWSKI Włodzimierz, PRZYŁUSKI Bronisław. — RAWICZ-SZCZERBO Antoni, REDAKCJA. — SAMBOR Michał, SIEMASZKO Zbigniew Sebastian, SILONE Ignazio, SKIBA Wiktor, SKWARCZYŃSKI Stanisław, SŁAWOJ SKŁADKOWSKI Felicjan, SNORES Teresa, SOJKA WOJCIECH, ks., SOKOŁOWSKI Jan O., SOROKA Wacław, STANKO Tadeusz, SUKIENNICKI Wiktor, SZTERNAL Kazimierz, SZUBSKA Barbara. SZYGOWSKI Juliusz, SZYMAŃSKI Leszek. — SMIEJA Florian. — TERLECKI Tymon, TOMASZEWSKI Tadeusz, TORUŃCZYK Franciszka, TURKIEWICZ Zygmunt. — VINCENZ Stanisław. — WANDYCZ Piotr, WAŃKOWICZ Melchior, WASUNG Aleksander, WĘDZIAGOLSKI Karol, WIENIEWSKI Ignacy, WIERZYŃSKI Kazimierz, WŁODKOWSKI W.K. — (X.Y.Z.). — ZADEMSKI Kamil, ZAREMBA Paweł, Z. H., — ŻBIK-KOŁACIŃSKI Władysław.

Artykuły polityczne, społeczne i gospodarcze

CZAPSKA Maria: *Próby zbliżenia* (1/171-2/172).
 CZAPSKI Józef: *Znów Katyń* (3/173).
 FISCHLOWITZ Stanisław: *Ameryka Południowa* (1/171-2/172).
 — *Postscriptum* (7/177-8/178).
 — *PRL a Ameryka Łacińska* (4/174).
 HERTZ Aleksander: *Konfrontacje* (7/177-8/178).
 JELEŃSKI K.A.: *Bezdroża komunizmu* (5/175).
 — *Nowe oblicze Marksa i Malthusa* (9/179).
 JORDAN Zbigniew: *Rewizjonizm polski* (dok.) (1/171-2/172).
 KAWAŁKOWSKI Aleksander: *Alternatywa* (9/179).
 — *Europa* (1/171-2/172).
 LONDYŃCZYK: *Kronika angielska* (1/171-2/172, 3/173, 4/174, 5/175, 6/176, 7/177-8/178, 9/179, 10/180, 11/181, 12/182).
 ŁĄBĘDŹ Leopold: *Deutscher — prorok i historyk* (4/174, 5/175).
 MIECZKOWSKI Bogdan: *Człowiek warunkiem postępu ekonomicznego* (7/177-8/178).
 MIEROSZEWSKI Juliusz: *Antyklimatek* (10/180).
 — *Liberation, containment i co dalej?* (6/176).
 — *Nad grobem „Ostpolitik”* (12/182).
 — *Na linii Szczecin — Triest* (4/174).
 — *Na Rubikonie nie ma mostu* (9/179).
 — *Na ruinach „przedmurza”* (5/175).
 — *Rozmowa z Anonimem* (11/181).
 — *Wizyta u Luboniów* (3/173).
 — *Wybór* (7/177-8/178).
 — *Zaduma noworoczna* (1/171-2/172).

Artykuły i eseje z dziedziny literatury, sztuki i inne

BORNHOLTZ Tadeusz: *500.000 lat dziejów ludzkich* (4/174).
 CZAPSKA Maria: *Na Polnej 40* (6/176).
 GOMBROWICZ Witold: *Fragment z dziennika* (1/172-2/172, 6/176, 10/180, 12/182).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw: *Izaak Babel* (1/171-2/172).
 — *Szkoła dyktatorów* (10/180).
 — *Z zeszytu lektury* (11/181).
 HOSTOWIEC Paweł: *Notatnik niepiesznego przechodnia* (1/171-2/172, 3/173, 7/177-8/178, 9/179).
 IWANIUK Wacław: *Notatnik poetycki* (10/180, 11/181).
 IWAŃSKA Alicja: *Meksyk* (5/175), 6/176).
 JELEŃSKI K.A.: *Aktualność Marii Dąbrowskiej* (6/176).
 LANGNAS Izaak A. *Pielgrzymka do źródeł* (10/180).
 MIŁOSZ Czesław: *O wstydzie i agresji* (7/177-8/178).
 — *Zaczynając od Klamath* (6/176).
 ZAREMBA Paweł: *Kilka uwag o historii* (11/181).

Powieść, nowele, fragmenty powieściowe, wspomnienia

ARŻAK Mikołaj: *Człowiek z Minap'u* (9/179), przeł. Leon Furatyk.
 — *Mówi Moskwa* (1/171-2/172), przeł. Józef Łobodowski.
 BOBKOWSKI Andrzej: *Zmierzch* (6/176).
 ERDMAN Marta: *Popatrzcie, proszę, na Barbarę* (3/173).
 FURATYK Leon (tłumacz) ob. Arżak Mikołaj (9/179).
 GOMBROWICZ Witold: *Kosmos* (7/177-8/178).
 GRASS Günter: *Poczta polska* (4/174), przeł. Z.H.
 HAUPT Zygmunt: *Pierścień z papieru* (11/181).
 HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw (tłumacz) ob. Silone Ignazio (10/180).
 HŁASKO Marek: *Stacja* (12/182).
 — *W dzień śmierci Jego* (5/175).
 ŁOBODOWSKI Józef (tłumacz) ob. Arżak Mikołaj (1/171-2/172).
 MIŁOSZ Czesław: *Próba ujawnienia* (12/180).
 MORAWSKI Maciej: *Champs Elyseés* (7/177-8/178).
 MOSTWIN Danuta: *Córki* (7/177-8/178).
 NOWAKOWSKI Tadeusz: *Powrót taty* (1/171-2/172).
 SILONE Ignazio: *Dialog pierwszy* (10/180), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.
 TERLECKI Tymon: *Blaski i nędze gwiazdorstwa* (3/173).
 Z. H. (tłumacz) ob. Grass Günter (4/174).

Utwory poetyckie

ASTURIAS Miguel Angel: *Indianie schodzą od Mixco* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.

- BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Pieśń suchego języka* (10/180).
 CHABROWSKI Wacław: *Umarli* (12/182).
 — *Wiosna* (12/182).
 CZAYKOWSKI Bogdan: *Niestety tylko twoja mowa* (4/174).
 — *Rekonstrukcja* (4/174).
 — *Rozmowa z przyrodą* (4/174).
 CZUCHNOWSKI Marian: *Ordynarny chłopiec pierwszy raz przy pracy* (3/173).
 — *Potęga zera* (3/173).
 — *Przechadzka w parku* (3/173).
 — *Rozmyślania w wielkim mieście* (3/173).
 — *W fabryce* (9/179).
 ESTRADA Rafael: *Zmierzch* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 HERRERA Demetrio S.: *Trening* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 LARS Claudia: *Portret kobiety-pionierki* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 MENDEZ Francisco: *Krew na jakiejś tam skale* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 MERTON Thomas: *Elegia dla Ernesta Hemingwaya* (7/177-8/178), przeł. Czesław Miłosz.
 MIŁOSZ Czesław: *Elegia dla N. N.* (7/177-8/178).
 — (tłumacz) ob. Merton Thomas (7/177-8/178).
 NIEMOJOWSKI Jerzy (tłumacz) ob. Asturias Miguel Angel, Estrada Rafael, Herrera Demetrio S., Lars Claudia, Mendez Francisco, Suasnavar Constantino, Villaurrutia Xavier (11/181).
 ORZECZOWSKA Maria: *Ballada* (10/180).
 PRZYŁUSKI Bronisław: *Sny* (12/182).
 ROSTWOROWSKI Jan: *Brat kamień* (11/181).
 SUASNAVAR Constantino: *Liczby* (11/181), przeł. Niemojowski.
 VILLAU RRUTIA Xavier: *Nokturn, w którym przemawia śmierć* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Alibi* (7/177-8/178).
 — *Ballada naszych czasów* (1/171-2/172).
 — *Dwunasta* (7/177-8/178).
 — *Erotyk dla ziemi* (7/177-8/178).
 — *Katedry romańskie* (1/171-2/172).
 — *Kiedy ranne wstają zorze* (7/177-8/178).
 — *Kufer* (7/177-8/178).
 — *Na śmierć Broniewskiego* (4/174).
 — *Nocne drzewa* (7/177-8/178).
 — *Opium* (1/171-2/172).
 — *Pociągi* (1/171-2/172).
 — *Powieść o śniegu* (7/177-8/178).
 — *Przepis sanitarny* (1/171-2/172).
 — *Puszcza* (1/171-2/172).
 — *Rendez-vous* (1/171-2/172).
 — *Rysunek Leonor Fini* (7/177-2/178).
 — *Rzecz wstydliva* (1/171-2/172).

- *Self pity* (7/177-8/178).
 — *Siemiony* (1/171-2/172).
 — *Strachy* (1/171-2/172).
 — *Usta i oczy* (7/177-8/178).
 — *W związku z cytata* (7/177-8/178).
 — *Zасыpywanie Morza Śródziemnego* (7/177-8/178).
 — *Zegary* (1/171-2/172).
 — *Żdźbło* (1/171-2/172).
 WŁODKOWSKI W.K.: *Wiersze teologiczne (Natura, Obraz, Przedmioty poznania, Skutki, Słowo, Uczestnictwo, Wola, Wolność, Zdolności)* (12/182).

Najnowsza Historia Polski

- CIOŁKOSZ Adam (opr.): *Zagłada getta warszawskiego* (3/173, 4/174, 6/176).
 GRABOWSKI Zbigniew: *Notatki z czasów wojny* (11/181).
Jak likwidowano rewizjonizm (9/179).
 SŁAWOJ SKŁADKOWSKI Felicjan: *Latrun* (10/180).
 VINCENZ Stanisław: *Garść wspomnień o Baziu* (12/182).
 WOHNOUT Wiesław: *Lato w Kościelnikach* (1/171-2/172).

Sprawy krajowe

- BIEŃKOWSKA Danuta Irena: *Z Żeromskim po Polsce* (4/174).
 HERTZ Zofia (zebrała): *Humor krajowy* (6/176, 7/177-8/178).
Jak mały lizus wyobraża sobie komunizm (9/179).
 JEDLIŃSKI Witold: *„Chamy i Żydy”* (12/182).
 KISIELEWSKI Stefan: *List do redaktora „Kultury”* (3/173).
 — *Mój testament* (6/176).
Oprotestujemy „Testament” Kisielewskiego (7/177-8/178).
Porażka Gomułki (6/176).
Sprawa Gustawa Grudzińskiego (9/179).
 (X. Y. Z.): *Od Kemplicza do Jaszuńskiego* (11/181).

Sąsiedzi

- BERLINCZYK: *Gomułka u Ulbrichta* (11/181).
 J. Ł.: *Kijów o „Antologii”* (5/175).
 KOZŁOWSKI S.W.: *Przegląd niemiecki* (1/171-2/172, 4/174, 6/176, 10/180, 11/181, 12/182).
 LEWICKYJ Borys: *Kierunek przemian w KPZS* (7/177-8/178).
 MARKIEWICZ Zygmunt: *Początki literatury ukraińskiej* (5/175).

OKULICZ Kazimierz: *Problem w uspieniu* (10/180).
 TORUŃCZYK Franciszka: *Na czerwonej Riwierze* (11/181).
 WANDYCZ Piotr: *Studium stosunków polsko-niemieckich* (6/176).

Recenzje, sprawozdania, nowości wydawnicze

BIEGAŃSKI Stanisław: *Jeszcze o „Dokumentach...”* (12/182).
 BOBR-TYLINGO Stanisław: *Wspomnienie głównego agenta* (7/177-8/178).
 CZAPSKA Maria: *„Pani Helena”* (10/180).
 CZAPSKI Józef: *Pamiętnik Makowskiego* (1/171-2/172).
 GRABOWSKI Zbigniew: *Niemcy o Polsce* (4/174).
 HEYDENKORN Benedykt: *Majaczenia* (4/174).
 — *Mniejszości narodowe w Polsce* (9/179).
 JELEŃSKI K.A. *„Bęben” między Polską a Niemcami* (1/171-2/172).
 — *„Tematy” wczorajsze* (4/174).
 JORDAN Zbigniew: *Nowe czasopisma socjologiczne* (7/177-8/178).
 KOMARNICKI Tytus: *Owoc pracowitego żywota* (5/175).
Nadane nowości wydawnicze (1/171-2/172, 3/173, 4/174, 5/175, 6/176, 7/177-8/178, 9/179, 10/180, 11/181, 12/182).
 POBOG-MALINOWSKI Władysław: *Księga o polskim dorobku tysiąclecia* (7/177-8/178).
 — *Powstanie Wielkopolskie* (10/180).
 — *Sprawa St. Brzozowskiego* (12/182).
 — *Wrześniowa obrona Warszawy* (5/175).
 — *Wspomnienia gen. Kopańskiego* (3/173).
 REDAKCJA: *Bez taryfy ulgowej* (komunikat) (3/173).
 SAMBOR Michał: *Nędza i radość* (1/171-2/172).
 — *Thomas Merton o Pasternaku* (5/175).
 — *„Trzeźwość w mistycyzmie”* (9/179).
 — *Wyspa szczęśliwa* (10/180).
 SNORES Teresa: *Antologia współczesnej myśli polskiej* (9/179).
 — *„Tematy” zasmucające* (11/181).
 SUKIENNICKI WIKTOR: *Dokumenty o stosunkach polsko-sowieckich* (3/173).
„Suma teologiczna” (1/171-2/172).
 ŚMIEJA Florian: *Nowe przekłady z hiszpańskiego* (9/179, 10/180).
 TERLECKI Tymon: *Młoda starość* (4/174).
 — *Monumentum kolbergianum* (7/177-8/178).
 — *Pokolenie katastrofy* (5/175).
 — *Polski Malte* (5/175).
 — *Polski rewolucjonizm szlachecki* (11/181).
 — *Trylogia o „Kordianie”* (6/176).
 — *Zegadłowicz — dramaturg* (12/182).
 — *Zwierciadło dyrektora teatru* (6/176).
 ZYLBERLAST Henryk: *„Les somnambules”* (4/174).

Kronika kulturalna

CZAPSKI Józef: *Jan Ekiert — nagroda plastyczna „Kultury”* (4/174).
 — *O trzech młodzieńcach* (7/177-8/178).
 — *Subskrypcja na pisma J. Wittlina* (10/180).
 — *Tadeusz Piotr Potworowski* (6/176).
 FALK Wanda: *Trocheje* (7-177-8/178).
 HEYDENKORN Benedykt: *Wielka strata* (7/177-8/178).
 HOLCMAN Jan: *Rola płyty gramofonowej* (10/180).
 JELEŃSKI K.A.: *Georges Bataille* (9/179).
 JORDAN Zbigniew: *Kongres socjologów w Waszyngtonie* (11/181).
 — *W sprawie autorstwa „The Polish Peasant...”* (12/182).
Komunikat Komitetu Wydawniczego książki Wł. Pobóg-Malinowskiego (5/175).
Komunikat Oficyny Poetów i Malarzy w sprawie Antologii Poetyckiej (6/176).
Komunikat o konkursie literackim „Głosu Polskiego” w Argentynie (1/171-2/172).
Konkurs literacki Związku Polaków w Belgii (komunikat) (10/180).
Konkurs Polish University College na stypendium (5/175).
 MIŁOSZ Czesław: *O Broniewskim* (4/174).
 — *Uwagi do uwag Gombrowicza* (12/182).
Nagroda pisarska ufundowana przez E. Raczyńskiego (komunikat) (3/173).
Nagroda Syndykatu Dziennikarzy Polskich w Niemczech (komunikat) (3/173).
Nagrody literackie (komunikat) (12/182).
 OKULICZ Kazimierz: *O Łobodowskim i o „cywilizacji jagiellońskiej”* (3/173).
„Pan Tadeusz” po angielsku (komunikat) (3/173).
15-lecie „Kultury” (7/177-8/178).
Przedłużenie terminu konkursu na szkic literacki (w Australii) oraz konkursu literackiego „Głosu Polskiego” (w Argentynie) (komunikaty) (3/173).
 TURKIEWICZ Zygmunt: *Wystawy polskie w Londynie* (9/179).
Walny Zjazd Pisarzy (komunikat) (2/182).
 WIENIEWSKI Ignacy: *Łacina a sprawa języka międzynarodowego* (7-177-8/178).
 WIERZYŃSKI Kazimierz: *Orfeusz w piekle XX wieku* (11/181).

Sprawy i troski

CHCIUK Andrzej: *Jak jest z tą świecą?* (11/181).
 KALINOWSKI Piotr: *Polonia we Francji* (4/174).

- NASIELSKI Adam: *Z australijskiej perspektywy* (7/177-8/178).
 PIŁSUDSKI Rowmund: *Votum nieufności* (10/180).
 SOROKA Wacław: *Książka polska w Stanach Zjednoczonych* (11/181).

Notatnik socjalistyczny

- A. C. *Manuskrypty polskie Karola Marksa* (7/177-8/178).
 — *Socjalizm w Afryce i Azji* (3/173).
 GAMARNIKOW Michał: *Gospodarka planowa w społeczeństwie zamożnym* (3/173).
 GROSS Feliks: *5-cio-godzinny dzień pracy* (3/173).
 KREM.: *Gospodarka uspołeczniona w Austrii* (7/177-8/178).
 LEWARTOWSKI Jan: *Labour Party a Wspólny Rynek Europejski* (3/173).
 — *Nowa prawica i nowa lewica w socjalizmie brytyjskim* (7/177-8/178).

Tłumaczenia

z języka angielskiego

- MERTON Thomas: *Elegia dla Ernesta Hemingwaya* (7/177-8/178).
 przeł. Czesław Miłosz.

z języka hiszpańskiego

- ASTURIAS Miguel Angel: *Indianie schodzą od Mixco* (11/181).
 przeł. Jerzy Niemojowski.
 ESTRADA Rafael: *Zmierzch* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 HERRERA Demetrio S.: *Trening* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 LARS Claudia: *Portret kobiety-pionierki* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 MENDEZ Francisco: *Krew na jakiejś tam skale* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 SUASNAVAR Constantino: *Liczyby* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.
 VILLAUERRUTIA Xavier: *Nokturn, w którym przemawia śmierć* (11/181), przeł. Jerzy Niemojowski.

z języka niemieckiego

- GRASS Günter: *Poczta polska* (4/174), przeł. Z.H.

z języka rosyjskiego

- ARŻAK Mikołaj: *Człowiek z Minap'u* (9/179), przeł. Leon Furatyk.
 — *Mówi Moskwa* (1/171-2/172), przeł. Józef Łobodowski.

z języka włoskiego

- SILONE Ignazio: *Dialog pierwszy* (10/180), przeł. Gustaw Herling-Grudziński.

Bibliografie

- Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1961* (1/171-2/172).
Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” za rok 1962 (12/182).

Noty biograficzne

- BORNHOLTZ Tadeusz (4/174).
 JEDLICKI Witold (12/182).
 LANGNAS Izaak A. (11/181).
 LEWARTOWSKI Jan (7/177-8/178).
 MORAWSKI Maciej (7/177-8/178).

Listy do Redakcji

- AXEL Marian (3/173), BANACH Kazimierz (7/177-8/178), BAYBUS Józef (3/173), BIENKOWSKA Danuta Irena (5/175), BOCHEŃSKI I.M., O.P., (5/175), CZERNIAWSKI Adam (4/174, 10/180, 12/182), DĄBROWA A.A., (3/173), DRYMMER W.T. (12/182), GIEŁCZYŃSKI Stefan (10/180), GNIATCZYŃSKI Wojciech (9/179), GÖRLICH Joachim Georg (6/176, 11/181), GROBICKI Jerzy (7/177-8/178, 11/181), GRODEK Bogusław (3/173), HOFFMAN Jakub (3/173), HORAK Stefan (11/181), JANKOWSKI Paweł (10/180), JELEŃSKI K.A. (6/176), JENNE Józef (9/179), JURKSZUS-TOMASZEWSKA Jadwiga (7/177-8/178), KALINOWSKI Franciszek (4/174), KAMIŃSKI Szymon (9/179), KAWAŁKOWSKI Aleksander (1/171-2/172, 3/173, 5/175), KISIELEWSKI Stefan (4/174), KORBOŃSKI Stefan (7/177-8/178, 9/179), KOWALCZEWSKI Ignacy (5/175), KRYSZYŃSKI M.A. (5/175), KUKIEL Marian (4/174), KUNCE Stefan (11/181), LASKY Melvin J. (9/179), LEDNICKI Wacław (7/177-8/178),

LEŚNIEWICZ J.S. (3/173), MACKIEWICZ Józef (7/177-8/178), MIECZYŚLAWSKA Aniela (12/182), NIEMOJOWSKI Jerzy (5/175), NOWAK Jan (4/174), OSMIAŁOWSKI Marian (3/173), PASZKOWSKI Lech (7/177-8/178), PAWLIKOWSKI Michał K. (9/179, 10/180), POLAKIEWICZ Adam (10/180), POPŁAWSKI Włodzimierz (12/182), PRZYŁUSKI Bronisław (9/179), RAWICZ-SZCZERBO Antoni (11/181), SAMBOR Michał (3/173), SIEMASZKO Zbigniew Sebastian (7/177-8/178), SKIBA Wiktor (5/175), SKWARCZYŃSKI Stanisław (4/174), SŁAWOJ SKŁADKOWSKI Felician (9/179), SOJKA Wojciech, ks. (1/171-2/172), SOKOŁOWSKI Jan O. (7/177-8/178), STANKO Tadeusz (12/182), SUKIENNICKI Wiktor (6/176), SZTERNAL Kazimierz (9/179), SZUBSKA Barbara (11/181), SZYGOWSKI Juliusz (3/173), SZYMAŃSKI Leszek (3/173), SMIEJA Florian (3/173, 6/176), TOMASZEWSKI Tadeusz (7/177-8/178), WANDYCZ Piotr (9/179), WAŃKOWICZ Melchior (3/173, 10/180), WASUNG Aleksander (6/176, 9/179), WĘDZIAGOLSKI Karol (3/173, 10/180), ZADĘMSKI Kamil (9/179), ZAREMBA Paweł (10/180), ŻBIK-KOŁACIŃSKI Władysław (11/181), List bez podpisu 7/177-8/178).

Różne

Ankieta „Kultury” (3/173).
 Errata do artykułu „Gospodarka uspołeczniona w Austrii” (9/179).
 Errata do książki Bernarda Singera pt. „Od Witosa do Stawka” (9/179).
 Errata do książki Czesława Miłosza pt. „Król Popiel i inne wiersze” (7/177-8/178).
 Fundusz Wydawniczy — Stawar po rosyjsku (3/173, 4/174, 5/175, 6/176, 10/180).
 Komunikat „Kultury” w sprawie Ankiety (6/176).
 Komunikat redakcji „Kultury” o wydaniu w odbitce „15-lecia „Kultury” (7/177-8/178).
 Komunikat Stowarzyszenia Polskich Inżynierów i Techników w USA (7/177-8/178).
 Lista ofiarodawców na numer kanadyjski „Kultury” (3/173).
 Nekrolog śp. Władysława Pobóg-Malinowskiego (12/182).
 Podziękowanie Barbary Bobkowskiej (1/171-2/172).
 Podziękowanie za książki ofiarowane do biblioteki „Kultury” (7/177-8/178, 9/179, 11/181, 12/182).
 Poszukiwania (5/175).
 Sprostowanie Wacława Lednickiego (3/173).
 Wpłaty na Fundusz „Kultury” (1/171-2/172, 3/173, 4/174, 5/175, 6/176, 7/177-8/178, 9/179, 10/180, 11/181, 12/182).
 Wpłaty na nagrobek dla Andrzeja Bobkowskiego (1/171-2/172, 3/173, 4/174, 5/175, 6/176, 9/179, 10/180, 11/181, 12/182).



Wydawnictwa książkowe w roku 1962 Biblioteka „Kultury”

Tom LXXIII: *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 1-szy), str. 240.
 Tom LXXIV: Czerniawski Adam, *Topografia wnętrza*, str. 50.
 Tom LXXV: Broniewski Władysław, *Wiersze*, str. 56.
 Tom LXXVI: Czapski Józef, *Na nieludzkiej ziemi*, str. 304.
 Tom LXXVII: Miłosz Czesław, *Człowiek wśród skorpionów*, str. 128.
 Tom LXXVIII: Singer Bernard, *Od Witosa do Stawka*, str. 400.
 Tom LXXIX: Miłosz Czesław, *Król Popiel i inne wiersze*, str. 56.
 Tom LXXX: *Zeszyty Historyczne* (Zeszyt 2-gi), str. 240.
 Tom LXXXI: Gombrowicz Witold, *Dziennik*, tom II, str. 274.
 Tom LXXXII: Dżilas Milowan, *Rozmowy ze Stalinem*, str. 142.
 Tom LXXXIII: *6 lat temu...* Seria „Dokumenty”, Zeszyt 11, str. 200.

**PRZYPOMINAMY NASZYM
 CZYTELNIKOM, ŻE 3-CI “ZESZYT
 HISTORYCZNY” UKAŻE SIĘ W
 STYCZNIU 1963 I PROSIMY O
 NADSYŁANIE WPŁAT NA R. 1963
 MOŻLIWIE PRZED KOŃCEM RB.**

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
 11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
 91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
 Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1962

Nowości

BIBLIOTEKI « KULTURY »

TOM LXXX

II-gi ZESZYT HISTORYCZNY

zawierający m. in:

Bazyli Rogowski:

Ostatni okres życia marszałka Rydza-Smigłego

Nieznane listy marszałka Piłsudskiego

Cena ZESZYTU w sprzedaży: 15 NF (22/-; dol. 3)

w prenumeracie o połowę taniej.

TOM LXXXI

WITOLD GOMBROWICZ DZIENNIK

T. II

Cena egz. 15 NF (22/6; dol. 3,25)

TOM LXXXII

MIŁOWAN DŻILAS ROZMOWY ZE STALINEN

w przekładzie Adama Ciółkosza

Cena egz. 9 NF (13/6; dol. 2)

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », errano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking louse, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b
BRAZYLIA: Julia Barcinska, rua Maria Angelica 67, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetininga 221, s. 1203, Caixa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana.		5 dol. am.	9 dol. am
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyz, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 NF	21 NF	41 NF
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Rajowski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 9-0829; M. Król, 637 Kent Road, Winnipeg, Man.; « Związkowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél. : LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél. : LE 33407	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. M. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM 5 sh. 6 d.	22 DM 31 sh.	40 DM 60 sh.
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.			
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U.S.A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 2042 Cheremoya Ave., Hollywood 28, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 124 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 12932 Shackelford Lane, apt. 5, Garden Grove, Cal. Jan Wojcik, 153 Broad Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WŁOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Nowość

TOM LXXXIII

BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA „DOKUMENTY” NR 11

6 LAT TEMU...

(KULISY POLSKIEGO PAŹDZIERNIKA)

„Jest to zbiór dokumentów dotychczas niepublikowanych, dotyczących okresu 1956/57. Trzeba było wielu lat nieustannych wysiłków i zachodów, by zdobyć te materiały. Wśród tych dokumentów Czytelnik znajdzie nieznanne „białe kruki”, jak na przykład słynny artykuł Stefana Kurowskiego pt. „Apatia — czyli w poszukiwaniu celu”, który ukazał się w skonfiskowanym w całości przez cenzurę ostatnim numerze „Po Prostu” z dnia 7 września 1957 r.”

Stron 200

Cena egz. 10 NF (15/-; \$ 2,25)

**PRZYPOMINAMY
O ODNOWIENIU
PRENUMERATY
NA ROK 1963**